

De II. 1.
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 161.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1881.

SERYA V.

Marzec.

TOM I. — ZESZYT III.

WARSZAWA.
Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—*—
Ukończono druk dnia 3 marca 1881 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Apoteoza człowieka i wznowienie dualizmu wschodniego w filozofii współczesnej. Przez Seweryna Smolikowskiego.	329
II. Nowo odnaleziony pomnik piśmiennictwa polskiego. Przez Zdzisława Dębskiego.	357
III. Przegląd teatralny. (Za rok 1879 i pierwsze półrocze 1880). Przez R. W. (Dokończenie).	363
IV. Siostra miłosierdzia. Powieść. Przez Emila Castelara. (Przekład z oryginału hiszpańskiego). Przez A. Gorajską. Tom II. (Ciąg dalszy).	375
V. O najważniejszych odkryciach geograficznych w roku 1880. Przez Wacława Nałkowskiego.	391
VI. Nowe dokumenty do dziejów apostołów słowiańskich. Przez Bronisława Grabowskiego.	411
VII. Zdobycie Babilonu przez Cyrusa, według owoczesnej kroniki babilońskiej. (Notatka historyczna). Przez I. Radlińskiego.	417
VIII. Wycieczka do Białowieży. Przez Zygmunta Glogera.	424
IX. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO	
L. Strümpell: Psychologische Pedagogik. Lipsk, 1880. Str. VIII i 368. Przez Henryka Struvego	433
„Listy do Michała P. Pogodina z ziem słowiańskich“ (1835—1861 r.), z przedmową i uwagami Nila Popowa. Wydanie cesarskiego Towarzystwa historyi i starożytności rossyjskich przy uniwersytecie Moskiewskim. Moskwa, 1879—1880, str. XVIII, 744, w wielkiej 8-ce. Przez Ad. Ant. Kryńskiego.	445
„Uwagi o staropolskim języku“ (8-ka, str. 24) i „Najnowsze prace o języku polskim“ (str. 16).	454
Polemika.	457
X. Korespondenoye do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej: I, I. Radlińskiego.—II, Wilhelma Bogusławskiego	464
XI. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne.	467
XII. Nekrologia: A. Rydzowski.—Kornel Krzczunowicz.—Fr. ks. Malinowski. —Ludwik Skrzyński.	484



De II. 1.

APOTEOZA CZŁOWIEKA
I WZNOWIENIE DUALIZMU WSCHODNIEGO

W FILOZOFII WSPÓŁCZESNEJ *).

PRZEZ

Seweryna Smolikowskiego.

A. Nowa sprzeczność pesymizmu: Apoteoza człowieka.

Nie dość na tém, że filozofowie pesymiści, jeśli już nie dla dowiedzenia, to przynajmniej dla upozorowania nirwany, jako niezbędnego następstwa ustroju wszechświata, zmuszeni byli uciec się do dualizmu ¹⁾, pomimo nawet, że za punkt wyjścia filozofii swojej ogłosili monizm ²⁾; czekała ich jeszcze jedna niekonsekwencya, będąca nieuniknionem następstwem głównego założenia ich filozofii. A lubo do téj nowéj niekonsekwencji doszli oni z konieczności rzeczy, lubo popchnięci do niéj zostali siłą ciężkości własnych swoich systematów, rzecz dziwna, zeszedli się oni na tém polu z ogólnym kierunkiem myśli współczesnej, t. j. z apoteozą człowieka, wynoszeniem go ponad wszelki absolut.

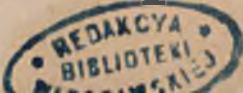
Wynik ten filozofii pesymistycznej zrazu wyda się każdemu nieprawdopodobnym, tak dalece nie licuje on z jéj jaskrawém malowaniem nędzy tego świata, opiewaniem nieszczęść człowieka, jego bezsilności i nawoływaniem do metafizycznego samobójstwa en masse całej ludzkości. Jednakże wynik ten jest bardzo naturalnym, gdy się zważy na nieubłagane prawo myśli ludzkiej, głoszące wieczność istnienia ³⁾ i zmuszające tych, którzy w widokach własnych kreacyi filozoficznych,

*) Patrz: „Nirwana wobec metafizyki.“ Bibl. Warsz. z 1879 r., listopad.

¹⁾ Tegoż rozdziału § 6, str. 135.

²⁾ Tegoż rozdziału § 5, str. 116—119; 130—134.

³⁾ Porów. pracy naszej część III, rozd. II. § 2, str. 79.



uznać prawa tego nie chcą, do najróżnorodniejszych skoków logicznych i sztucznych omamień.

Obejście się bez absolutu jest niemożliwem dla myśli naszej ¹⁾, to też dotąd nie było systematu filozoficznego, któryby mógł bez téj podstawy wznieść się trwale w myśli ludzkiej ²⁾. Nie mogąc zaś wyzwolić się od tego ciężącego nad nami nakazu rozumu, wszyscy filozofowie przenoszą tylko środek ciężkości tego pytania, t. j. osadzają absolut w przeróżnych kregach logicznego myślenia, czy to umieszczając go po za światem, czy wcielając go w istnienie samo, czy wreszcie rozszczepiając siłę primordyalną na kilka kierunków ³⁾. A takim sposobem całe dzieje snucia filozoficznych poglądów na świat, dałyby się porównać do ustawicznego borykania się myśli ludzkiej z logicznymi jéj wędzidłami: przyczynowością, nieskończonością i wszechpotęgą ⁴⁾, których człowiek nie mogąc zerwać, osadza je w mniej lub więcej racjonalnie obmyślanych punktach wytycznych przeróżnych systematów religijnych i filozoficznych ⁵⁾. Tak zaś, jak Boga wyobrażamy sobie pod postacią, jeśli już nie co do formy, to przynajmniej co

¹⁾ Porów. pracy naszej część III, rozdz. II, § 3, str. 88.

²⁾ Tamże, str. 90; przypisek 1 i 2. Dla uzupełnienia tego, cośmy mówili poprzednio, dodamy jeszcze, że chwila, w której człowiek dochodzi do samowiednego pojęcia absolutu, jest chwilą obudzenia się myśli jego filozoficznej. Uznanie absolutu pod jakąkolwiek bądź formą, chociażby nawet niewytłómaczonego jakiegos fatum, umożliwia dalszy rozwój myśli filozoficznej, a prytém skupiając oddzielne zdobycze badań ludzkich w jedno ognisko wiedzy, daje im trwałą podstawę w poszukiwaniach i kładzie tym sposobem podwaliny dla prawdziwej nauki. Gdzie bowiem przyznaje się absolut, przyznaje się tém samém zawisłość odeń wszystkich zjawisk, a ztąd wprowadza się jednę do różnorodności i wtenczas dopiero staje się możliwem szukanie praw czyli rodzaju zależności od siebie faktów; tym sposobem rodzi się pojęcie konieczności czyli prawidłowej zawisłości zjawisk, a ztąd i pojęcie prawa powszechnego czyli prawa w najogólniejszém słowa tego rozumieniu.

³⁾ Porów. poprzedni § 6.

⁴⁾ Na związek tych trzech pojęć wskazaliśmy poprzednio. Porów. tegoż rozdz. § 2 i 4.

⁵⁾ Najgłębszém, psychologiczném źródłem i uzasadnieniem systematów religijnych i filozoficznych, jest wrodzone myśli ludzkiej prawo przyczynowości; a różnicę tych systematów, prócz wielu innych przyczyn, główną przyczynę swoją mają w różném pojmowaniu istoty prawa przyczynowości, a ztąd i w różném przedstawianiu sobie stosunku tego prawa do wszechświata, a z drugiej strony w odmienném zapatrywaniu się na stosunek myśli naszej do zjawisk świata w ogóle. Pierwsze najczęściej jest bezwiedne, drugie—zawsze samowiedne, a element ten samowiedzy odróżnia właśnie filozofię od religii. Religia (mamy tu na myśli element religijny w ogóle, nie zaś religię historycznie i dogmatycznie sformułowaną) opiera się na bezwiedném (wiara) odnoszeniu zjawisk bytu do ich pierwszej przy-

do istoty (psychologicznie), podobną do nas (antropomorfizm), tak też i siłę tę absolutną umieszczamy często w myśli naszej a nawet, jak nowsza filozofia pesymistyczna niemiecka, chętnie przenosimy i samo pojęcie absolutu na nas samych.

Ta naturalna dążność, przejawiająca się w dziejach myśli ludzkiej—potęgowanie człowieka w miarę ujmowania siły pojęciu absolutu, lubo nie nowa, ostatnimi czasy zyskała sobie poklask oryginalności i stała się bardzo wygodnym, chociaż z drugiej strony nieusprawiedliwionym logicznie, manewrem w rękach tych filozofów, którzy nie umieją lub nie chcą widzieć przeszkód logicznych dla swojej wyobraźni, których nie wstrzymują znaki zapytania coraz wyraźniej zarysowujące się na horyzoncie myśli ludzkiej w miarę jej dojrzewania. Tym mędrcom rzekomym śpieszno udowodnić własne swoje kreacye metafizyczne, chociażby pozorną tylko logicznością, t. j. subtelną i szumną dyalektiką, przypominającą, poniekąd sztukę sofistyczną, chociażby nawet coraz nowemi tworami wyobraźni (bo o te im nie trudno), grożącemi najczęściej ostatecznym zaprzeczeniem samym sobie.

I rzeczywiście, jesto sprzeczność niepojęta, niekonsekwencya, która najlepiej uwydatnia słabość podstaw szkoły pesymistycznej. Z jednej strony nikt nie jest tak wymownym, jak szkoła ta w kreśleniu nędz istnienia i bezsilności człowieka wobec czychających nań zewsząd cierpień; z drugiej jednak dając receptę na te cierpienia i na niepewność losu, w dłoń tegoż człowieka powierza ona los nie tylko

czyny, filozofia na samowiedném wyjaśnianiu stosunku myśli naszej do zjawisk świata, na szukaniu przyczyn prawidłowości myśli naszej i wreszcie na uzasadnianiu (antyteza wiary) kryterium poznania prawdy.

Powiedzieliśmy, że religia i filozofia najgłębsze źródło swe mają we wrodzonym myśli naszej prawie przyczynowości. Mógłby kto z tego wynioskować, że te wyroby ducha ludzkiego, są mrzonką, rzeczywistości nieodpowiadającymi produktyami mózgu, zależnemi od składu czaszki i rodzaju sekrecyi naczyń mózgowych, czyli od anatomicznych i fizyologicznych przymiotów organizmu, który je produkuje, słowem, że wszystko co cywilizacya wydaje jest złudzeniem. Odpowiemy na to, że prawo przyczynowości jest rzeczywiście antropomorficznym produktem, jest wrodzonym człowiekowi, ale wrodzonym nie jego organizmowi (bo nabywa się doświadczeniem, więc pracą ducha, myślą z doświadczenia korzystającą), tylko jego organizacyi duchowej. Nie jest ono jednak złudzeniem, bo i człowiek sam nie jest złudzeniem. Myślę więc jestem, czy też—jestem więc myślę, zawsze jednak piszę to, a wy czytacie, więc istnieję, a skoro istnieję jestem częścią bytu, więc mój antropomorfizm jest moją formą, a istotą—mój byt. Prawo przyczynowości jest ogólnem prawem bytowania, a sposób pojmowania stosunku tego prawa do zjawisk—wyrobem antropomorficznym w ogóle, a w szczególności wyrobem indywidualizmu dauj osobowości myślącej. Zresztą porównaj pracy naszej część III, § 2 i 4. Co zaś do terminologii istnienia i bytu, porów. przypiski do str. 9 i 83.

już ludzkości całej, ale i całego przyrodzenia, co więcej i istnienie Boga samego.

Widzieliśmy, jak naturalną drogą szermierki dyalektycznej, pod wpływem celu z góry założonego, pesymiści dochodzą do dualizmu ¹⁾. By módz wyjaśnić znikomość istnienia, przeciwstawiają oni sobie dwie siły złowrogie. Ale na tém niedosyć, siły te—ślepe, same więc nie wpadną na myśl zetknięcia się i pochłonięcia się wzajemnego; zresztą, jeśli one równe, walka trwać będzie wiecznie, jeśli nierówne, zwycięzca pozostanie, a idzie właśnie o to, aby nic nie pozostało na widowni bytu, aby przecież raz nirwana zżycić się mogła. Otóż człowiek, jako istota rozumna, przytém, dzięki filozofii pesymistycznej, oświecona, t. j. przekonany o całej nędzy istnienia w ogóle, a życia ludzkiego w szczególności, ma już tém samym w ręku swoim złożony los wszechświata; dotąd wprowadzie o tém nie wiedział, ale filozofia nicości wręcz mu to ogłasza. Cała téż filozofia pesymistyczna, jest niczem inném, tylko nawoływaniem do spełnienia tego zadania, jakie rozum człowiekowi ma wskazywać; a etyka pesymistyczna opiera się właśnie na zaparciu się ułudnych rozkoszy życia, na wygaszeniu w nas wszelkich pragnień z życiem naszym związanych, czyli na zniszczeniu tego popędu złowrogiego do istnienia, jakim Wola, ów absolut wszechbytu, świat cały napiętnowała. Słowem, filozofia pesymistyczna obwieszcza nirwanę całej ludzkości i całemu istnieniu, i tylko za jęj wskazówką idąc, ludzkość zdoła pono dopiąć celu prawdziwego, a z nią celu tego dopnie i całe istnienie.

Takie zadanie filozofii, w nowszych czasach pierwszy Schopenhauer nakreślił. Jakkolwiek zaś tak wielkie zadanie filozofii swojej ów prawodawca pesymizmu współczesnego starał się ująć i w praktyczną formę jęj zastosowania, w istocie jednak konsekwentnie przeprowadzić tego nie zdołał. Cokolwiekby téż nie głosił sam Schopenhauer, o możności osiągnięcia nirwany dla całego bytu, dla bytu samego w sobie, właściwie daje on tylko broń przeciwko istnieniu indywidualnemu; pogarda życia, odsunięcie ułudnych rozkoszy doczesnych, stłumienie w sobie wszelkich popędów do istnienia przykuwających, słowem dziewiczość i ascetyzm buddysty były tą bronią. Broń ta nie dosięga jednak istnienia samego, jak mniema Schopenhauer, gdyż zniszczenie woli do istnienia niemożliwe z zasad samęjże jego filozofii, co najwyżej możliwe tu tylko niszczenie jęj przejawów. Wszystko téż, co Schopenhauer głosi o „Verneinung des Willens zum Leben“, o „Aufhebung des Willens“, nie wpływa bynajmniej z istoty jego rozumowań, a nawet staje w zupełnej sprzeczności z zasadniczymi podstawami filozofii, jaką Schopenhauer ulepik z krytycyzmu Kanta i metafizyki Upaniszad indyjskich. Broń, powtarzamy, jaką przeciwko istnieniu podaje Schopenhauer niszczy zjawiska życia samowiednego, ale nie niszczy ich przyczyny, jest więc bronią konkretną na

1) Patrz poprzedni § 6.

konkretne objawy istnienia, możnaby ją nazwać psychologiczną, ale nie jest ona bronią metafizyczną; a o taką właśnie chodzi pesy-
mistom.

Otóż Hartmann, który lituje się nad cierpieniami Boga samego spowodowanymi istnieniem (*der Gottesschmerz*), i cierpieniami temi rozczulić pragnie tych, w ręku których los istnienia widzi złożonym¹⁾, nie przestaje nawoływać ludzkości do spełnienia metafizycznego samobójstwa, t. j. do zadania takiego ciosu owéj zbyt żywotnéj sile istnienia, któryby niszcząc życie indywidualne, podciął zarazem i był sam w sobie u jego podstawy.

Lubo jednakże to jego samobójstwo *en masse* całej ludzkości ma mieć metafizyczną doniosłość, w arsenale filozofii nieświadomego spoczywa broń wcale nie metafizycznej natury. Wprawdzie Hartmann nie wskazuje zbyt wyraźnie téj broni; czyniąc ją zawisłą od postępu nauk technicznych i udoskonalenia środków komunikacyjnych pomiędzy ludźmi, ale kreśli już warunki, nieodzowne dla możności zastosowania jéj w dalszém lub bliższém przyszłości²⁾. Te zaś warunki wskazują właśnie charakter bardzo konkretny téj przyszłej broni. Czyniąc zaś możność osiągnięcia tego, zbrodniczego przeciwko istnieniu zamiaru, podobnie jak arcywzór jego Schopenhauer, zależną głównie od skoncentrowania jaknajwiększej ilości siły kosmicznej, czyli ducha nieświadomego w rodzie ludzkim³⁾, nie widzi nawet Hartmann, że tym sposobem robi on człowieka: pozornie—współpracownikiem Idei w walce z Wola, t. j. w dziele zniszczenia; w istocie zaś przenosi na człowieka nawet pojęcie absolutu, gdyż przyznaje mu wszechwiedzę i wszechsiłę. Człowiek to bowiem ma usunąć z widowni bytu nietylko życie indywidualne, nietylko wszechświat jako istnienia ciało, ale i samo istnienie metafizyczne, wszelką możność bytu.

U *Mainländera*, jak widzieliśmy, istnienie w ogóle jest środkiem dla Boga do ziszczenia Jego zamiaru, pogrążenia się w nicość; człowiek zaś zjawia się jako współpracownik boski *par excellence*⁴⁾. On to

1) Porównaj ostatnie dzieło Hartmanna: „*Phänomenologie des sittlichen Bewusstseins. Prolegomena zu jeder künftigen Ethik.*“ Berlin, 1879, C. IV. Das Moralprincip der Erlösung, str. 867—871.

2) Te nieodzowne warunki, jakie podaje Hartmann, są następujące:

1-o Skoncentrowanie znacznej większości ducha nieświadomego w ludzkości (*Philosophie des Unbewussten*, t. II, str. 405): połowa nawet wystarcza (tamże, t. II, str. 408).

2-do Ogólne przeświadczenie o niedorzeczności woli i o nędzy istnienia, a ztąd spotęgowanie uczucia pesymistycznego i rozwinięcie tęsknoty za nicością (tamże, t. II, str. 406).

3-io Jednoczesne postanowienie i odpowiednio urządzona komunikacya (tamże, str. 408).

3) „*Phil. des Unbewussten*,” t. II, str. 405—408.

4) Pracy naszej część I, rozdz. I i II.

dopiero ułatwić ma Bogu osiągnięcie celu, on pograży istnienie w nirwanę. Wprawdzie Mainländer, ostrożniejszy niż Hartmann w rysowaniu ostatniego aktu istnienia, sam przewiduje zarzut, że po wygaśnięciu rodzaju ludzkiego, przyroda mogłaby wytworzyć inne istoty organiczne, do ludzkich podobne, które, porwane ogólnym prądem życia, przedłużyłyby do nieskończoności byt swój, a ztąd i istnienie w ogóle. Ale zarzut ten odpiera on stanowczo zapożyczonym od Schopenhauera ¹⁾ argumentem: zdaniem jego przyroda nie może nigdy i nigdzie, t. j. i na żadnej planecie wytworzyć wyższych rozumnych organizmów; istnienie innych istot, niż człowiek, niemożliwe, gdyż przeczyłoby to rozumnej celowości, rozlanej w naturze, w człowieku bowiem złożony cel boży, człowiek zaś doszedł już, i to dzięki filozofii i wyzwolenia, do zrozumienia celu tego, czyli racji istnienia—do absolutu prawdy. Innych więc istot rozumnych być nie może, innych ludzi na innych planetach nie potrzeba, a ztąd i niema i nie będzie; a raz celu swego dopiąwszy, t. j. zdoławszy zaprzeczyć istnieniu, przez człowieka, natura nie ponowi tej pracy mozolnej. „Nie pozostanie więc żadnej nowej pracy dla żadnej nowej ludzkości” konkluduje Mainländer ²⁾.

Otóż człowiek, oświecony poznaniem prawdy, t. j. zbadawszy rozumem istotę i znikomość istnienia (Schopenhauer) oraz cel boży t. j.

¹⁾ „Die Welt als Wille u. Vorstellung,“ t. II, str. 656. Wir haben demzufolge keinen Grund, powiada Schopenhauer, anzunehmen, dass es irgendwo noch zu höher gesteigerten Objektivationen des Willens komme; da er hier schon an seinem Wendepunkte angelangt ist. Tak odpowiada Schopenhauer na pytanie, czy warto pracować dla wyzwolenia się od istnienia, czy warto podjąć tego trudu, pytanie, które w chwilach trzeźwiejszej rozważki sam sobie postawił, ale które rozwiązał wcale nie filozoficznie, poprzestając na odpowiedzi, niemogącej w żaden sposób zadowolić umysł logicznie myślący. Oto jak Schopenhauer dalej rozumowanie swoje rozwija, chwytając się tak nazwanego przez siebie moralnego argumentu na udowodnienie możności osiągnięcia nirwany, argumentu, który właściwie jest teleologicznej natury:

Die Erreichung der letzten Stufe nun aber der Menschheit, muss, meines Erachtens, die letzte sein; weil auf ihr bereits die Möglichkeit der Verneinung des Willens, also der Umkehr von dem ganzen Treiben, eingetreten ist; wodurch alsdann diese divina comedia ihr Ende erreicht. Wenn demnach auch keine physikalische Gründe den Nichteintritt einer abermaligen Weltkatastrophe verbürgen; so steht einer solchen doch ein moralischer Grund entgegen, nämlich dieser, dass sie jetzt zwecklos sein würde, indem das innere Wesen der Welt jetzt keiner höheren Objektivation zur Möglichkeit seiner Erlösung daraus bedarf.

(„Parerga und Paralipomena,“ t. II. Zur Philosophie u. Wissenschaft der Natur, str. 153).

²⁾ „Philosophie der Erlösung,“ str. 343—344. Argumentacya ta

dążenie natury (Hartmann, Mainländer), bierze na swe barki wielkie zadanie, otrząśnięcie się z bytu, czyli urzeczywistnienie celu bożego; on więc jest wszechpotężnym, on król istnienia, on ma dojść do tego, do czego Bóg sam dojść nie miał mocy (Mainländer), on to ulitowawszy się cierpień współbraci (Schopenhauer) i stwórcy (Hartmann), uzbrojony rozumem najwyższym, jednym zamachem, mniejsza o to jaką bronią, redukuje istnienie do niebytu, pogrąża je w nicość absolutną (nihil negativum), czyli osiąga nirwanę.

Oto usprawiedliwienie tytułu paragrafu niniejszego. Człowiek w szkole pesymistycznej jest rzeczywiście współpracownikiem Boga, a nawet jego potężnym pomocnikiem i zbawcą (Mainländer, Hartmann, Schopenhauer) ¹⁾.

To też i etyka pesymistyczna w tém wyższą ma być od chrześcijańskiej, że tu już nie o nas tylko chodzi, ale o istnienie w ogóle, o byt metafizyczny, a więc i o wyzwolenie samego Boga. Podług chrystyanizmu Bóg zbawił człowieka, filozofia współczesna nie chcąc być dłużną w pojęciach moralności, systematom religijnym odplaca pięknem za nadobne—człowiek ma zbawić Boga. Materyaliści głoszą, że nie Bóg stworzył człowieka, ale człowiek Boga ²⁾, pesymiści uważają widocznie za swoją specjalność tego rodzaju kreacye, a człowieka obdarzają większą jeszcze niż materyaliści siłą: dają mu w rękę wszechwładną potęgę usuwania tego widma ³⁾ myśli ludzkiej—absolutu, nie tylko z głowy naszej, ale i z istnienia samego, t. j. ze sceny świata rzeczywistego. Pesymiści leczyc chcą radykalniej niż materyaliści i zdają się pocieszać tych ostatnich, śmiałością tą zdziwionych, mówiąc do nich: absolut istnieje rzeczywiście, on nie jest jedynie wytworem mózgu, jak wy sądzicie, ale nie bójcie się, ów Bóg ustąpi a z nim i istnienie; człowiek go wyzwoli, bo dzięki naszej filozofii, on już skazał i siebie i całe istnienie na zagładę. A tém skazaniem siebie samego, tém dążeniem do wyzwolenia od istnienia samego, nawet Boga, położo-

—
tak jest słabą i dowolną, iż nie uważamy nawet za potrzebne krytykować jej. Dodamy tylko dla charakterystyki współczesnej filozofii, niby na danych naukowych opartej, że podobnej argumentacji użył i Ernest Renan w dziele: „Dialogues et fragments philosophiques.“ Paris, 1876 r. Porównaj „Lettre à M. Berthelot“ z r. 1863, str. 181. Na usprawiedliwienie wielu zbyt śmiałych pomysłów Renana w dziele tém rozwiniętych dodajmy jednak, że większość ich mieści się w dyalogach, które on sam mianuje: Probabilités a nawet Rêves. Mainländer zaś uważa swoje marzenia za unsere positive Erkenntniss.

¹⁾ Apoteoza człowieka jest konsekwentnym wynikiem apoteozy woli. Porów. § 5.

²⁾ Timor fecit Deos.

³⁾ Dla współczesnych filozofów widmo to staje się upiorem, którego pragnęliby usunąć (pozytywizm) lub zabić (pesymizm).

ny kamień węgielny dla etyki przyszłości, którą opiewać będą wymarłe strefy świata, byłego życia świadkowie, nim zniknie nawet ślad istnienia i nim wszystko pogrąży się w nirwanie.

Zdawałoby się, że tak pojęty stosunek świata do istnienia, a człowieka do Boga, lub w ogóle do absolutu, mógł być wytworem jedynie myśli nawykłej do żeglowania po krainie wyobraźni; zdawałoby się, że owo współpracownictwo człowieka w niszczeniu światów jest jakimś dogmatem, wykwitym w cieniu sklepień pagód indyjskich, gdzie prerażeni zbytnią potulnością krajowców, a ztąd i ich niedołęztwem w pracy, bramini ułożyli receptę na podniesienie człowieka we własnych jego oczach, a to namaszczając go na współpracownika Bożego. Tymczasem teorye te powstają wobec skeptycznego prądu naszego wieku, wobec uznania za jedyne kryterium prawdy metody indukcyjnej i opieraniu (pozorném wprawdzie) filozofii na nauce w ścisłym słowa tego znaczeniu. Dodajmy wreszcie, że teorye te głoszone są przy świetle lamp elektrycznych, wobec inteligentnych słuchaczy; że dzieła tych mistrzów zalegają półki księgarskie i że wszyscy prawie, gdy mowa o prawdziwej filozofii, mają na ustach wieszczów nirwany.

Newton ostrzegał kiedyś: strzeżcie się metafizyki w zakresie fizyki, ale pod mianem metafizyki rozumiał on, jak dzisiaj większość—marzenia filozoficzne. Marzenia te nie towarzyszą jednak wyłącznie tylko metafizyce, ale towarzyszą one wszystkim umysłem niekrytycznym i to we wszystkich gałęziach wiedzy; marzenia te odnajdują się też i u bardzo wielu współczesnych myślicieli, bez względu na to, czy systemata swoje nazywają oni idealizmem, czy pozytywizmem—realizmem, czy też nawet filozofią naukową (die wissenschaftliche philosophie), a metodę—dedukcją, czy indukcją. Jeśli zaś co wypadło na zdradę pessimistom współczesnym, to nie prodróm metafizyczny, ale właśnie brak jasnych pojęć z zakresu metafizyki, brak wszelkiej metody, a ztąd i zaślepienie w świetle ich własnej, pozornej indukcji. Bo też jeśliby pesymiści choć jedną kwestyę metafizyczną logicznie obmyślili, nirwana wydałaby im się mrzonką, istnienia nie zbrataliby z nicością.

Nie znaczy to jednak, żeby indukcya zgubić ich miała. Indukcya jest tylko metodą częściową, narzędziem pomocniczym, a ci, co niby na niej wsparci, głoszą cudaczne, jakoby jej wyniki, właściwie zrywają z nią, podobnie jak Comte w drugiej fazie swojego filozofowania ¹⁾. Gubi zawsze nie indukcya, ani dedukcya, ale fałszywa dyalektyka, sofistyka odziedziczona po ostatnich wędrownych prelegentach greckich; nie metoda więc, ale brak metody, oraz dowolność w tém niepohamowanym wnoszeniu całych gmachów filozoficznych, podczas, gdy jedną cegłą obciosać i przystosować do fundamentów myśli naszej nieraz nie

¹⁾ Porównaj pracę naszą: „Religia pozytywna, czyli nowa powszechna religia ludzkości.” „Bibl. Warsz.” 1875, za miesiąc czerwiec i lipiec.

jesteśmy zdolni. A wtedy chęć zaokrąglenia systematu, chęć dowiedzenia pewnej, wypiąstowanej przez nas i drogiej dla nas myśli, a czasem znowu bezwiedne wymagania serca—dążności etyczne, popychają nas w objęcia iluzji; że zaś i do łudzenia samych siebie nawyknąć można i w końcu samemu uwierzyć, drogą spaconej metody, w to, w co zdrowa i nieuprzedzona myśl nasza nigdyby nie uwierzyła, gdyby ktoś inny dowodził—to téż i zaślepienie w tym względzie pessimistów zbytecznie dziwić nas nie powinno.

Powiedzieliśmy, że do wygłoszenia dogmatu współpracownictwa człowieka z Bogiem, pesymiści zmuszeni byli konsekwencją swoich błędów metafizycznych. Był znowu inny myśliciel, badacz niestrudzony, przede wszystkim zaś sumienny pracownik, który doszedł do tego samego rezultatu nie drogą metafizyki, lecz drogą potrzeb etycznych swojej duszy, a mianowicie chęcią wytłómaczenia braku etyczności, jaka go uderzała w świecie, nie brakiem jej w absolicie, ale bezsilnością tego ostatniego. Chciał on, jedném słowem, pierwiastek etyczny Boga ocalić z pod przegierza zimnej logiki, piętnującej stworzenie całe wyrokiem cierpienia i nieubłaganej konieczności. I któż ze słów tych nie pozna Johna Stuarta Mill'a.

B. Teizm Stuarta Mill'a przenosi na grunt nowszej filozofii prastarą walkę dwóch pierwiastków: złego i dobrego.

Surowy ten myśliciel, trzeźwy i subtelny dyalektyk, jeśli także popełnił niekonsekwencję, jeśli i on umysł swój złożył u schyłku dni swoich pod jarzmo widma, od którego opędzał się całe niemal życie, to jest pod jarzmo potrzeb serca, potęgi ideałów, to dlatego, że życie ludzkie nie jest samą tylko tkanką formułek logicznych, a umysł nie jest pustą tablicą, na której tylko zmysły wyrocznie swe kreślą. To téż wymogi etyczne, tęsknota za ideałem, od kolebki niemal przygłuszane ¹⁾, pod koniec życia praw swych dopomniały się i... zamąciły umysł filozofa, od pytań tych odzwyczajanego systematycznie. Myśl jego przekona-

¹⁾ Pamiętniki Mill'a, wydane po śmierci jego p. t.: „Autobiography,” London, 1873, dowodnie pokazują, jak od najmłodszych lat życia pracowano nad Mill'em, by zagłuszyć w nim i wykorzenieć wszelką wiarę. Sam Mill powiada o sobie, że był może jedynym człowiekiem w nowszych czasach, który był wychowywany w niewierze, a więc wiary nie utracił, ale nigdy jej nie miał. Te wyjątkowe okoliczności, wśród których wzrastał ów myśliciel i warunki, przy jakich umysł jego formował się, są nader ważnym przykładem, jak trudno narzucić duchowi wędzideł pewnych teoryi i jak trudno prowadzić go niewolniczo po drogach i wedle norm z góry nakreślonych. Obudzenie się pod koniec życia w Mill'u potrzeb serca, dążeń idealistycznych (podobnie, choć z innych powodów, jak u Comte'a), są wymownym tego przykładem, nie potrzebującym długich komentarzy. Dla tych wszystkich powodów pamiętniki

na zrazu, że wszystko, co zapisuje doświadczenie—nieomyślnie, niejedno w końcu przekreślić musiała, a nawet wyjrzała poza nakreśloną sobie marszrutę i... jeła się pytań teologicznych. Potrzeby etyczne wyszły więc na zdradę spiżowej logice surowego myśliciela. Ale i tu nie etyka winna, podobnie jak co do błędów pessimistów nie metafizyka; ale przeciwnie, nieuwzględnianie jednej i drugiej, odsuwanie z zakresu myśli tego, co wrodzone naszemu ustrojowi duchownemu, to jest odwracanie oczu od kwestyi bytu w sobie i praw istnienia i odsuwanie z drogi, mającej wieść do prawdy, pytań etycznych. Jestto dobrowolne ścieśnianie widnokregu myśli naszój i wtłaczanie jój w ramy arbitralnie dla niój ukute, które też najczęściej pękają pod naciskiem istoty rzeczy, owój przyrodzonej osnowy ducha ludzkiego, ducha, którego nikt w karby formułek dyalektycznych ująć nie zdoła.

I cóż dziwnego wtedy, że najmniejsza skaza logiczna wystarczy dla obalenia takich teorii i że zbyt późno lutując rozprysniętą całość, twórca systematu gubić się będzie w chaosie i wielkości, jaka go otoczy, gdy sztuczne granice jego systematu rozpląną się w drgających pełnią życia bezmiarach rzeczywistości: w zjawiskach świata i w myśli naszój, czyli w bezmiarach prawdy i ducha. *Grau... ist alle Theorie, und grün des Lebens goldener Baum* ¹⁾).

Tak jest, nie można bezkarnie dla myśli swojój jednostronnie ją rozwijać; czysto mechaniczne, a więc pozornie tylko usuwane przeszkody, wyrastają najczęściej w wał nieprzebyte, o który rozbijają się snuca filozoficzne nieraz całego życia i to nie jednego myśliciela.

Człowiek bowiem, powtarzamy, nie jest samą myślą, podobnie jak filozofia nie jest ani samą encyklopedyą nauk, ani też z drugiej strony samym tylko płodem wyobraźni. Żąd też filozofia nie da się bezkarnie odrywać od życia, lub być zniewoloną bezkarnie przezuwać same tylko sny i marzenia, rzeczywistości nie odpowiadające; podobnie jak w ogóle myśl nasza nie da się zamknąć w ciasne ramy fenomenalizmu (H. Spencer), lub induktywizmu (Comte), albo być zakłętą w świat oderwany, świat ułudy, lub wreszcie gubić się w labiryncie słów bez pojęć i pojęć bez treści. Uniwersalizm i wszystkie szlaki myśli powołane do wykrycia jój drogi, szlaki krzyżujące się i nieraz napozór ze sobą sprzeczne, wzajemném ścieraniem się rozświecają dopiero tajniki ducha ludzkiego. To też prawdziwi myśliciele, którzy zdołają tajniki te przeniknąć, najczęściej wstrzymują się od przedwczesnego wznoszenia owych niebotycznych gmachów filozofii i szukania jedułej jakiegóś formułki dla wyjaśnienia wszystkich zjawisk świata; ostatnie cechuje arty-

Mill'a zostaną na zawsze nader ważnym przyczynkiem do dziejów ducha ludzkiego, okazem psychologicznym, nie mającym sobie równego pod tym względem we współczesnej literaturze. Są to dzieje duszy cierpiącej, opowiedziane z całą prawdą i bez przesady, bo bez świadomości swoich cierpień, więc i bez zamiaru przyniesienia sobie ulgi.

¹⁾ Göthe: „Faust.“

stów formy, ale nie mistrzów prawdy—wielkich budowniczych w krainie filozofii, to jest twórców kunsztownych systematów, ale nie genialnych prawodawców myśli, ani też kapłanów idei.

W tém krzyżowaniu się dróg do prawdy wiodących, w tém nagromadzeniu materiału zbadanego, bez nici przewodniej, myśl nasza nie wyrażałaby jednak poza przypadkowość ¹⁾, nie podniosłaby się do wykrycia prawidłowości i wzajemnej łączności zjawisk. Tą nicią przewodnią, a zarazem i pochodnią rozświecającą szlaki różnorodne i pozwalającą widzieć fakta w perspektywie logicznej, a nie w ruchliwym chaosie, jest—filozofia, a część jęj najogólniejsza, najbardziej syntetyczna—metafizyka.

Otóż niech nam wybaczy cień wielkiego Newtona, ale metafizyka nie gubi fizyki; przeciwnie, metafizyczne wyrobienie dyalektyki myślowej, przesiewanie prawd ułamkowych przez sito pojęć najogólniejszych, ostrzega nas przed zbytnią wiarą w te prawa, które najczęściej sami dla przyrody stwarzamy.

Ale wróćmy do Stuarta Mill'a, warto przyjrzyć się jego teizmowi, gdyż w nim najlepiej uwydatnia się ten, co i u współczesnych nam filozofów pessimistów kierunek myśli.

Jak powiedzieliśmy, inna droga doprowadziła go do tego dualistycznego rozsadzenia logicznej osnowy myśli ludzkiej, aniżeli współczesnych pessimistów niemieckich. Mill doszedł do tegoż samego rezultatu, co i oni; ale inną zupełnie drogą. Przyjrzyjmy się więc tej drodze i zobaczymy ostateczny wynik myśli całego życia ²⁾, tego niestrudzonego pracownika na niwie ducha ludzkiego, tego stoika nowożytnego, sympatycznego swoją rezygnacją, budzącego podziw—spokojem ducha, a zarazem i litość—tą maską nieczułości, jaką zimna logika jego przez całe życie tłoczyła duszę dla prawdy płomienną i ideałami często dręczoną.

Droga, jaka doprowadziła do dualizmu filozofów pessimistów, jest nam znana. I tak, jak widzieliśmy, żaden ze znanych dotąd sposobów tłumaczenia początku świata, nie nadawał się do programatu

¹⁾ Czyli, co jedno i toż samo—fenomenalizm nowszej filozofii.

²⁾ Czém się to dzieje, zapyta niejedyn może, że te ostatnie śpiewy i abędzie, wyniki półwiekowej często pracy, są nieraz słabsze od owoców w ciągu samego życia wydawanych? Bo w filozofii metoda badań znaczy najwięcej, a nie każdy nawet prawodawca metody, posilkuje się nią do końca umysłowej kariery swojej; nie każdy zawsze sam z sobą do końca jest zgodnym. Innym też zwykle daném jest korzystać ze wskazówek mistrzów prawdy, a nawet z ich błędów. I dlatego nie należy uważać tak zwanych ostatnich wyników myśli filozofów za najwyższy szczyt ich naukowej działalności. W każdym razie jednak, dostarczają one nader ważny materiał dla psychologów; są to najwymowniejsze może karty z dziejów błądzącego w poszukiwaniu prawdy—ducha ludzkiego.

nirwanowego ¹⁾. Gdy zaś pragniemy koniecznie dowieść czego, sposób w końcu znaleźć się musi; wiadomo np., że złe życie nasuwa często argumenta przeciwko zasadom etycznym, a człowiek wmawia w siebie, że wierzy w te argumenta, bo one dlań wygodne. Ztąd bywamy często sofistami pomimo wiedzy. Podobnie i współcześni wyznawcy i głosiciele nirwany, chcąc koniecznie udowodnić swoje teorie, znaleźli i na to sposób; zmienili oni, jak widzieliśmy ²⁾, dotychczasowe pojęcie absolutu, a raczej przenieśli środek ciężkości tego pojęcia w łono człowieka. Otóż i podźwignięto na wyżyny metafizyki indukcyjnej—współpracownictwo człowieka z Bogiem.

Mill widział w naturze przejaw praw nieubłaganych, zimną rachunkowość, wspieranie szczęśliwszych i silniejszych, prześladowanie i gnębienie cierpiących i słabszych.

W naturze saméj, powiada on, widzimy taką obojętność, taką nieczułość na cierpienia w ogóle, taką wreszcie niesprawiedliwość i zawziętość, że naśladowanie jéj doprowadziłoby do zbrodni ³⁾.

„Jestto jedno z powszechnych praw natury, jedno z tych mianowicie, które uwydatniają cechującą ją niesprawiedliwość, oto: że daném będzie temu kto posiada, u tego zaś kto nic nie posiada odebraniem będzie cokolwiekby posiadał” ⁴⁾.

W inném miejscu znowu mówi on: „z łatwością zarabia nie biedny, ale bogaty.”

Słowem w naturze, widzimy, zdaniem Mill'a, takie zjawiska, które jeśli się trafiają w sferze ludzkiej działalności, stają się godnymi pogardy, a przeto ktokolwiek w czynach swoich usiłowałby naśladować ten naturalny porządek rzeczy, byłby powszechnie uznanym za najzłotliwszego z ludzi.

Wszystko to, mówi Mill, chcąc przekonać jak nierozsądną a nawet i niemoralną jest doktryna, opiewająca że człowiek powinien stosować się do natury, iść wyłącznie za jéj wskazówkami (nature sequi), czyli „że powinien przypadkowy porządek rzeczy, brać za normę własnych swych swobodnych czynów.”

Z tém wszystkiém zgadzamy się najzupełniej, ale punkt wyjścia Mill'a w tém potępieniu natury jest błędnym; nikt w naturze nie szuka etyki ale praw stałych, etyczność wiąże się z pojęciem woli, zamiaru i celu, czyli z pojęciem osobowości. Wszakże i samemu Mill'owi nie szło o same fakta natury, które są obojętne, ale o dzieło Stwórcy, nie mógł bowiem przypuścić, aby istota Wszechpotężna i Wszechdobra stworzyła świat w którym są cierpienia, w którym natura sama popełnia czyny niesprawiedliwe.

Słowem, Mill widział jakąś konieczność złego w ustroju świata,

¹⁾ Pracy naszej str. 84 i dalsze.

²⁾ Tamże, § 5.

³⁾ „Nature,” str. 11.

⁴⁾ l. c. str. 33.

jakiś element psotny, na każdym kroku rzucający cień na stworzenie, a więc i na Stwórcę. Ten element złości uważa on za siłę odrębną, ale tak potężną, że absolut, to jest organizator świata, zależnym jest od niego. Ztąd téż Mill w ogóle stara się dowieść, że cokolwiekby przytaczano na poparcie zdania, że ze złego często i dobre wynika, to zawsze jednak ogólną złego dążnością jest wywoływanie wiecznie i wszędzie większego jeszcze zła. „Kaźda choroba, powiada on, usposabia organizm do wielu innych chorób”¹⁾. Słowem, podług tego pesymistycznego poglądu Mill'a na świat, wszystkie złe skłonności potęgują się w człowieku drogą zwyczaju, wszelkie ułomności ciała i zбочenia ducha dążą do coraz większego owładnięcia nim²⁾.

Kto ma dużo, temu będzie daném jeszcze więcej, a kto ma mało i to mało odebraném mu zostanie—oto prawo natury, zdaniem Mill'a, oto nieubłagana zimna logika, świat przenikająca.

Nie rozumiał jednak Mill tych głębokich słów ewangelicznych. Tak jest, dobro rodzi dobro a zło, w zło się potępuje; prawo przyczynowości jest ogólném prawem świata, zarówno świata zjawisk, materji, jak i świata ducha. Chrystus wypowiedział głęboką prawdę, prawdę istotnie filozoficzną³⁾, ale należy głębiej wniknąć w te słowa Jego, właściwie je rozumieć. Istnieje, że tak powiemy, adaptacja zarówno w świecie materji jak i w świecie ducha, istnieje jedno powszechne prawo w dążeniu do celu to jest dobro—zgodność z celem: w świecie materji dobrém są właśnie te zimne, nieubłagane prawa natury, czyli jęj prawidłowość, w świecie myśli—zimne, nieubłagane prawa logiki, w świecie etycznym, w życiu osób, indywiduów—zgodność z przeznaczeniem, niezbaczenie z drogi do celu, czyli do ideału etycznego wiodącej. Zбочenie organiczne, zбочenie od natury karze sama natura, zło, czyli zбочenia od drogi etycznej, słowem grzech, karze moralny us-trój człowieka: jego sumienie.

Choroba ciała grozi organizmowi, czyni go skłonniejszym do innych zбочeń, czyli zmniejsza odporność jego na zгubne wpływy otoczenia; błędy logiczne niespostrzeżone, grożą nawykiem do niewłaściwego wyprowadzania wniosków z danych przesłanek, czyli do nielogicznego myślenia; grzech powtarzany zobojętnia odpór sumienia przeciwko nienormalnym popędom duszy, czyli usposabia do nawyku złego. A więc choroba zmniejsza siłę odporną organizmu, błąd siłę odporną praw logicznych, grzech potęgę ideałów etycznych. Natura, powtarza-

1) Theisme, str. 34.

2) Dodajmy, że na mocy tegoż samego prawa potęgują się w człowieku i dobre strony jego, należałoby więc dowieść przewagi złych pierwiastków w rozwoju zarówno ciała jak i duszy. Lukę tę w dowodzeniu, zapełniła dopiero współczesna szkoła filozofii pesymistycznej.

3) Wszelka myśl głęboka z zakresu religii czy etyki, jest zarazem myślą filozoficzną, prawda jest zawsze prawdą, prawda etyczna i—filozoficzną zarazem.

my, nie może być moralną lub niemoralną, dobrą lub złą, podobnie jak czyn etyczny nie jest wyrachowaniem, rezultatem arytmetyki utylitarnej, ani praw mechaniczno-organiczných; istotą natury jest prawo przyrody, zimne, nieubłagane, czyli *prawidłowość materji*, istotą etyki—swoboda a przy niej pragnienie ideału, dobra etycznego, łaknienie sprawiedliwości, czyli *prawidłowość duszy*, jej zdrowie.

Tak jest, kto ma, temu daném będzie jeszcze więcej; każdy bowiem czyn etyczny jest objawem zwycięstwa moralnego, spotęgowania siły etycznej, siła zaś ta potęguje się hartując się na czynach i rośnie tą drogą w nieskończoność: wszelki czyn moralny jest zapowiedzią innego i tak coraz dalej. Przeciwnie, kto niema, odebraniem odeń będzie to coby posiadał ¹⁾, bo cokolwiek posiędzie nie z siebie, nie siłą etyczną, nie walką i cierpieniem, będzie naleciałością obcą mu, więc odeń prędko odejdzie. Albowiem *zatyło serce* ²⁾ jego przez nieuprawianie cnót, przez przywalenie źródła etyczności, *roztropnością* ³⁾ świata.

A w takim razie i dowodzenie, że praw natury nie należy brać za normę czynów, nie ma nawet uzasadnienia. Owszem, bądźmy tak *prawidłowi* w dążeniu do ideału, jak natura jest *prawidłową* w swoim dążeniu do stałości praw; ale to nie znaczy, żeby cele i drogi nasze były też same.

Mill nierozróżniał tych pojęć, a w takim razie nic dziwnego, że świat wydał mu się napiętnowanym złem. Z drugiej jednak strony poczucie sprawiedliwości wrodzonym było duszy jego, nie widząc zaś objawów tej sprawiedliwości w przyrodzie, ani mając rękojmi istnienia jej w innym życiu, myśliciel ten nie mógł zasnąć spokojnie, nie mógł opuścić tego padołu nietylko może płaczu ile nudów ⁴⁾, nie wynalazszy sposobu, jakimby wyjaśnić zło na świecie oraz oczyścić z zarzutu tyraństwa—Boga. A zadanie to wydało mu się, i słusznie, nader trudnym, zwłaszcza przy tak nieodpowiedniém postawieniu kwestyi. Boć jakżeż pogodzić wszechpotęgę Boga z nędzą świata, z jego cierpieniami? Jakżeż przypuścić, aby ów absolut chciał stworzyć coś tak potwornego ze stanowiska miłości bezwzględnej, jak zimną i nieubłaganą w swojej stałości naturę, a tém samém skazać tyle pokoleń ludzkich i w ogóle istot organicznych na ustawiczne cierpienia. Chyba, że Bóg nie mógł działać inaczej?

Tak jest, odpowiada Mill, Bóg jest istotą najpotężniejszą ze wszystkich istot, przytém najlepszą i najmędrszą, ale nie wszechpotężną, nie wszechmocną, ani wszechswobodną, czyli niezupełnie niezależną. Słowem, lubo jest istotą nader wielką i obdarzoną najlepszymi zamiarami względem stworzeń swoich, ale jest ograniczoną pewnymi przeszkodami, jakie spotyka w urzeczywistnieniu swego celu, w przeprowa-

¹⁾ Mat. 13, 12, 25, 29.

²⁾ Mat. 13, 15.

³⁾ Luk. 16, 8.

⁴⁾ Porów. pracy naszej część II, str. 49.

dzeniu swoich planów. Przeszkody te tkwią w materji, którą Bóg tylko porządkuje przy stwarzaniu świata, to jest w jej własnościach stałych, niezmiennych, oraz w jakichś prawach niewzruszonych, z pod których sam Bóg wyłamać się nie jest w stanie, czyli co jednoznaczne, od jakiegoś fatum, wyżej bogów stojącego, w które wierzyli starożytni.

Doszedłszy zaś do takiego określenia istoty Boga i stosunku Jego do stworzenia, Mill temi słowy kończy rzecz swoją o przymiotach i własnościach bóstwa:

„Oto Bóg, jakim Go nam przedstawia religia naturalna, wszelkie zaś inne pojęcie o Bogu ponętniejsze, płynie wyłącznie z pragnień naszych, lub też źródło swe ma w objawieniu prawdziwem czy też ułudném, rzekomém” ¹⁾. Oto rezultat badań myśli jakoby nieuprzedzonej. Jestto, zdaniem Mill'a, jedyne pojęcie teologiczne zgodne z rozumem i oparte na danych rzeczywistych, to jest na ustroju i zjawiskach świata. A w takim razie i zarzut czyniony Bogu względem niedokładności świata, jego ułomności i okrutnej obojętności—zdaniem Mill'a upada najzupełniej. Tylko przy takiem pojęciu o Bogu, zyskuje On w oczach naszych, inaczej przy dawniej teoryi o Wszchemocy bożej, zło na świecie przemawiałoby przeciwko Bogu. Mill zaś przekłada Boga słabszego ale dobrego nad wszechmocnego, ale z ciężącym na nim zarzutem braku litości, woli więc ująć Boga mocy, ale otoczyć Go blaskiem dobroci; najlepszym zaś wydaje mu się Bóg jego własnej kreacyi. Jakkolwiek bowiem, powiada on, stwórca odpowiada za dzieło przez siebie stworzone, to jednak nie można na karb jego kłaść tych niedokładności, jakie były odeń niezależne, których on nie miał siły usunąć. A jeśli kto zarzuci, że w takim razie nie należało porywać się do rzeczy, jaką nie ma się siły wykonać odpowiednio; Mill odeprze, że celem świata nie jest szczęście ludzkie, Bóg stwarzając świat miał zdaje się inny cel, o spełnienie którego chodzi Mu przedewszystkiem ²⁾. Jaki ten cel, Mill nie wypowiada, widzi on tylko, że szczęście nie jest wyłącznym celem stworzenia, a twierdzi to dlatego, że inaczej musiałby wedle swój teoryi jeszcze umniejszyć przymiotów boskich i wykazać albo zupełną nieudolność Stwórcy, który nieprzewidział cierpień ludzkich, albo też powrócić do teoryi wszechpotęgi Boga, a w takim razie ująć Mu przymiot dobroci. Popędy etyczne, pragnienia serca wstrzymały go od tego, wolał więc Mill ująć Boga siły, a dzięki takiemu ograniczeniu Jego potęgi, uratować Go od zarzutu niesprawiedliwości czyli przywrócić Mu wartość etyczną. Głosi przeto, że chociaż głównym celem stworzenia świata nie było szczęście człowieka, to jednak mając najlepsze względem stworzeń swoich zamiary, Bóg pragnie tego szczęścia i w pewnej mierze stara się nawet szczęście to im zapewnić. Słowem Stwórca zrobił co tylko mógł, aby świat był dobrym, świat ten jest też wedle Milla, podobnie jak i wedle Hartmanna, najlepszym z możliwych

¹⁾ Theisme, str. 181.

²⁾ „Dobroć, powiada Mill, jest atrybutem Boga, ale nie wyłącznym jego celem, inaczej świat uważać należało jako dzieło fatalnie nieudane.”

światów, to jest ze światów jakie mogły powstać w danych trudnych warunkach i w obec przeszkód materji; ale z drugiej strony Bóg nie jest wszechpotężnym, ani świat wszechdobrym.

Oto jak wyjaśniona zagadka cierpienia, oto jak strona etyczna Boga ocalona a co ważniejsza, metafizyka ta a raczej nowa teologia namaszcza człowieka na współpracownika Boga, daje mu szczytne posłannictwo pomagać Bogu w zwalczaniu zła i tym sposobem wywyższa go ponad grubą materją, daje mu poczucie godności jego i zbliża do bóstwa samego. Odtąd cierpienia jego przemienione w męczeństwo dla idei dobra powszechnego, samowiedza walki uszlachetnia życie, nędze świata budzą politowanie, a przeświadczenie o pracy dla idei, wlewa balsam do zbolałej duszy i goi rany, jakie zło świata zadaje. Człowiek, powiedział Pascal, wyższym jest od wszechświata, choć go ten przytłacza, bo wie, że umiera ¹⁾, Mill mógłby dodać: bo wie dlaczego cierpi.

Wspomnieliśmy wyżej ²⁾, że jest dążność w filozofii współczesnej do zmniejszania potęgi Boga dla podniesienia jego etyczności, otóż teoria Boga-architekty nadaje się najlepiej do tej dążności—co jednak nie przeszkadza, że tenże sam Pascal nazwałby taką dyalektykę le jugement du coeur, i w tych dobitnych słowach zawarły i genezę i doniosłość filozoficzną tych nowych produkcji wymęczonj myśli i serc zbolałych. Ale wróćmy do samej teoryi Budowniczego świata.

I tak wedle tej teoryi, która ostatniemi czasy tak wymownego znalazła orędownika w Stuarcie Mill'u, Bóg jest istotą najpotężniejszą ze wszystkich istot, przytém najlepszą i najmędrszą, ale nie wszechpotężną, nie wszechmocną, ani wszechswobodną; słowem lubo jest istotą nader wielką i obdarzoną najlepszemi zamiarami, ale jest ograniczoną pewnemi przeszkodami, jakie spotyka w urzeczywistnieniu swego celu, w przeprowadzeniu swoich planów. „Twórca mechanizmu, zapewne, odpowiada za to, że go uczynił podległym cierpieniom, powiada Mill ³⁾, ale z drugiej strony wynik ten mógł być nieodzownym warunkiem aby mechanizm ów uczynić także zdolnym do odczuwania przyjemności. Przypuszczenie to, dodaje on, byłoby niedorzecznem w teoryi wszechpotęgi Stwórcy, ale jest nader prawdopodobnem w teoryi stworzyciela, zmuszonego stwarzać w obec przeszkód jakie mu stawiają nieubłagane prawa czy też niezmiennie własności materji.”

Taka teorya stworzenia świata, takie pojmowanie Stworzyciela, na pierwszy rzut oka rzeczywiście zyskuje na moralném znaczeniu. Ale jest to tylko pozorném wyjaśnieniem trudności metafizycznych w określeniu stosunku Boga do świata. I tak, wykazaliśmy już błędne widze-

¹⁾ L'homme est plus noble que l'univers, fût-il érasé par lui, parce qu'il sait qu'il meurt.

²⁾ Wyżej, § 7, str. 159.

³⁾ Theisme, str. 178.

nie zła w prawach przyrody, dodajmy nadto, że pojęcie złego jest nad-der względem pojęciem, a ztąd nim tą niemocą bożą wytłómaczymy sobie nędze i cierpienia świata, należałoby przedewszystkiém dobrze zbadać czém właściwie jest zło, a może właśnie to zło materyalne, jakie w naturze widzimy, odniesione do wyższych celów, jest dobrem moralnem a przynajmniej środkiem osiągnięcia takowego, gdyż etyczność człowieka wyrabia się właśnie wśród przeszkód, walk i cierpień, zasługa moralności zdobywa się poświęceniem. Nie tu miejsce kwestyę tę bliżej rozstrzygać, powtórzmy więc tylko cośmy już powiedzieli, dodając przytém, że błąd Mill'a polega głównie na widzeniu zła w naturze, gdy tam jest tylko konieczność, tylko prawo niezmienne. Jeszcze raz powtarzamy: dobrem w człowieku jest etyczność czyli prawidłowość moralna; dobrem w naturze—prawidłowość fizyczna czyli celowość zachowawcza. Prawo jest koniecznością, sprawiedliwość wyrobem swobodnym samowolnej i samodzielnej istoty ducha naszego. Natura więc nie jest ani dobrą ani złą, jest prawidłową; byłaby złą, gdyby nie ulegała prawom stałym, choć i to przypuszczenie niemożliwe: świat rozprysnąłby się wtedy w chaos, a nawet i temu rozprysnięciu towarzyszyłyby prawa natury.

Teizm Mill'a i z tego względu jest ciekawym, iż zaznacza on ten zwrot w pojęciu świata, jaki ostatnimi czasy przejawiał się wśród niektórych myślicieli, a mianowicie ów powrót do starożytności klasycznej, jaki widzimy w umniejszaniu potęgi Stworzyciela dla wytłómaczenia nędz i ułomności świata, a tęp samém bezwiedne wynoszenie do godności absolutu pojęcia etycznego ¹⁾, pojęcia fatum klasycznego. Bo rzeczywiście, czyliż Bóg, zarazem Stuarta Mill'a jak i Hartmann'a i Mainländer'a, a zwłaszcza tego ostatniego, nie przypomina nam bogów świata klasycznego, nad którymi wyżej stoi fatum, konieczność, u pierwszego fatum etyczne u drugiego i trzeciego fatum bez treści, nieokreślone, występujące w formie woli, jako ślepy rodzic istnienia (Hartmann), lub w for-

¹⁾ Pojęcie etyczności czyli prawidłowości moralnej w przejawach świata, stawianie wymagań sprawiedliwości na czele norm istnienia, jest częstym i ze wszech miar uzasadnionym wymaganiem myśli ludzkiej. Jestto toż samo prawo konieczności (prawidłowości moralnej), które warunkuje przyczynowość w ogóle w zjawiskach świata. Metafizyczne znaczenie wymagań prawidłowości moralnej, jest jedną z najciekawszych stron filozofii i odkrywa szerokie pole dla dociekań ludzkich. Pomiedzy niemieckimi myślicielami na metafizyczną stronę etyki zwrócił głównie uwagę Fichte Młodszy, dla którego teizm etyczny (der ethische Theismus) jedynie tłómaczy skończalność świata i istnienie ludzkie. Porów. jego rozprawę: „Ueber den Unterschied zwischen ethischem und naturalistischem Theismus.” Leipzig, 1856; oraz: „Die theistische Weltansicht und ihre Berechtigung. Leipzig, 1873; a także polemikę z Zellerem przeprowadzoną w broszurze: „Fragen und Bedenken über die nächste Fortbildung deutscher Spekulation, Leipzig, 1876.

mie ograniczenia z własnej istoty Boga płynącego (Mainländer) ¹⁾. Taki Bóg, jak go Mill lub Mainländer przedstawia, jest to Bóg w szacie człowieka, więc antropomorfizm jaknajczystszej wody, słowem istota nam podobna, tylko od nas lepsza i potężniejsza, ale nie wszechpotężna; jest to najwyższy szczebel w drabinie istot duchowych, podległy także, podobnie jak i niższe szczeble istot organizacyi duchowej, wiecznym prawom konieczności, fatum, które właściwie jest Bogiem.

W tém wyjaśnieniu powstania świata, w którym Bóg używa danego, istniejącego już i gotowego materiału do budowy świata prócz antropomorfizmu, to jest przeniesienia pojęć ułomności ludzkiej do olimpu metafizycznego, przebija niewytłómaczony dla umysłu naszego dualizm filozoficzny. Dualizm taki, opiewający walkę dwóch równomiernych potęg w świecie, ruguje tém samém pojęcie absoulutu, albo przenosi je wyżej ponad Bogów-budowniczych (Mill), lub pierwiastków walczących pomiędzy sobą (pierwiastek dobrego i złego) a tym sposobem nie wyjaśnia pojęcia absoulutu, metafizyczne pojęcie o istnieniu *κατ' εἶσορην* usuwa z zakresu myśli i zadawalnia się wynalezieniem formułki przez wyobraźnię ukutej. Dodajmy jeszcze, że przy takiém tłómaczeniu początku świata, tém mniej może być mowy o nicości, bo tu występuje wieczność samego już materiału, danego Bogu (przez twórców tych systematów) do budowy świata. To téż Mill w tém był konsekwentnym, że lubo pesymistycznie na świat patrzył, lubo i dla niego nicość była ideałem szczęścia ²⁾, to jednak nie głosił światu nirwany, a jeśli ograniczył potęgę Boga, to jak widzieliśmy: 1) dla obronienia Go z zarzutu stworzenia piekła na ziemi, oraz 2) dla wskazania celu człowiekowi, wytknięcia mu szczytnego zadania współpracownictwa z Bogiem w walce ze złem, zarówno materyalném jak i moralném. I tak po wskazaniu na uczucia szlachetne, mające stworzyć nową religię, religię rzeczywistą to jest religię ludzkości albo obowiązku, Mill kończy temi słowy swój traktat o teizmie:

„Czyniąc nadto prawem dla życia naszego dobro bliźnich, możemy tym sposobem współdziałać z Istotą niewidzialną, której zawdzięczamy wszystko cokolwiek mamy dobrego w życiu naszym... Przyczynić się w ciągu życia naszego czémśkolwiek, choćby w najmniejszym zakresie, do przyspieszenia ostatecznego tryumfu dobra nad złem, należy do tych myśli, które dzięki ponętnej swój stronie i ożywczemu ich wpływowi, zdolne są same przez się natchnąć człowieka. Właśnie ta myśl, bez względu na to czy ma czy niema sankcyi nadprzyrodzonej, powołaną jest ugruntować religię przyszłości” ³⁾.

Tę religię przyszłości Mill opiera właśnie na uzuanii wartości życia etycznego człowieka; a lubo Bóg potrzebuje i jego pomocy, to

¹⁾ Ztąd téż owe niezrozumiałe, nielogiczne nawet zwalczanie przez Boga przeszkód (fatum) drogą kreacyi.

²⁾ Pracy naszej część II, rozd. I, str. 48—49.

³⁾ Theisme, str. 241.

jednak poza tą pomocą w zwalczaniu zła, człowiek jest bezsilnym wobec tajemniczego fatum istnienia. Słowem, Mill podnosząc zadanie człowieka kosztem potęgi Boga, nie zrobił go jednak absolutem, powołał go do szlachetnej roli współpracownictwa etycznego, ale nie dał mu siły zbawczej względem istnienia w ogóle. I w tém znaczeniu Mill jest bardziej pesymistą, niż sami pesymiści, bo filozofia jego nie daje światu pocieszającej odpowiedzi (die trostreiche Antwort ¹⁾), nie głosi—nirwany; wskazuje on na nią, jako na niebo, ale nieba tego nie obiecuje; uchyla zasłony raju, ale tłumaczy, że to złudzenie. Jest on pod tym względem konsekwentniejszym od filozofów-pesymistów, bo nie pociesza innych i siebie iluzjami, podobnie jak Hartmann i Mainländer; wniknąwszy głębiej w istotę bytu, zrozumiał on widać, że dualizm prawdziwie pojęty, podobnie jak i monizm, nie wytłumaczy nirwany. Ale z drugiej strony, znajduje on ulgę dla swego pesymizmu we wnętrzu swego ducha, w kryterium sumienia—w etyce. Pragnienie ideału, etyczności, skierowuje myśl jego na nader ważną, a przez pesymistów zaniebaną stronę istoty człowieka; wiara w potęgę ideału, w zadowolenie wewnętrzne, będące skutkiem wypełnienia obowiązku, a ztąd etyka, która zdradziła go w kwestyach metafizycznych—ocala od ostatecznego zwątpienia i rozpaczki w życiu. Religia humanizmu, kult obowiązku, zbliża go do Religii ludzkości Comte'a, a dając pokarm dla serca, uspakaja go; a lubo głosząc religię przyszłości, Mill wtóruje marzeniom wielkiego jej arcykapłana (Comte'a), to jednak nie wpada w śmieszność tego ostatniego, bo nie marzy o wyższej religii nad chrystyanizm, ale zasady chrześcijańskie uznaje za szczyt moralności ludzkiej ²⁾. Gdy tymczasem ideały moralne chrystyanizmu nie wystarczają ani wyznawcom pozytywizmu, ani współczesnej szkole pesymistycznej, a jeśli ci ostatni powołują się na doktrynę Chrystusową moralności, to jedynie dlatego, że widzą w niej nawoływanie do nirwany. Strona etyczna chrystyanizmu nie jest dla nich dość wysoką: wolą oni jej stronę metafizyczną i to własnego swego komentowania.

C. Dualizm podobnie jak monizm, nie wyjaśnia nirwany, ztąd też pesymizm filozoficzny krążąc pomiędzy jedną i drugą zasadą bytu, wpada w sidła, jakie sam na istnienie zastawia, w sidła nielogiczności.

Powiedzieliśmy, że dualizm manichejski, przez Milla odnowiony, nie daje rękojmi nirwany, gdyż pomijając już równomierność dwóch pierwiastków: złego i dobrego, przy takim pojmowaniu powstania świa-

¹⁾ Patrz pracy naszej, część I, str. 19.

²⁾ Niechby rozumowanie krytyczne pozbawiło nas wszelkiej wiary, powiada Mill, zawsze jednak Chrystus nam pozostanie, owa postać jedyna, która wznosi się zarówno ponad wszystkich swoich poprzedników jak i następców. Theisme, str. 237.

ta, występuje z konieczności rzeczy wieczność i samego materiału, danego Bogu do budowy świata. To też i przedstawiciele pesymizmu współczesnego, używają dualizmu tylko jako półśrodka, jako sofizmu chwilowego, przechodniego. Prawda, że takim sposobem zdają się sami siebie oszukiwać i wygłaszają jedną zasadę bytu, by wnet inną powołać do życia; ale w filozoficznym swoim zaślepieniu nie zdają się oni zważać na te przeskoiki logiczne. Nic też im nie przeszkadza w snuciu planów metafizycznych, lub w opiewaniu losów świata. Z myślą ludzką igrają oni, jak z dzieckiem; logikę rozciągają na łożo Prokrustesa i zdają się powodować jedną tylko wyobraźnią; wyobraźnię tę podsycają sztucznymi ideałami, a pegaz ich filozoficzny najwyżej wzłata i są najwymowniejszemi wtedy, gdy na tle téj fantastycznej krainy, wśród jéj czarownej atmosfery, malują raj swój—nirwanę.

To przerzucanie się w snuciu dziejów metafizycznych świata, da się najzupełniej wytłomaczyć chęcią dowiedzenia pewnej, z góry powziętej myśli, nawet pod grozą zaprzeczenia samemu sobie.

I tak dualizm zdawał się im zrazu najlepiej wyjaśnić powstanie świata. Więc też idea budzi się z uspienia, przez wolę powołana do życia (Hartmann); Bóg zależny od wyższego pierwiastku, jakiegoś nowego *αυαρη*, dla osiągnięcia celu swego rozsypuje się we wszechświat (Mainländer). I rzeczywiście, pomijając u zasadnienie tych zakulisowych przygotowań, sama scena wyjaśnia się w ich systematach, a raczej uplastycznia się wyraźnie. Ale i ten dualizm, jakkolwiek czysto mechanicznie pojęty, nie wystarcza dla reżyseryi nirwanowej, skoro wypada jéj zakończyć dramat istnienia; powołany do istnienia świat, nie może wiecznie gościć na scenie bytu, trzeba go przecież usunąć, bo na tém zasadza się cel całej sztuki. Otóż i przypomina się im swoja nieobecnością wszechwładny zawsze dla myśli ludzkiej monizm filozoficzny i na chwilę zdaje im się znowu, że właśnie monizm ten powołany jest rolę nirwanową odegrać. I rzeczywiście, przy równouprawnieniu pierwiastków bytu—woli i idei (Hartmann), Boga i konieczności (Mainländer), walka nie byłaby rozstrzygniętą; mielibyśmy ustawiczne mocowanie się tych tytanów metafizycznych, przewagę to jednego z nich, to drugiego, ale istnienie trwałoby wiecznie. I oto boczną kryjówką dyalektyczną znowuż wprowadzonym jest w systemata pesymistyczne ów potentat filozofii—monizm. Idea, rozum, osiąga przewagę nad ślepią wolą; filozofia nieświadomego uzbraja rozum przeciwko pierwiastkowi woli, łudzącemu do życia i zapewnia zwycięstwo idei—nirwanę. Mainländer, który dla wyjaśnienia początku świata uczynił Boga ograniczonym własną nieograniczonością ¹⁾, złączył w jedno pojęcie wolę i ideę; wolę bowiem świata do życia uczynił ideą Bożą osiągnięcia znikomości: istnienie toruje drogę do nicości, życie do śmierci ²⁾. Świat powstał na to, aby Bóg przezeń cel swój osiągnął—nirwanę; zwycięża

¹⁾ Pracy naszej, część I, str. 11.

²⁾ Tamże, część III, str. 147—148.

w końcu—idea, rozum, który w nicości widzi szczyt swoich pragnień. Jakkolwiek więc wszyscy pesymiści głoszą apoteozę woli ¹⁾ i pierwiastek ten kładą w osnowę świata, ale właściwie wyciężą tu idea, czy nazwą jej wola oświecona, czy idea od woli wyzwolona ²⁾. Ale i ten monizm nie wyjaśniłby nicości; idea absolutu, czyli istnienia par excellence, nie da się zbratać z nicestwem, gdyż trzeba by myśli naszej stwarzać to pojęcie, a ta nicość dyalektycznie stworzona, będzie także bytem, choćby nawet i nosiła nazwę bytu w zarodku, czyli możności istnienia (im Werden). I monizm przeto nietylko nie tłómaczy możności nicestwa, ale nawet utrudnia pesymlstom rozplątanie tego węzła metafizycznego. Utrudnia, mówimy, ale nie pozbawia nadziei; i któryż ze współczesnych metafizyków nie wzięły na swe barki najcięższych nawet zagadnień filozofii? Wiek nasz odznacza się właśnie tą niewyczerpaną pomysłowością w radzeniu sobie, tą łatwością w usuwaniu z drogi wszelkich przeszkód, co wszystko ułatwia ostateczne wykończenie gmachów filozoficznych, a raczej sztuczne załatwienie braków i próżni w osnowach muru wznoszących się budowli. Toż samo powtarza się i przy tworzeniu niebotycznych gmachów filozofii nicości.

I oto jako ogniwo, łączące wspomniane wyżej antynomie, niemal z konieczności rzeczy zjawia się w filozofii pesymistów pośredni termin dwóch bytów: istnienia i nicości, jakby ich ogniwo mistyczne—kapłan, mający złożyć całopalenie na ołtarzu nicości i spełnić tym sposobem ową wielką ofiarę, której świat oczekuje. Tęm ogniwem, łączącym antynomie bytu, tym kapłanem nirwanowym—jest człowiek. I nic dziwnego przeto, że zadanie jego w filozofii pesymistycznej rośnie coraz wyżej, siła potęguje się bez końca: niedość bowiem pomagać Bogu w walce z innym żywiołem, walka trwałaby mogła wiecznie; taką rolę wskazywać mogą ludzkości tylko ci, którzy zrezygnowali z raju nirwanowego, którzy zadawałnają się samem pragnieniem ideału, którym wystarcza poczucie pracy dla idei, przeświadczeniem o pomocy niesionej Bogu w zwalczaniu zła, bez względu na to, że dla tej walki nie przewidują końca. Idealizm Mill'a jest niezrozumiałym dla pesymistów współczesnych. Trzeba i siebie i Boga wyzwolić—wołają oni. Otóż i zrobili oni człowieka głównym aktorem dramatu, od niego zależy los istnienia, w nim dojrzewa myśl Boża, on jeden jest w stanie ją wykonać.

Ale czy ją wykona, czy odegra odpowiednio dramat, którego jest osiłą? Człowiek bowiem rodzi się Hamletem, mającym ziszcć nakaz ojca (Boga) i jego nęci zrazu życie i ułudne jego rozkosze i do niego świat wyciąga zwodnicze swoje ramiona i przyciąga go swemi ponętami, a wiara w ideały—iluzyc, wstrzymuje od spełnienia ciosu. Filozofia nicości dopiero przypomina mu nakaz zagrobny, odsuwa przeszkody i pozbawia go wahania się; ona daje mu pewność: Schopenhauer odskania mu całą nędzę istnienia, Hartman przekonywa go celowością

¹⁾ Pracy naszej, część III, § 5 str. 116.

²⁾ Tamże, część III, § 6 str. 137—140.

świata, Mainländer naukami przyrodniczemi, a głównie astronomią. Filozofia nicości jest więc wysłanką z tamtego świata, jest posłem króla mściciela, jest duchem ojcowskim, a raczej grobowym głosem jego, tętniącym ciągle w uszach nowoczesnych Hamletów—filozofów. Duch ten zjawia się jednak nie wśród cudowności, nie we mgle nocnej, a wśród dnia białego; głos jego niema cech grobowych tamtego świata, nie jest on cichym szeptem, lub jękiem tłumionym, ale wyraźnym, drukowanym, w ładnej szacie, z odcieniem jowialnym nawet; dowody zaś jego nie w bojaźni nadprzyrodzonego, nie w dreszczu, ani zachwycie cudownym, ale w naukach ścisłych, w aktach spisanych przez doświadczenie; słuchasz go nie wśród niepewności, czy to rzeczywistość, czy złudzenie, treść swą udowadnia on faktami: dziejami świata i zdobyczami wiedzy.

I długoż jeszcze będzie się wahał Hamlet nowoczesny—ludzkość?

Nie... pesymiści przekonani, że akt się spełni, skoro tylko światło prawdziwej filozofii oświeci ludzkość. „Wielką jest siła prawdy i ta zwycięży!”¹⁾ woła ostatni przedstawiciel filozofii nicości²⁾. Człowiek, dodajmy, jest arcykapłanem, złożyć mającym całopalną ofiarę ze świata na ołtarzu nicości; on jest kapłanem i ofiarą³⁾ zarazem, a więc prorokiem i zbawcą świata.

Widzimy więc, że pojęcie współpracownictwa człowieka z Bogiem stopniuje się w nowszych czasach; u Mill'a człowiek jest tylko pomocnikiem Bożym, u Hartmanna i Mainländera (podobnie jak i u ich pierwowzoru—Schopenhauera) jego zbawcą, czyli sam Bogiem—absolutem⁴⁾. Jestto nowa apoteoza człowieka; a Ludwik Feuerbach bezwiednie kreślił obraz współczesnej nam filozofii, gdy w 1841 jeszcze roku pisał:

„Istotę człowieka stanowi to, że on jest wyższem jestestwem; chociaż religia wyższem jestestwem mianuje Boga, którego uważa za jestestwo odrębne, ale właściwie jestto tylko wynik naszej istoty, a ztąd punkt zwrotny w dziejach wszechświata polega na tém, że odtąd Bogiem dla człowieka powinien być nie Bóg, ale—człowiek⁵⁾.”

Tak jest, kreśląc te słowa, Feuerbach jakby przeczuwał charakter dalszego rozwoju spekulacji niemieckiej. Dziwna rzecz jednak, że tę apoteozę człowieka głoszą właśnie pesymiści. Czyliżby to tłóma-

1) Magna est vis veritatis et praevalerebit!

2) Mainländer: „Die philosophie der Erlösung,“ str. 348.

3) „Opfer bedeutet Resignation überhaupt, und die übrige Natur hat ihre Erlösung vom Menschen zu erwarten, welcher Priester und Opfer zugleich ist.“ Schopenhauer: „Welt als Wille und Vorstellung,“ wyd. 1877, tom I, str. 450.

4) I nie dziwnego, pojęcia absolutu nikt nie zdoła wyrugować z filozofii, co najwyżej przenosić je można. Porównaj pracy naszej część III, str. 116.

5) „Das Wesen des Christenthum,“ 2-te Auflage, str. 402.

czyć wyrzutem sumienia, to jest, że potępiwszy istnienie i poniżywszy człowieka, w końcu jakby dla rehabilitowania go, podnoszą go pod niebiosą, a nawet osadzają na opustoszałym od pewnego czasu w filozofii niemieckiej tronie absolutu. Jakkolwiek bądź, zawsze absolut odnalazł się. Szkoda tylko, że ten nowy Bóg—człowiek jest tak nędzną istotą, jak go pesymiści przedstawiają i że nie może stwarzać, ale tylko niszczyć. Jestto więc absolut i nie absolut, jak zresztą wszystkie absoluty filozofii niemieckiej, gdyż ograniczonym jest wolą absolutu poprzedniego.

Jeśli bowiem Bóg Mailändera ograniczony jest własną nieograniczonością, to człowiek ograniczonym tu jest tą nieograniczoną wolą Boga (a raczej Schopenhauera, Hartmanna i Mailändera)—wolą osiągnięcia Nirwany. O, bo jak trudno nieskończoność zamknąć w granice myśłą naszą zakreśloną; a koryfeusze filozofii nicości nie zdają sobie sprawy z tego, że walczą z istnieniem właśnie w imię nieskończoności, w obec której nędzną wydaje się im ziemia nasza, a nędźniejszym jeszcze sam człowiek. A w takim razie czyliż korona ich filozofii—nicość, nie jest illuzją filozoficzną?

Widzimy więc, że pesymiści krążą w błędnym kole i wpadają w ciągłe sprzeczności sami z sobą, a lubo głoszą monizm jako osnowę swojej filozofii, w istocie rzeczy na dnie ich systematów pozostaje dualizm, przytém dualizm sam z sobą niekonsekwentny, gdyż opiewający wzajemne spożycie się sił świata pod kierunkiem kreowanego a d hoc absolutu—człowieka.

Często droga, jaką formują się systemata filozoficzne, ciekawszą jest niż ich rezultat ostateczny i pod tym względem pożytecznym jest we wszelkich teoriach i poglądach na świat szukać węzłów logicznych i psychicznych pobudek w ich twórcach. A wtedy systemata dane nie zjawiają się przed nami jako oderwane od ogólnego prądu wieku wyroby myśli lub spadłe z niebios objawienia prawdy, ale jako niewyczerpane nigdy, mniej lub więcej oryginalne i głębokie odpowiedzi na odwieczne i nieskończone pytania, noszące na sobie cechę mniej lub bardziej wyraźną danej epoki. Dlatego właśnie dzieje filozofii nietylko są dziejami systematów, ale i dziejami myśli ludzkiej w ogóle, a po części i cywilizacji. Na inném miejscu wskażemy dziejowe i psychiczne źródła współczesnego pesymizmu, tu chcieliśmy głównie zwrócić uwagę na bezpośrednie źródło metafizycznych błędów Mill'a oraz współczesnych przedstawicieli pesymizmu niemieckiego, które zbudziły ze snu wiekowego dualizm i uczyniły zeń osnowę i dla nowych systematów filozoficznych. Dlatego powtórzmy jeszcze raz to, czego dowieść usiłowaliśmy.

I tak, podobnie jak Mill'a do tego dualizmu doprowadziły pobudki czysto etyczne, tak Hartmanna i Mailändera znowu dyalektyczne, spowodowane założeniem z góry sobie nakreślonym udowodnienia nirwany, czyli dowiedzenia rzeczy niemożliwej—przemiany bytu w niebyt.

Zład Mill nie poszedł dalej swego dualizmu; wyzwoliwszy Boga od zarzutu tyraństwa, ująwszy Mu wszechpotęgę, poprzestał na zadowoleniu serca, a wypowiedziawszy nadzieję, metafizycznie na niczem nie opartą, o tryumfie ostatecznym prawdy, wołał ludzi sam siebie tym ideałem etycznym, niż posunąć się dalej w labirynt bez wyjścia: śledzenie myślą spożycia się bytu. Hartmannowi podobnie jak i Mainländerowi szło przedewszystkiém o dowiedzenie skończalności istnienia, gdy jednak monizm, opiewany przez nich w teoryi, nie dawał im, jak powiedzieliśmy, żadnej pod tym względem rękojmi, rozbili go na dwie siły, a dla wzajemnego spożycia się tych sił wypadła konieczność jakiegoś kierownika, wykonawcy: trzeba było jednej siły wszechpotężnej choćby na chwilę, wybrali na to człowieka, odnowili więc monizm, a tym sposobem niezbędny środek ciężkości myśli naszej—pojęcie absolutu przenieśli na chwilę na łono samej ludzkości. I oto człowiek stwarza sobie nowego Boga; i mimowoli przychodzą na myśl słowa Voltaire'a: *Depuis que Dieu a fait l'homme à son image, l'homme le lui a bien rendu.*

Oto drogi, jakimi metafizycy pesymiści krążyć muszą dla wyjaśnienia nirwany, oto ich zabawka dyalektyczna, pozwalająca im to podnosić sztandar monizmu, to opiewać dualizm jako osnowę bytu. Zapominają oni jednak, że tu nie chodzi o antropomorficzne uplastycznienie sobie walki żywiołów i ich wzajemnego pochłonięcia się, ale o wyjaśnienie co jest istnienie, co nicość. Boć jeśli wszystko istnieje, to niema miejsca dla nicości, jeżeli zaś nie posiadamy dość siły, aby stwarzać byt, to jak stworzymy nicość, bo i nicość stwarzać potrzeba; tymczasem jak powiada myśliciel-poeta starożytny: „z niczego nic powstać nie mogło i w nicość nic się nie obraca.”

I sofiści potrafiliby dowodzić naprzemian tym samym słuchaczom: że jest dwóch Bogów, potem, że istnieje tylko jeden, a w końcu, że niema żadnego; albo: że nicość istnieje a bytu niema, że byt i nicość istnieją jednocześnie lub wreszcie, że niema ani jednego ani drugiego. Ale nawet i w podobnych łanigłówkach logicznych byli oni konsekwentniejsi, racjonalniej zapatrywali się na świat: wymęczona dyalektyka doprowadziła ich bowiem do milczenia przed samymi sobą przynajmniej. Tak jest, używać szermierki słownej i zmieniać co chwila zdanie, wolno tym, którzy nie wierzą własnym swoim wywodom; w tém położeniu znajdowali się właśnie sofiści greccy: oni przedewszystkiém byli skeptykami. Pesymiści zaś wygłaszają swoje produkcje metafizyczne, jakby z wieszczego trójnoga nieomylniej spekulacyi; wyniki, które płyną z niewłaściwego często zastosowania nauk przyrodniczych do filozofii, głoszą jako prawdy niewątpliwe; tymczasem te ich prawdy z zakresu metafizyki są najczęściej, jak to widzieliśmy, pojęciami bez treści lub czczą formą—wiązańką słów bez pojęć. Nic dziwnego zresztą:

Denn eben wo Begriffe fehlen,
Da stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein.
(*Mephistopheles*).

Na zakończenie tego paragrafu zestawmy jeszcze etykę metafizyczną Mill'a z teorią Mainländera, gdyż to, co stanowi wspólność i podobieństwo tych dwóch myślicieli jest zarazem charakterystycznym objawem dążeń idealistycznych, odnajdujących się i u współczesnych filozofów, oraz wybitnie przedstawia drogi jakimi kroczą ku swym ideałom nowsi przedstawiciele pesymizmu filozoficznego.

Powiedzieliśmy, że ostatniemi czasy usiłowano podnieść stronę moralną Boga ograniczeniem Jego potęgi; wszystko zło kładziono na karb przeszkód, jakie Stwórca spotykał co chwila w urzeczywistnieniu swoich zamiarów, i tym sposobem zło uczyniono pierwiastkiem od Bóstwa niezależnym. Dualistyczny ten pogląd na świat najjaskrawiej przedstawia się w ostatnich pracach Stuarta Mill'a ¹⁾. Takie tłumaczenie zła na świecie, jak widzieliśmy, dało możność temu ponuremu filozofowi znalezienia punktu oparcia dla etycznych potrzeb duszy. Robiąc Boga ograniczonym co do siły, a nieograniczonym w dobroci, wskazał Mill człowiekowi szczytną rolę współpracownictwa z bóstwem, pomagania Mu w osiągnięciu zadań etycznych. Otóż Mainländer poszedł za tym przykładem, być nawet może bezwiednie, gdyż potrzeby jednakowe umysłu i serca mogły go pchnąć na tę samą myśl co i Mill'a. I tak 1-o robi on Boga ograniczonym, zło więc spotykane na świecie nie płynie z Jego istoty ale z Jego ograniczenia; 2-do człowiekowi naznacza także współpracownictwo z Bogiem w ogólnem niszczeniu istnienia. Tylko, że to co u Milla jest podane jako hipoteza, jako prawdopodobieństwo ²⁾, u Mainländera przybiera formę prawdy naukowo dowiedzionej, a że dowody te, jak widzieliśmy ³⁾, są niewystarczające, przeto jego prawda nosi cechę dogmatyzmu. Nadto ograniczenie Boga u Mill'a spowodowanem jest materją, wedle Mainländera zaś właściwie żadnej materji nie było przed stworzeniem świata, a i teraz jęj niema, to zaś co istnieje, t. j. wole pojedyncze, wypłynęły z Boga samego, całe więc zło istnienia wynikło z woli bożej, pograżenia się w nicosć, gdyż powziąwszy ten zamiar, Bóg stworzył takie istoty, któreby nie ulegały pragnieniu istnienia wiecznie, t. j. takie, którym ono nie uśmiechałoby się wcale, a tym sposobem skazać je musiał na cierpienia. Wprawdzie toż samo spotykamy i u Mill'a, bo i tam Bóg stwarza świat z własnej woli, z własnych pobudek, ale tam

1) „Three Essays on Religion,” London, 1874 r.

2) Za istnieniem Boga przemawia u Mill'a tylko prawdopodobieństwo. Pewności w tym względzie, zdaniem jego, niema; z drugiej strony jednak pewnem jest dla Mill'a, że jeżeli Bóg istnieje, to nie może być innym, tylko takim, jakim Go Mill przedstawia. Porów. „Théisme.”

3) Patrz wyżej. Część III. R. I. „Nirwana w obec nauki.”

przynajmniej możnaby to wytłómaczyć dążeniem Boga do doskonalenia się przy pomocy stworzenia (człowieka), t. j. do ziszczenia ideałów. Słowem Mainländer nie uwalnia swego Boga od zarzutu zesłania cierpienia na ziemię, ale za to, dając możność całemu istnieniu zniknięcia z widowni bytu, głosi „pocieszającą odpowiedź” ¹⁾ filozofii wyzwolenia. A więc, lubo Boga zrobił bezbarwnym etycznie, dał za to człowiekowi misyą nader wielką, przeniósł potęgę bożą w łono ludzkości.

Widzieliśmy jednak, jak w ogóle wszystko to jest arbitralnym i jak niekonsekwentnym, a przy bliższym przyjrzeniu się temu systematowi przekonaliśmy się, że bynajmniej nie czerpie on tego wszystkiego z dowodów przyrodniczych, jak sam twierdzi, ale, że przeciwnie — raz włączywszy nicość do programu filozofii wyzwolenia, usiłuje następnie, wbrew wszelkim logicznym i naukowym wymaganiom dowieść, że ją osiągniemy rzeczywiście. Otóż i przy rozwijaniu teorii współpracy człowieka z wolą bożą, zapomina Mainländer, że podobnie jak Stuart Mill, oraz Schopenhauer i Hartmann, wpada i on w dualizm, że przedstawiając walkę Boga, a następnie stworzeń z własnym istnieniem obala monizm, który przecież sam uznał za podstawę wszelkiej filozofii a zwłaszcza owę jedynie nieomylną, zdaniem jego, — filozofii immanentną ²⁾, pomijając już i to, że tym sposobem zniknięcie absolutu staje się témbardziej niewytłómaczonym. Prawda, że w takim razie mamy poniekąd usprawiedliwione przypuszczenie, że Bóg nie mógł odrazu woli swój przejawić, gdyż nie jest wszechpotężnym ³⁾, ale cóż znaczy dziecinna ta argumentacja, starająca się dowieść jakiegoś szczegółu systematu wtedy, gdy podstawę pozostawia nieuzasadnioną.

A jednak na takiej argumentacji wnoszą się wszystkie niemal budowy współczesnej szkoły filozofów-pessimistów. To też, pomijając nawet te sprzeczności w łonie samych systematów tkwiące, główny ich dogmat — nirwana, pozostaje bez udowodnienia, a jako nicodzwonne dopełnienie ich własnych rozumowań, t. j. ze stanowiska saméjże filozofii nicości, występuje z całą siłą złowrogie dla niej pytanie: na mocy czego, z upływem czasu, z przekształceniem się form życiowych, ludzkość a wreszcie całe istnienie zdoła cel ów osiągnąć?

Oto szkopuł, o który co krok myśl potracać musi i o który też rozbijają się nietylko wywody Mainländera, ale i wszystkie rozumowania szkoły nowocześniejszej, głoszącej nirwanę całemu istnieniu.

Przedstawiciele filozofii pessimistycznej nie widzą jednak téj słabej strony swoich rozumowań i dowodzeń, a przynajmniej zdają się nie zważać na własne przeskoki logiczne. I sofiści, dochodzący drogą szermierki słownej do najwidoczniejszych fałszów, w końcu też nie wie-

¹⁾ „Di trostreiche Antwort.” Porów. wyżej część I, str. 19.

²⁾ Patrz wyżej część I, str. 7.

³⁾ Tamże, str. 11.

dzieli czy sami sobie wierzyć mają. Pessymiści bardziej są zaślepieni w swojej nieomyślności; dotąd przynajmniej nie stracili oni jeszcze wiary w swoją wiedzę rzeczy ludzkich i boskich.

Na sofistów greckich znalazł się bicz nieubłagany, sędzia surowy zdzierający maskę pozorów z ich doktryn, mędrzec wskazujący prawdziwą a nie rzekomą drogę do prawdy—Sokrates; dziś Sokratesa ludzkość potrzebuje więcej, niż kiedykolwiek. Jakżeby przydała się nowszemu filozofom jego łagodna ironia, jego potoczne dyalogi tak proste formą, a tak dobitnie wykazujące całą czczość dowodzeń owych rzekomych mędrców i chwiejność ich podstaw zasadniczych. Nigdy może, zdanie, że, aby wiedzieć, trzeba najpierw umieć wątpić, nie wyda się prawdziwszem, jak w obec niczém niezachwianej wiary pesymistów w ich twierdzenia. Dziś niema nic obcego dla téj szkoły, filozofowie-pessymiści wiedzą o wszystkim, dla nich niema nic niepewnego: nie tylko powstanie świata i jego przyszłe zniknięcie, ale i dzieje istnienia w ogóle, przytém biografia Boga samego, wszystko to w systematach swoich opiewają oni ze szczegółami godnymi naocznych świadków, w formie obrazowej—przejętych do głębi serca ważnością swych opowiadań—tych rapsodystów metafizycznych.

Szkoła niemiecka filozofów-materyalistów twierdziła, że nie Bóg stworzył człowieka, ale człowiek—Boga; współcześni pessymiści przypisują człowiekowi władzę unicestwiania bytu w ogóle, a lubo nie rzekają się przytém przywileju stwarzania, przez skromność jednak ograniczają się zrazu tylko wynoszeniem człowieka do godności współpracownika Boga, a jednocześnie przesuwając przed nami ponury obraz istnienia, niemoc myśli ludzkiej i urąganie się nad nią jakiegoś fatum złowrogiego, w końcu robią tę nędzną istotę ludzką zbawczynią nie tylko świata, ale i Boga samego. A rola ta człowieka-Boga warunkuje się elementem miłości; etyka to pesymizmu ma spotęgować siłę człowieka i dać mu wytrwałość w tém szczytném posłannictwie jego ¹⁾.

.

Prawda, że głoszenie apoteozy człowieka i nadawanie tak wielkiego znaczenia pierwiastkowi etycznemu, jest rzeczą niekonsekwentną ze stanowiska szkoły pesymistycznej, ale... jak wymowne, jak wiele nauczające to zjawisko w zakresie myśli współczesnej!

I nic dziwnego, powiemy znowu, nie pierwszy to raz spiżowa na pozór dyalektyka twórców systematów filozoficznych rozbija się o kardynalne prawo myśli—przyczynowość metafizyczną, i o niez-

¹⁾ Etyczną stronę filozofii Mainländera wyłożyliśmy w pierwszej części pracy naszej (rozdz. II, str. 20—40), można ją uważać za wyraz pojęć w tym względzie całej szkoły, gdyż jest streszczeniem poglądów Schopenhauera i w niczém się nie różni od teorii Hartmanna.

tartą cechę ducha naszego—pragnienie ideału. Myśl jest nie-
znużoną w pogoni za prawdą, a nawet oddalając się od jej źródła
(praw przyrody i idealnej istoty ducha), odsłania nam swoje tajniki,
zdradzając pobudki i sprężyny danego jej kierunku; podobnie i ideał
etyczny przyświeca zawsze pracy ludzkiej, a lubo nieraz z zasady
rugowany, ideał ten cofa się w głąb naszego jestestwa, jeden podmuch
jego wystarcza dla obalenia tych rusztowań ze słów i pojęć kleconych,
i zwycięża on wtedy w imię rzeczywistości: nieprzerwaną jedni
zjawisk świata, torującą nam drogę do prawdy, i niewygasłych nigdy
ognisk dobra i piękna, tlących bezustannie na dnie duszy naszej.

A ztąd lubo na świątyni pesymizmu w kolei wieków zjawia się
stale niemal ostrzeżenie: *Lasciate ogni speranza!...* na firmamen-
cie światów łuną słońce goreje i nadal dla ludzkości napis: *tu miesz-
ka prawda*, a w myśli naszej, jak w kropli wody migocą dotąd, lubo
w mikroskopowym załamie, prawdy tej odbicia, gdy znowu w sercu na-
szym wieczna za dobrem i pięknym gości tęsknota.

NOWO ODNALEZIONY POMNIK PIŚMIENICTWA POLSKIEGO.

PRZEZ

Zdzisława Dębskiego.

W miesiącu października roku zeszłego, ksiądz Ludwik Piotrowicz, kanonik i profesor seminaryum Sandomierskiego, odnalazł w bibliotece, znajdującej się przy témże seminaryum, „Dyalog,” wierszem łacińskim pisany, a mający za treść odparcie zarzutów, jakie czyniono Zbigniewowi Oleśnickiemu, ze względu na jego działalność męża stanu i najwyższego dostojnika Kościoła polskiego. Po odkryciu tak ważnego zabytku, ksiądz Piotrowicz przedewszystkiém skonstatował, że powierzchowność odnalezonego pomnika historycznego odpowiada w zupełności opisowi, znajdującemu się u Cichockiego, pisarza z XVII wieku, który w swoich „Rozmowach osieckich” wspomina o podobnym pamiętniku rodziny Oleśnickich, uskarżając się, że nie może poznać jego treści, gdyż tylko w drodze szczególnój łaski, ten tak ważny dokument familijny bywa dawany do czytania osobom obcym. Następnie ksiądz Piotrowicz zawiadomił o wykryciu swoim Akademią krakowską, zapoznając pokrótce jej dostojnych członków z treścią nowo odnalezonego dyalogu i zapytując tak poważne grono, o przypuszczalną tegoż dyalogu doniosłość naukową.

Rozradowanie wielkie zapanowało między przedstawicielami naszej wiedzy historycznej, a profesor i dziejopisarz nasz, Józef Szujski, wyjeżdżając podówczas właśnie na Południe, zalecił przysyłać sobie do Włoch szczegółowe o postępie pracy ks. Piotrowicza sprawozdania. Jakóż wkrótce ks. Ludwik Piotrowicz wypracował wyczerpujące studjum nad wynalezionym pomnikiem, które będzie drukowane w wydawnictwie Akademii krakowskiej, a którego rękopis, z łaskawego zezwolenia autora, obecnie streścić zamierzylimy.

Co do powierzchowności odnalezonego pomnika historycznego i charakterystyki wiersza, pozwolimy sobie przytoczyć dosłownie zasłużonego znalazcy zdanie, którego w tym względzie napróżno staraliśmy się naśladować. „Odnaleziona książka, pisze ks. Piotrowicz, w okładkach drewnianych, obciążniętych skórą, mająca brzegi obite blachą

mosięzną, zamyka się na dwa mosiężne haczyki; przyozdabiają oprawę ze smakiem wykonane odciski niegdyś złoczone, wśród których mieści się herb Dębno, otoczony wieńcem niezapominajek, co wszystko pochwalnie świadczy o rzemiośle introligatorstwa zeszłego wieku.

Tak oprawny rękopis ma kształt folium mniejszego i składa się z trzynastu kart pergaminowych, ale porządkową liczbą niezaczynionych. Karty są równe, długość ich cali dwanaście, szerokość zaś cali dziesięć wynosi; pergamin przedniego gatunku, biały, średniej grubości. Na każdej karcie wzdłuż bieżą grubo złoczone marginesy, w szerz dwadzieścia sześć złotem nakreślonych linii, pomiędzy które wpisano wiersze.

Na tym cennym a niespożytym materiale z podziwem oglądamy pismo bardzo ozdobne, do półdruku podobne, proste i równe. Dwie początkowe głoski każdego wiersza naśladowują druk, a nadto pierwsze litery zabarwione naprzemian czerwonym i niebieskim kolorem; imiona zaś osób farbami i złotem wypisywane a upiększone rozrzuceniami tu i owdzie zręcznie zadzierganymi węzłami. Skrócenia nieliczne nie utrudniają czytania; ograniczają one się bowiem do przyrostka *que*, końcówki *m* i *re*; dwugłoski nie są używane, w ich miejscu znaczek podpisany pod literą; poprawek nie ma, omyłek kilka tylko sprostowaliśmy. Co powiedzieliśmy o łatwym czytaniu, nie można tego powtórzyć o zrozumieniu dyalogu; albowiem ono jest utrudnione przez to, iż nie ma znaków pisarskich; znajduje się wprawdzie gdzieś kręśka i raz jeden użyty znak zapytania. Biegłość pióra, rysunek czysty, żywość barw i złoczeń, niezblakły tusz, wszędzie w nieskapłej mierze spotykane, bawią nasz wzrok i wskazują na kaligrafa-artystę, zamkniętego w swój sztuce. I z tego względu manuskrypt niepospolitą wartość artystyczną posiada.

Pierwsza karta rękopisu pusta na pierwszej stronnicy; na drugiej zaś znajdujemy dwie metryki osób z rodziny Oleśnickich. Na drugiej karcie środek wycięty, pozostało jednak szerokie ozdobne obramowanie, które przyklejono do karty trzeciej. Na trzeciej zatem karcie zaczyna się dyalog: „Thomas Joannes Gorias. Nosti Zwam solida ecclesie regniq. columna. Nec sum nec fiam vobis contrarius 160.” W całym dyalogu mieści się wierszy sześciostopowych 373. Folium 12 i 13 obejmuje trzy napisy nagrobkowe składające się z wierszy 88, z nich pierwszy zaczyna się od wyrazów: „Felix. terra,” drugi „O! Sbignec,” trzeci „Felices cineres;” po tych wszystkich następują cztery metryki rodziny Oleśnickich z wieku XVII.

Język nie odznacza się wprawdzie klasyczną pięknnością i wytwornością Sarbiewskiego, jednak czystym jest i poprawnym; wiersz nie tak swobodny i płynny jak u Janickiego, jednak prawie wszędzie starannie wygładzony w rytm hexametru elegijnego. Autor czytał Wirgiliusza, pamięta jego poetyczne sposoby mówienia, jego epitetów dość szczęśliwie używa. W przenośniach umiarkowany, w porównaniach powściągliwy, daleki od wszelkiej przesady. Jedno zbyt cenne może omó-

wienie hyperboliczne: „Gdybym połączył tysiąc dni i nocy i mógł się wyrazić tysiącem języków, jeszcze nie mógłbym godnie opisać wszystkich cnót jego i zasług.” Apostrofy dobrze rozwinięte ujmują wdziękiem wysłowienia; toż samo powiedzieć można o stopniowaniu pojęć; ale znowu przyrównanie pogrzebu Zbigniewa do wspaniałego pogańskiego nad Marcellem obrzędu, podobno nie na swoim miejscu. Język dyalogu z wyjątkiem kilku frazesów, nie obfituje w ową grę wyrazów z jednego źródłostwo pochodzących, za czém się ubiegali średniowieczni poeci: oprócz kilku podejrzanych w rodowodzie, nie ma wyrazów nowo ukutych. Polonizmy pochodzą ztąd, iż surowe przepisy składni łacińskiej nie zawsze zachowane. Autor mistrzem jest w układzie treści i historycznym opisie, ale nie jest panem formy poetycznej, nie może bowiem nią ovladnąć; nie umie wylać uczuć swych w harmonijne tony; widocznie skrępowanym się czuje miarami łacińskiego wiersza. Dla téjto miary przekładnia wyrazów wadliwa, często utrudnia zrozumienie rzeczy i powstrzymuje polot myśli autora; a są to myśli wielkie i wzniosłe, gdyż ich treścią posągowe naszych dziejów postacie. W dyalogu poezyi mało, wymowa przeważa, treść przerasta formę i zakrywa jej niedostatki.

Dyalog, gruntownie obmyślany i umiejętnie rozsnuty, przedstawia się płodem dojrzałym wielkich zdolności umysłu. Nie jest spisana przez jednego rozprawą, a tém mniej pogadanką trzech osób, ale jednolitą całością jednej myśli, nawykłej do bujania po szerokich wiedzy obszarach. Związek części ze swoją całością tak jest ścisły, następne zdania tak uzasadniają się w poprzednich, iż nic wysunąć, nic oderwać nie można.

Z treści dyalogu ks. Piotrowicz przyszedł do przekonania, że pomnik ten piśmiennictwa polskiego datuje z epoki spótczesnej wielkiemu kardynałowi i że jest utworem Długosza. Dowody swoje głównie na tém szanowny autor opiera, że osoby dyalog prowadzące o zdarzeniach ówczesnych, o zdarzeniach pierwszorzędnj doniosłości dziejowej, traktują jako o wypadkach w ich oczach zaszłych, jako o wypadkach dnia; a więc wyrażenia odnoszące się do samego kardynała, przejęte są czczią i hołdem dla wielkiego męża; to znowu wzmianki o kłesce warneńskiej, tchną boleścią i żalem po stracie wielkich nadziei króla; opis wręczenia róży kardynałowi w imieniu papieża, jest odtworzony jakby na własne widziany oczy: wreszcie spotkanie Zbigniewa Oleśnickiego z nawracającym Czechów Kapistranem, jeszcze podówczas nie świętym, również jako zdarzenie spótczesne jest opowiedziane. Wprawdzie ks. Ludwik Piotrowicz sam osłabia przytoczone przez siebie dowody, bo wszakże, mówi on: „utwór poetyczny jako taki stara się wiernie odtworzyć dobę dziejową, jaką opiewa chociaż autor jego późniejszy.” Jednak myślimy, że nawet początek złudzenia byłby niemożliwym, gdyby w utworze pewną epokę na poetycznym tle odtwarzającym, w sposobie dyalogu, a znacznie od téj epoki późniejszym, czas terażniejszy nie był używany przy odtwarzaniu odnośnych zdarzeń. Wszakże i dziś gdyby

któs pisał dramat albo tragedją osnutą na wypadkach wziętych z XV wieku, równieży osobom w grę wprowadzonym, osobom typy historyczne XV wieku odtwarzającym, włożył czas teraźniejszy w usta, przy opowiadaniu przez nich zdarzeń ówczesnych ¹⁾. Natomiast wniosek ks. Piotrowicza: „że Dyalog powstał między 1460 a 1466 r., to jest w czasie, kiedy szale zwycięstwa w wojnie pruskiej ciągle się wazyły;” wniosek ten oparty na odnośnych wyrażeniach dyalogu, na wyrażeniach końcowych, a żywo zaznaczających ową chwilę wahania się szali zwycięstwa, jako społeczną autorowi, bo oznaczoną przez wyraz „teraz” wniosek ten, powtarzamy raz jeszcze, zasługuje na baczną uwagę, gdyż w autorze późniejszym trzebaby wielkiej przezorności i pamiętania o sobie, ażeby tak ściśle odkreślić pewną fazę w przebiegu wojny pruskiej od innej następnej, a na lepsze zmienionej. Trzebaby przypuścić w autorze późniejszym jakby chęć odtworzenia jednéj tylko chwili dziejowéj, pewnéj tylko sytuacji historycznéj, chęć podchwycenia zdań i czynów głównych działaczy dziejowych, w odniesieniu wyłącznie tylko do takiej pojedynczéj sytuacji. Nie jest to niemożliwe, ale trudno przypuścić w pisarzu, który bądź cobądź mógł żyć nie później jak tylko między wiekiem XV i XVII, trudno przypuścić takiej ściśłości, takiej świadomości zamierzonego celu w danym utworze poetyckim.

Tyle co do pierwszej tezy ks. Piotrowicza; co się tyczy drugiego wniosku, jakoby autorem odnalezionego Dyalogu był Długosz: usprawiedliwienie takowego wniosku będzie nieco przytrudném. Wszystkie w téj mierze przytoczone przez ks. Piotrowicza dowody streszczają się do tego, że autor Dyalogu we wszystkich kwestyach spornych, tyczących się działalności wielkiego kardynała, w zupełności wygłasza podobne przekonania i poglądy do tych, jakie znajdujemy w „Dziejach” Długosza. Oczywiście dowód to niedostateczny bardzo; bo wszakże autor Dyalogu mógł być wybornie obznajmiony z wiekopomném dziełem naszego historyka i podzielać przekonania jego. „Po palmę autorstwa, powiada ks. Piotrowicz, sięgają dwie główne osoby dyalogu „Tomasz i Jan.” Tomasz, to wedle ks. Piotrowicza, Tomasz Strzemiński, następca Oleśnickiego na krakowskiej stolicy biskupiéj. „Ale w dyalogu jest mowa o wypadkach, które miały miejsce już po śmierci Strzemińskiego, a więc autorem Dyalogu jest „Jan” to jest Jan Długosz, nasz stawny historyk; a utworzył on to rymowane dzieło, w czasie swego z Krakowa wygnania. Bo Jan całą rozmową kieruje, stawia pytania i robi zarzuty; w zwykłej zaś rzeczy kolei, gdy tamten (Tomasz) opowiada, ten (Jan) zapisywać powinien.” My jednak takiej konieczności nie widzimy, ażeby osoba w Dyalogu udział przyjmująca, a jakoby trzymająca pióro, miała być Dyalogu autorem. Gdyby trzeba było z téj wychodzić zasady, to każdy z traktatów filozo-

¹⁾ Uwaga ks. Piotrowicza: „i elegijność Dyalogu znacznie zmniejsza przypuszczenie naśladowania przeszłości,” zasługuje na baczną uwzględnienie.

ficznych Cyclerona, które jak wiadomo po większej części w kształcie rozmów są pisane; każdy z tych traktatów, gdyby osobistość Cyclerona była nieznaną, musiałby innego mieć autora, tém więcej, że imiona przez mówcę rzymskiego wprowadzone, rzeczywiście należały do wydatnych w ówczesnym rzymskim świecie naukowym postaci, reprezentujących pewne kierunki filozoficzne, a w każdym z takich traktatów, jedna z rozmawiających osób rzuca pytania, to znowu inna spełnia główną czynność mówniczą.

W szeregu dowodów na korzyść autorstwa Długosza przytoczonych, niepoślednią rolę ten ustęp Dyalogu, w którym jest mowa o Węgrach, ustęp przepełniony żółcią i niechęcią dla tego narodu. A wiadomo że Długosz podczas swój na Węgrzech bytności był napađnięty i omal życia niepostradał. Wyrażenie jednak znajdujące się w dyalogu „*Dragula gens,*” jak się zdaje odnosi się nie do Węgrów, lecz do Wołochów, którzy w bitwie warneńskiej pod dowództwem Drakuli pierwsi ustąpili z placu ¹⁾.

Już po wystąpieniu rękopisu do Krakowa, ks. Piotrowicz zakomunikował nam następujące uwagi, które tu dosłownie przytaczamy:

„Wiadomo, że rodzina Oleśnickich oskarżyła Długosza o ukrycie pewnych sum pieniężnych ze spuścizny po kardynale. Ta niechęć mogła być powodem, że opuszczono jego podpis przy odpisywaniu z autografu dyalogu, albo też i Długosz rozmyślnie, aby się nie narzucać i do wdzięczności nie zobowiązywać, podpisu nie położył.

Między dowodami autorstwa Długosza i współczesności utworu, nie ostatnie zajmuje miejsce ta właściwość naszego dziejopisarza, jaką widzimy w jego historyi, że w opisie spóczesnych wypadków, oszczędnym jest w mowie, więcej wię aniżeli wypowiada, przemilcza i nie domawia o tajemnych pobudkach działaczy dziejowych.

Ta rozumna powściągliwość o wypadkach w rozwoju będących, jeszcze niedokonanych, którą profesor Szujski bystrym dosięgnął wzrokiem i tak pięknie wyraził w dyalogu „*Długosz i Kallimach,*” dostrześć się daje szczególnie w ustępie naszego dyalogu, gdzie mowa o sprawie miast pruskich. Czy skąpe ważenie słów, czy tę wstrzeźliwość sądu, poetyzować będziemy za uchybienia prawdzie? Bynajmniej! Niecierpliwi nas ona, radziłyśmy mieć wszystko jak na dłoni, przyznać jednak musimy, że jest na swoim miejscu; więcej bowiem szkody z wie-

¹⁾ Przekonanie to powzięliśmy przy odczytywaniu w rękopiśmie bardzo udatnego tłómaczenia Dyalogu dopełnionego przez ks. Bułakowskiego, któreby powinno znaleźć pomieszczenie w którym z miesięczników warszawskich; gdy jednak epitet *Dragula* podwakroć postawiony jest obok wyrazu „*Hunni,*” przeto przypuszczenie nasze dalekie jest od zupełnej prawdziwości. Właściwie mówiąc, w bitwie warneńskiej brał udział tylko Drakula syn, lecz co ważniejsza, gdy u Kallimacha Wołosi walczą bodaj czy nie najmęźniej, u Długosza pierzchają. I tu więc jest podobieństwo Dziejów z Dyalogiem.

lomówności aniżeli z milczenia; z tamtej fałszywe idą sądy, ta skłania do głębszego rzeczy zbadania.”

Nie ma kwestyi że tylko pilne, porównawcze studia nad Dyalogiem i Dziejami Długosza mogłyby ostatecznie rozstrzygnąć pytanie, czy nowo odnaleziony pomnik naszego piśmiennictwa jest pióra nieśmiertelnego dziejopisarza. Niewątpliwie podniosłość myśli i poglądów wygłoszonych w dyalogu, w ładnej formie wierszowanej łacińskiej, nieustępują powadze naszego historyka, tém mniej nie wystarczą tu chyba dla ostatecznego ustalenia faktu; co więcej, w końcowych wierszach dyalogu znajdujemy wzmiankę o tém, jakoby kardynał Zbigniew Oleśnicki obiecywał na drodze układów dyplomatycznych przyłączyć miast pruskie do Korony, byle tylko niedopuszczyć do wojny, wzmiankę, której najmniejszego śladu w „Dziejach” Długosza nie spotykamy. Jak wiadomo, nasz historyk był za przygarnięciem do wielkiej ojczyzny wracających na jej łono dobrowolnie miast pruskich i sprzeczne z tém jego uczuciem zdanie swego mistrza, chce niejako złagodzić, stara się osłabić niepatryotyczny takiego zdania pozór. Czyżby więc Długosz nie spożytkował tak ważnej okoliczności, dla wystawienia w zupełnie inném świetle mniemanego niepatryotyzmu kardynała ¹⁾?

Bądź co bądź, zebrane przez ks. Piotrowicza dowody, mają za sobą wiele pozorów słuszności; a nie wątpimy, że dalsze studia czcigodnego kapłana, kwestyą rozstrzygną ostatecznie.

W każdym razie, „Dyalog” przez ks. Piotrowicza odnaleziony, ze względu na epokę, z której pochodzi, bądź co bądź nie późniejszą nad wiek XVI ²⁾, ze względu na podniosłość traktowanego przedmiotu i myśli o nim wypowiedzianych, stanowi cenny zabytek naszego piśmiennictwa, cenny przyczynek nawet do historyi naszej cywilizacji i w ogóle kultury. Wiadomo, że Długosz oprócz listów rozpisanych do przyjaciół z ubolewaniem nad śmiercią Zbigniewa, miał jeszcze i coś innego dla uczczenia pamięci wielkiego kardynała uczynić, być więc bardzo może, że nowo odnaleziony przez ks. Piotrowicza „Dyalog,” rzeczywiście jest w tym celu napisanym przez naszego nieśmiertelnego historyka dziełem.

¹⁾ Końcowy ustęp „Dyalogu” w ogóle, jest bardzo niezrozumiały i pozostawia wielką wątpliwość, czy wyrażenie o układach na drodze pokojowej, należy przypisać Oleśnickiemu, czy też autorowi „Dyalogu.”

²⁾ Cichocki już mówi, że ten osobliwy zabytek od tylu lat nienaruszonym jest przechowany.

Przegląd teatralny.

(*Za rok 1879 i pierwsze półrocze 1880 r. **).

Z dziedziny arcydzieł literatury dramatycznej w pierwszej połowie zeszłego roku ujrzeliśmy na deskach wielkiej sceny Szekspirowską tragedya: „Antoniusz i Kleopatra,” która jednak graną była bez powodzenia i nie utrzymała się na repertuarze dla najrozmaitszych powodów, niekoniecznie dobrze świadczących o wyrobieniu smaku publiki naszój, mającój przecież pretensyą do artystycznej wybredności. Co prawda, tragedia ta należy do mniej znakomitych utworów wielkiego poety a wśród trójcy jego dramatów rzymskich zajmuje stanowisko najmniej zaszczytne. Nie należymy w ogóle do zbyt wielu wielbicieli tych dramatyzowanych opowieści Plutarcha, które pomimo całego piętna genialności, bogactwa treści psychicznój a nawet głębokich spostrzeżeń moralno-społecznych, nie mogą się poszczycić właściwym kolorytem starożytnego świata, grzesząc o tyle pod względem braku klasycznego rytmu, o ile wszystkie niemal nowożytnie dramata na tle klasycznym osnute grzeszą sztuczną koturnowością i akademicką ogładą stylu. „Antoniusz i Kleopatra” pod względem dziejowym jest bezładnie dramatyzowaną kroniką, zamykającą fakta wydarzone w ciągu lat kilkunastu, które przesuwają się przed oczyma widza lub czytelnika w kalejdoskopowej czeredzie. Pod względem kompozycyi, dramat ten jest najbardziej może chaotycznym ze wszystkich utworów Szekspira, i do warunków scenicznych musi być starannie przykrawanym, tak, że nożyce reżyserskie muszą odciąć wiele niewiążących się ściśle z całością epizodów. Na scenie naszój ta konieczna amputacya dokonana została z poszanowaniem dla poety, chociaż prawdę mówiąc, sztuka ta potrzebowałaby pewnej przeróbki dokonanej dłonią biegłego dramaturga, któryby wypełnił przynajmniej kilka bardziej rażących luk w całości obrazu. Na scenach angielskich przedstawiano w ostatnich latach tę tragedya, skutecznie popierając jój powodzenie sceniczne przepyszna wystawą, defiladami orszaków, marszami wojsk i bitwami urządzonemi z wielką okazałością i przepychem. Nasza scena nie posiada obecnie środków do pokonania trudności nastęrczających się przy wystawie sce-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za luty r. b.

nicznej sztuk obliczonych na takie zbiorowe efekta i dlatego tu pomimo staranności reżyserji, tło dekoracyjno-dziejowe, oraz cały kalejdoskop wypadków ukazany przez poetę, nie mogły sprawić zbyt wielkiego wrażenia. Główny interes sztuki w obec tego, opierał się na stosunku romantycznym dwojga głównych bohaterów, których postacie wynurzają się z pstrój czeredy scen dramatu, kreślone z całą potęgą prawdy i zdumiewającą intuicyją. Prawda, że poeta malując je usuwał na drugi plan rysy dziejowe, a ukazywał wątek namiętności ogólnie ludzkich; prawda że w malowidle charakteru koronowanej zalotnicy, pamiętał tylko o jej kobiecości a zapomniał o królewskości; prawda, że niektóre jej rysy nawet czerpał ze współczesnych postaci, niemniej jednak słynna para dziejowych kochanków występuje tu niezmiernie plastycznie i poetycznie na tle powikłanych spraw politycznych, oraz zniewieściałości obyczajów.

Chociaż pod względem rzymskim koloryt całości nie posiada dosyć cech specjalnie wiernych, jednakże poeta w ogólnym tonie dramatu odmalował atmosferę moralną społeczeństwa moralnie przeżytego, zepsutego wpływami oryentalnemi, niemającego tyle sił żywotnych, aby wytwarzać dzielne charaktery, społeczeństwa, w którym prywatnie i ambicyja osobista bierze górę nad poczuciem obywatelskiego obowiązku, a charaktery psują się pod wpływem żądź użycia lub zmysłowych namiętności.

Pomimo swój kompozycji nieforemnej, tragedia ta posiada w sobie dość treści psychicznej i dziejowej charakterystyki, aby obudzić zajęcie umysłów wykształconych i poważniejszych. Zdawałoby się, że wśród naszej publiczności jest dosyć ludzi o tyle wyrobionych w kierunku humanitarnym, że dla nich sztuka ta przedstawiać będzie żywioł, jeżeli nie gorącego, to przynajmniej pilnego zajęcia; tymczasem ogół widzów scenicznych, przywykły do łatwych wrażeń, odpowiedział na piękne nawet przymioty szekspirowskiego dzieła... ziewaniem, okazując dziwne uprzedzenie do utworów na tle starożytnym osnutych, dające się wytłómaczyć chyba tylko bardzo nieponętnym systematem karmienia młodzieży naszej strawą klasycyzmu, przedstawianego zwykle ze strony suchej i szkolarskiej. Rzecz naturalna, podobne utwory, surowe, namaszczone powagą dziejów, nie łechcą i nigdy nie będą łechtać artystycznego smaku ogółu, ale powinnyby się znaleźć grono inteligencji, dla której tego rodzaju artystyczny pokarm przedstawiać może więcej pojęty aniżeli wiele współczesnych efemeryd opartych na potocznych i nikłych drobiazgach życia. Tak widoczny brak zamiłowania do utworów odzwierciedlających życie świata klasycznego, potwierdza chyba to zdanie jednego z krytyków niemieckich, który wyrzekł, że społeczeństwo nasze niedosyć się skąpało w chrzcie odrodzenia. Obowiązkiem jednak sceny aby niezrażając się podobną obojętnością, walczyła o ile może z gustem ogółu i nazwyczajała go powoli do przedmiotów podniosłych, do obrazów poetycznych świata, który wyrobił arcytypy cywilizacji aryjskiej, we wszystkich gałęziach duchowego i społecznego

rozwoju. Nic dziwnego że w zakresie tak trudnego rodzaju, scena nasza niemająca ani tradycji, ani szkoły wyrobionej, nie może odrazu sprostać wysokości zadania, które jest w dziedzinie sztuki wykonawczej najtrudniejszém. Tę okoliczność powinna być uwzględnic krytyka nasza, której wielu przedstawiciele dają czasem dowód elementarnego niepojmowania swego posłannictwa, a chorując na jowiszowe tony, lub kwaśną katońską powagę sądzi, że spełnia godnie swoją rolę, traktując scenę z ośmiopiętrowego rusztowania zbudowanego przez nadeśtość i arogancją. Gdy lada naiwna minka lub wesoty uśmieszek aktorski wywołują u nas całe tyrady zachwytu i mlaskania radosne estetycznych smakoszków, gdy krytyka często staje się panegirykiem lub aktem strzelistym skierowanym ku jakiej gwiazdździe lub gwiazdce, tymczasem usiłowania poważne, pełne dobrej woli bywają zbywane często lekceważeniem, grymasem, albo ochładzane zbyt niewyrozumiałą naganą.

Niektórzy krytycy nasi umieją tylko oscyłować pomiędzy odą wyśpiewaną na najwyższe tony zapału, często podrobionego, a lekceważeniem lub szykaną, podyktowaną nierzadko przez uprzedzenia i względziki. Rażący objaw braku taktu okazali niektórzy, właśnie z powodu przedstawienia „Antoniusza i Kleopatry,” gdyż zamiast oświecić publiczność i budzić w niej zamięłowanie do tego rodzaju, dali formalne hasło ziewania i starali się pszesadzoną surowością ostatecznie zdyskredytować powodzenie sztuki, która byłaby stauowczo upadła, gdyby jej nie podparło powodzenie artystki, otoczonej glorią tryumfów, na drugiej półkuli świata zdobytych. Z drugiej jednak strony przyznać należy, przedstawienie to wykazało, że dramat nasz powinien przejść stadyum racjonalnie pokierowanego rozwoju, aby się rozwinąć wszzechstronnie i spoteżnić w siły potrzebne do doskonałego wystawiania dzieł takiego pokroju, że w tym kierunku trzeba by rozpocząć i prowadzić systematyczną działalność, mając na widoku nie tylko interesa chwili, ale odleglejszą przyszłość, oraz potrzebę wykształcenia nowej generacji artystów, którzyby umieli podtrzymać tradycję prawdziwie wielkiej i podniosłej sztuki.

Oprócz tej głównej nowości w pierwszej połowie roku zeszłego, ujrzelisny także kilka ważniejszych wznowień poważnych dramatów, a między innemi „Maryi Stuart” Szyllera, której wykonanie jednak w całości niezbyt świetne, tēmbardziej że grano ją podług nadzwyczaj nędznego przekładu, dokonanego nie z oryginału, ale z francuzkiej przeróbki, która tę retoryczną, ale wspaniałą tragedję uprościła i okaleczyła, stosownie do reguł pseudo-klasycznego smaku. Możliwość przedstawienia arcydzieła literatury powszechniej podług tak skażonego przekładu, świadczy o tēm, jak dawniej na naszej scenie literacka stro-na działalności dramatu była pomijana i traktowana lekceważąco, do obecnego więc kierownictwa należy zagładzić te błędy, usunąć z ruchu bieżącego przekłady dowolne, oraz niekkształtne amputacje najpiękniejszych płodów literatury dramatycznej.

Daleko pomyślniejszém pod względem ogólnej artystycznej wartości było wznowienie dramatu Wiktora Hugo: „Angelo Malipieri,” przedstawionego starannie i w dobrym przekładzie. Dramat ten w kierunku romantycznym jest jednym z najpiękniejszych i najbardziej artystycznych płodów autora „Nędzników,” a jakkolwiek należy do przebrzmiałego dzisiaj bezwzględnie rodzaju, to jednakże posiada grozę tragiczną, oraz ten urok gorącej, potężnej poezji, która niezależnie od romantycznej jaskrawizny, oraz dosadnej gry dysonansów, właściwej poecie, zawsze wywiera wrażenie głębsze i wzruszające. Dużo miała także uroku „Dalila” Feuillet'a, nosząca na sobie piętno nie dzisiejszej chwili, a jednak przemawiająca nie tylko przepychem artystycznej formy i poetycznością tonu, ale zarazem upostaciowaniem wiekiście kuszącej, a niebezpiecznej potęgi kobiecego demonizmu, który się kryje pod szatą syreniego wdzięku, a dla charakterów miękkich i słabych jest siłą, wiodącą do moralnego upadku.

Z dziedziny bieżących nowości repertuaru francuzkiego nie widzieliśmy żadnej większej komedyi, ale parę tylko drobnostek, pomiędzy którymi prawdziwą perełką jest przesłiczna „Iskierka” Pauillon'a, maleńkie arcydzieło finezyi, promieniejące nie tylko wdziękiem, ale i poetycznym urokiem. Wśród mnóstwa fabrykatów, opartych li-tylko na zręczności i sprycie, którymi często potrafią autorowie francuzcy zamaskować nawet brak głębszej twórczości, wyróżnia się ona prostotą motywu, opartego na grze uczuć miłosnych, oraz znakomitęm wyzyskaniem wszystkich subtelności charakterów, kreślonych nader misternie. Treść jęj polega na połączeniu zakochanej pary w sposób przypadkowy, ale zarazem bardzo naturalny, na zrozumieniu się dwóch serc, które się dotąd spotkać nie mogły. Uczucie płacze się tutaj z humorem, a ironia miłości, która niweczy ukartowane na chłodno zamiary matrymonialne, wytwarza kontrast bardzo oryginalny z dźwiękami szczerzej i ochoczej wesołości. Mamy tu wdowę, która dlatego niby nie kocha, że straciła już ułudę młodości, oraz pannę, której serce jeszcze nie zapłonęło od ognia tajemniczej „iskierki.” Właściwie jednak, na dnie serc obu spoczywa miłość cicha i niezupełnie świadoma. Mężczyzna, który kiedyś się kochał we wdowie, któremu zdaje się, że kocha pannę, dla obudzenia „iskierki” w sercu płochego, niefrasobliwego dziewczęcia, odgrywa z dawną kochanką scenę miłości, nie przypuszczając, że ta gra wydobędzie na jaw iskry, tlejące tajemnie w obu sercach i dawną ukochaną rzuci mu w objęcia. W tém wytworném capriccio miłosném, jedna tylko nuta pod koniec męci harmonię, to jest dobrowolna abdykacya z pragnień sercowych panny, która czując „iskierkę” rozbudzoną przez młodego, dzielnego chłopca, oddaje swą rękę prozaicznemu panu notaryuszowi, bez widocznej nawet potrzeby. Niezależnie od tego, komedijka ta posiada rzadką w dzisiejszych czasach woń prawdziwie poetycznej sielanki, w której srebrny śmiech wiejskiej prostoty łączy się z dźwiękiem wytworniejszego liryzmu. Z treścią sympatyczną kojarzy się tu śliczna, misterna forma dyalogu, która nadaje dużo wdzięku temu

prawdziwemu klejnocikowi francuskiej jubilerszczyzny scenicznej. Obok tej slichnostki bledną i maleją inne jednoaktówki, należące do pospolitszych scenicznych rupiecików. „Niewiniątko” panów Meilhac i Halevy, jest zwykłą zręczną robótką majsterków, którzy napisali widocznie tę komedyjkę dla popisu artystki, grającej rolę naiwną. Drobiazg to bez treści i oryginalności, ale werwą i żywym ruchem sytuacji na scenie, wywołuje pewien efekt. Jednoaktówka: „Kodycył,” jest tuzinkową sztuką konwersacyjną, przywoitą, ale rozpaczliwie banalną; nareszcie wznowiona elegaucka komedia Pauilleron’a: „Inny powód,” upadła po jednorazowym odegraniu z powodu niewłaściwej obsady.

Rzucając okiem na całą ilość sztuk, przyswojonych naszej scenie, widzimy, że wybór ich przedstawia pewien kontrast staranności z jednej strony, a niewybredności z drugiej. Zaznaczyliśmy już niewątpliwie dodatnie strony działalności reżyserji, widoczne w uwzględnieniu poważnego dramatu i szybszem wprowadzeniu paru wybitnych współczesnych nowości francuskich na naszą scenę. Poza tém jednak, w toku nowości repertuarowych, znać było dawną słabość dramatu warszawskiego, to jest brak planu, brak wytkniętego kierunku, który trwać będzie dopóty, dopóki dramat nasz nie pozyska kierownictwa energicznego, jednolitego, świadomego swych celów i dążącego do jasno nakreślonego programu. Na niewątpliwe zasługują uznanie oznaki postępu pod względem reżyserjskiej staranności wystawy, widocznej przy wprowadzeniu wielu sztuk nowych. Stanowi to ważny początek zmiany na lepsze w teatrze naszym, grzeszącym często bezprzykładną w tej mierze niedbałością. Pod względem ilościowym przyrost nowości nie był tak znaczny, aby pobudził do prawdziwie ożywionego ruchu wszystkie zasoby personelu i dał ostrogę rozwoju wszystkim talentom, ale wtajemniczeni twierdzą, że mechanizm naszej sceny, jako pierwszorzędnej, nigdy nie może działać w zbyt przyspieszonym tempie. Przesiawszy cały plon nowości, zapożyczonych z innych literatur, przez krytyczne sito, można by wydzielić z niego niejedną plewę i plewkę czczą i pustą, która też uleciała z podmuchem chwili w krainy niepamięci. Można by wreszcie zamiast niejednej sztuki, dość bladłej, obrachowanej na to, że ją podtrzyma gra znakomita, przedstawić niejedną utwór głębszej wartości, w której obok klejnotów sztuki wykonawczej, treść wewnętrzna dostarczyłaby słuchaczom bardziej posilnej strawy estetycznej. Prawda, że zmiany w tym kierunku dokonać nie łatwo przy wielu warunkach, niekorzystnie krępujących reżyserjską działalność, ale to pewna także, że pewna część repertuaru nosiła na sobie dawną cechę oportunistu, to jest zbytniego rachowania się z okolicznościami, wybierania rzeczy nie tych, które powinny być wybrane, ale tych, które prawdopodobnie były pod ręką; baczenia, jedułem słowem, na cele i względy drugorzędne, z niedostatecznym uwzględnieniem wytycznych zadań działalności pierwszjej polskiej sceny. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy od sceny, która rachować się musi zawsze z warunkami praktycznej egzystencji, po doktrynersku żądali kultu samęj sztuki wysokiej; abyśmy chcieli

widziéć w jéj rzładach urzeczywistnione, niektóre pobożne, ale nie praktyczne życzenia krytyków naszych, pragnących układać tylko repertuar „kalibrowy” z samych arcydzieł; to pewna jednak, że niektóre błahostki i marnoty mogłyby sobie wygodnie przeleżeć w tekach tłumaczów, aż do chwili użycia ich w praktycznych celach gospodarstwa domowego.

Pod tym jednak względem, pierwsza połowa zeszłego roku przyniosła nam fakta doniosłe, wynikié, właściwie mówiąc, poza sferą artystycznego działania naszej sceny, ale mające dla niéj znaczenie bardzo wielkiéj wagi na przyszłość.

Potrzeba reformy teatru widoczna we wszystkich niemal gałęziach jéj rozwoju, wykazywana dobitnie a często nawet z przesadą przez różne organa naszej prasy, wywołała objaw, który niewątpliwie w dziejach naszej sceny zapisał się głoskami pierwszorzędnej wazności. Utworzona z polecenia władzy komisya mająca na celu obmyślenie środków podniesienia teatrów warszawskich, wydelegowała specjalną podkomisyę, która wypełniając swe zadanie, opracowała projekt wszechstronnych zmian naszego dramatu, zarówno pod względem organizacyi personelu jak i artystyczno literackiego kierownictwa. Praca ta ze wszechmiar zasługuje na bliższą uwagę, ponieważ wyznacza dla naszej sceny wytyczne drogi rozwoju, z widokiem na ogólne potrzeby społeczeństwa i na pomyślną przyszłość naszej pierwszej artystycznej instytucyi. Niektóre kwestye, zwłaszcza organizacyi estetycznego kierownictwa, rozstrzyga ona całkowicie i w znacznej części zadowalniająco, co do innych zaznacza potrzebę nowych jeszcze prac projektodawczych i organizacyjnych, któreby bliżej określiły drogi i środki prowadzące do celów i rezultatów wytkniętych przez świadome i racjonalnie określone zasady prowadzenia scenicznego ruchu. Nie wdajemy się w téj chwili w bliższą charakterystykę tych projektów, które można uważać jako kres graniczny, zamykający dawną dobę kierunku scenicznego, jako zapowiedzi nowéj, ożywionéj działalności opartéj na zasadach zapoznawanych i lekceważonych przez dawniejsze kierownictwo. Projekta te były zapowiedzią zmian i reform, których pierwsze zadatki spostrzegamy już w nowo rozpoczętym okresie działalności sceny i dlatego téż do następnego przeglądu zachowujemy bliższe uwagi nad treścią tych reform, oraz nad ich praktycznym znaczeniem w stosunku do faktów scenicznego ruchu, noszących na sobie piętno zerwania z tradycją dawnego systematu. W każdym razie, chociażby nawet wiele punktów tego projektu zamieszkało dziedzinę nierzeczywistnionych ideałów, chociażby nie zyskał on w całej rozciągłości mocy obowiązującej, to jednakże niewątpliwie odegrał ważną rolę jako czynnik negatywny w obec niepomyślnéj przeszłości, jako akt legalny uznający jawnie i wielostronnie potrzebę postępu naszej sceny w kierunku odpowiednim do potrzeb duchowych społeczeństwa.

Jakiegokolwiek były przyczyny i czynniki które powołały do życia komisję wraz z podkomisjami, jakimkolwiek powodom scena nasza zawdzięcza ten z góry idący prąd reformy, doniosłość samego faktu przez

to się nie zmniejsza. Uważać go można nie bez zasady za pocieszający prognostyk, który zdaje się zapowiadać, że w kierunku scenicznym, siły twórcze naszego społeczeństwa będą miały szersze niż dotąd pole rozwoju przed sobą, że w pewnych przynajmniej dziedzinach duchowego życia, samodzielność nasza jest siłą zyskującą sobie sankcję tam nawet, gdzie była systematycznie zapoznawana lub lekceważona.

Stojąc więc na progu nowej ery z uzasadnioną poniekąd nadzieją lepszej przyszłości, bez różowych jednak złudzeń i optymistycznego zadowolenia, możemy nieco pogodniejszym a zwłaszcza ciekawszym wzrokiem spoglądać w przyszłość naszego dramatu i oczekiwać, czy się też spełnią papierowe obietnice projektów. Zanim jednak pożegnamy niezbyt ponętną przeszłość, winniśmy zaznaczyć w bieżącej kronice faktu, które się zarysowały wybitniej w czasie objętym przez niniejsze sprawozdanie na tle ruchu sztuki wykonawczej, która stanowi tak ważną dźwignię powodzenia każdej sceny, a u nas rozwija się pod wieloma względami bardzo pomyślnie; że pomimo utyskiwań, kwasów i afektowanej surowości wielu naszych krytyków, pozujących na chroniczne niezadowolenie, przyznać trzeba, że siły aktorskie naszej trupy są niepospolite i że stanowią potężną dźwignię pomyślności, która niezawsze je umie wyzyskać dostatecznie dla swych interesów artystycznych i finansowych.

Znakomitą przedstawicielką tryumfów naszej sztuki dramatycznej jest słynna dziś na obu półkulach pani Modrzejewska, której występy gościnne po powrocie z Ameryki, były prawdziwie wielkim wypadkiem zeszłego sezonu teatralnego. Otoczona urokiem zagranicznej sławy, która ma zawsze taki urok dla nas „niewierzących w proroków między swojemi,” a także rozgłoszona przez stutrąbne fanfary reklamy, znakomita ta artystka obudziła niebywały gorączkowy ruch nie tylko wśród miłośników sztuki, czujących jęj olbrzymi talent, ale i w tych sferach, które dadzą się porwać tylko przez wpływ mody, lub nadzwyczajnego rozgłosu. Z zamorskiej podróży talent pani Modrzejewskiej, który wydawał się dawniej ostatecznie rozwiniętym, stojącym na szczycie swego rozwoju, wrócił zmieniony, zmęczniały, spotęgowany pod wieloma względami. W czasie tych gościnnych występów, artystka dała nam poznać najznakomitszą swoją kreacją, należącą bez zaprzeczenia do najcelniejszych arcydzieł sztuki aktorskiej.

Bohaterka Dumasowskiej „Damy kameliowej” przechrzczonej u nas na „Maryą Gauthier,” w grze artystki przemówiła niezwykłą siłą prawdy, opromienioną poezją i ujętą w kształty świetnego artysty. Znać tu było podchwycenie doskonałe nerwowości i suchotniczności natury kobiety napół upadłej, żyjącej z dnia na dzień w ciągłym paroksyzmie szału, niepomnjej jutra, lekkomyślniej, pustej, odurzającej się nieustannie w gwarze uczt półświatka, ale powoli ulegającej potężnym wpływom uczucia, które zapanowało nad nią wszechwładnie.

Nie nasza to rzecz pisać drobiazgowo studia nad wartością płodów sztuki aktorskiej, ani parafrazować naukowo wygłaszane już na ró-

żne tempa przez całą rzeszę recenzentów hymny zachwytu; powiemy tylko, że w tej roli artystka stanawszy na gruncie doskonałej obserwacji realnej, odczuwszy niezmiernie głęboko stan wewnętrzny upadłej grzesznicy, doprowadziła sztukę do tej wysokości, na której znika wszelka sztuczność a zostaje się tylko potężne, wstrząsające wrażenie prawdy, ukazanej w kształtach niepokalanie artystycznych. Nawet w ostatnich scenach agonii, artystka umiała połączyć prawdę fizyologiczną, przedstawioną bardzo wiernie z wymaganiami sztuki, wywołując wrażenie prawdziwie przenikające.

Drugą niepospolitą kreacją p. Modrzejewskiej jest Kleopatra w tragedji Szekspirowskiej, przedstawiona z całym kuszącym urokiem syreniego wdzięku, z całym przepychem plastyki estetycznej, godnej zaprawdę tej kobiety słynnej z wdzięku w świecie, który wytworzył najwyższe jego kształty zmysłowe. Zawily, chwiejny i fantastyczny charakter tej potężnej kobiety, co ujarzmiła panów świata, artystka wysnuła w grze swojej z całą dosadnością i zgłębieniem wszystkich odcieni świetnej charakterystyki Szekspirowskiej, odtworzyła wszystkie rysy tej mieniącej się w różne barwy, nawpół demonicznej natury. Pod względem energii dramatycznej i siły temperamentu, rola ta jednak nie była doprowadzoną do odpowiedniej potęgi, chociaż wysoko posunięta umiejętność techniki, pozwoliła zdobyć się na ekspresyą dosyć bliską prawdziwej siły.

Spotęgowanie w tym kierunku talentu artystki, widać było także w ślicznie granej Szyllerowskiej „Maryi Stuart,” która należała dawniej do słabszych kreacji artystki, obecnie zaś była jedną z najpierwszych.

Obok czarującego wdzięku, postać ta tchnęła prawdziwie królewską powagą a w scenie spotkania się Maryi z Elżbietą, artystka wspaniale oddała wrzącą oburzeniem godność majestatu, która piorunami zemsty druzgotała nienawistną przeciwniczkę.

W roli „Adryanny Lecouvreur,” okazała się widocznie dwojaka zmiana talentu artystki, który zyskując na ekspresyi w akcie ostatnim, oddanym z niepospolitym tragicznym efektem, stracił cokolwiek na miękkości, na owym niedoścignionym wdzięku niewieścim, na niepokonanym czarze i miękkości i słodyczy, roztaczającym dokoła nieujętą rozkoszną poetyczną atmosferę. Oparte na tym czynniku estetycznym role Anieli w „Ślubach panieńskich,” Cecylii w „Pannie mężatce,” a nawet Ofelii w „Hamlecie,” nie doścignęły obecnie tej wyżyny estetycznej, tego niewysłowionego powabu, jaki im dawniej artystka nadać umiała.

W ogóle jednak talent pani Modrzejewskiej nabrał nowego polotu i rzeźkości, zahartował się widocznie poczuciem własnej siły, przeszedłszy próby ogniowe działalności na nowej a szerszej widowni.

Występy artystki były jednem pasmem zasłużenie odniesionych tryumfów, które budziły stopniowo wzrastający zapal słuchaczy. Potęgą talentu, sławy i rozgłosu pani Modrzejewska obudziła nader żywe zajęcie do poważniejszych rodzajów dramatu, a chwilowo nawet podniosła nastroj repertuaru do niebywałego kamertonu.

Niemalże także ożywienie w kołach artystycznych wywołały gościnne występy p. Ładnowskiego, lwowskiego tragika, który uplastyczył cztery kapitalne role Szekspirowskie: „Hamleta,“ „Leara,“ „Otelła,“ „Romea,“ okazując się istotnie artystą niepospolitej miary, chociaż dalekim od tej wielkości, na jaką wynieść go pragnęła reklama pewnej kotery literackiej, natchniona przez sympaty lokalne. Względnie do małych zasobów, któremi rozporządza ten artysta, rezultaty gry jego są prosto zadziwiające, ale w stosunku do wielkości podjętych zadań aktorskich, nie dosiegają do odpowiednio podniesłego nastroju. Pomimo niezbyt pomyślnych warunków fizycznych i głosu średniej tylko siły, nieodznaczającego się szlachetnością ani bogactwem brzmienia, pomimo nawet niezbyt poprawnej manieri dykcji, artysta ten siłą twórczego talentu, pomysłowością i głęboką inteligencją, umiał istotnie podnieść grę swoją na poziom niepospolity, nadać jej blask wybitnej oryginalności, która stawia go w rzędzie celniejszych przedstawicieli naszej sztuki dramatycznej. Szczytem jego talentu jest wykonanie roli Otella, odznaczające się wielką poetycznością, estetycznym traktowaniem i doskonałą psychiczną genezą charakteru. Począwszy od aktu trzeciego, od pierwszych przebłysków namiętności, postać obłąkanego maura rosła i potężniała w naszych oczach, aż do chwili ostatecznej katastrofy, zagraniej estetycznie i szlachetnie.

Cały ten roli zastosowany był do zasobów artysty i nie miał odpowiedniej potęgi tragicznej, ale w tym zakresie była ta kreacja przeprowadzona harmonijnie z umiejętnością gradacy i tak znakomitęm wyzyskaniem efektów, jakiego nie widzieliśmy w tej roli nawet u artystów niezmiernie wyższych, od lwowskiego tragika, któremu bezwątpienia tylko brak środków i prawdziwie wysokiego stylu przeszkadza, aby im dorównał całkowicie.

Po „Otelu” najlepszą rolą p. Ładnowskiego był „Romeo,” przedstawiony po wosku, z wielką, prawdziwie południową zapalnością i żywocią temperamentu. Daleki od deklamacyjno-sentymentalnej tradycji, przyjeżdż u nas w roli kochanków, Ładnowski przedstawił Romea żywo, nerwowo, z całym ogniem młodzieńczego uniesienia, a chociaż mu brakło liryzmu i poezji, to jednak od początku do końca gra jego tętniła prawdą namiętności, nietyle odczuta, ile uwydatniona przez potęgę artyzmu. W „Hamlecie” miał artysta bardzo piękne pomysły, olśniewał w wielu miejscach umiejętnością w wydobywaniu efektów, ale w ogóle ton roli obniżył do nastroju zbyt potocznie naturalnego, przeskakując czasami do podniesionego patosu; był Hamletem przystępnym dla ogółu widzów i dość zrozumiałym, ale zarazem nadto pospolitym, powszednim, niemającym tej smutnej melancholiznej poezji, której gloria unosi się jak tajemnicze światło, ponad smętną postacią cierpiącego, złamanego i zgoryczonego marzyciela. Najmniej udatną rolą pana Ładnowskiego był „Król Lear,“ pomyślany i zagrany inteligentnie, ale w wykonaniu niedoprowadzony do artystycznej wartości uprzednich kreacji artysty. Niewątpliwie była to gra równa, rozumna, ale znać

było w niej nadrabianie naturalnych braków, wielki niedobór siły fizycznej, widoczny zwłaszcza w czasie sceny burzy, brak głębszej rzeźwoności i majestatu monarszego, chociaż w ostatnich scenach tragedyi gra artysty nagłym rzutem energii wzniosła się do prawdziwie wstrząsającej grozy tragicznej. Oryginalnie i szlachetnie wykonaną była także rola Augusta Nowowiejskiego, w komedyi p. Zalewskiego „Przed ślubem,“ w której prawda charakterystyki łączyła się ze szlachetnością artystycznego opracowania. W ogóle powodzenie p. Ładnowskiego służy za dowód, jak wielką siłą w zakresie poważnym dramatycznym jest pomysłowa inteligencya i oparta na głębszych podstawach artystyczna samowiedza, która potęguje nawet przyrodzone dane, umie zwyciężać szkopyły, o jakie rozbijają się pospolite i mniej oryginalne siły artystyczne.

P. Ładnowski jest nawskroś indywidualnym, zarówno w pomysłowym traktowaniu treści charakterów, jak i w wytworzeniu dla siebie odrębnej techniki, która wprawdzie nie nosi na sobie piętna prawdziwie szlachetnego i poprawnego stylu, ale w zakresie zasobów artysty daje wystarczającą sumę środków. Talent artysty jest giętki i różnorodny, nadaje się do zadań artystycznych, natury bardzo rozmaitej, a chociaż nie zawsze się wznosi do ich wartości, to jednak umie rozwiązywać wielkie zadania sztuki za pomocą swych skromnych środków, w sposób niez dumiewający wprawdzie, ale artystyczny, szlachetny i rozumny. Nie porwie on, nie olśni, nie przejmie tym galwanicznym prądem wrażenia, jak artyści władający siłą fizyczną i potęgą zapału, ale zawsze zajmuje i niekiedy wzrusza, zawsze łączy estetycznością plastyki w ruchach i pozach, zasługuje na istotne uznanie, dzięki niezaprzeczonej oryginalności, która nawet bez forsownych protekcji i przesadnych kadzideł od „najserdeczniejszych“ zjednała mu w oczach bezstronnej i gruntownej krytyki poważne wcale stanowisko w dziedzinie naszej sztuki aktorskiej.

Poświęcając bliższą uwagę gościom, musielibyśmy zbytecznie rozszerzyć ramy sprawozdania, chcąc podać charakterystykę celniejszych płodów naszej sztuki aktorskiej. Ograniczając się na treściwej wzmiance, zanotujemy tylko pobieżnie kreacje i role, które wybitniejszą większą siłą prawdy i artyzmu. Dając w imię galanterji pierwszeństwo płci pięknej, winniśmy przedewszystkiem zaznaczyć spotężnienie ogromnego talentu panny Deryng, który dawniej porywając przebłyskami natchnienia i zapału, podczas występów p. Ładnowskiego, zdobył się na kreacje artystycznie skończone, oddane z ogromną siłą zapału i dojrzałością artyzmu, a stawiając artystkę w szeregu najpierwszych naszych gwiazd scenicznych. Rolą Ofelii, graną w sposób porywający, panna Deryng dowiodła, że nie tylko w dziedzinie siły, ale i w sferze poetycznego wdzięku może odnieść tryumfy, a Szekspirowską Julię grała z taką potęgą poczui i czaru młodości, że w tej roli zadna z innych polskich artystek nie może się kusić o palmę pierwszeństwa. Pomijając inne role mniejszej wartości, wykonane nie tak świe-

tnie, zaznaczymy tylko z potężną siłą dramatyczną zagrana postać Tuli w „Sabinkach,” grzeszącą tylko trochę brakiem klasycznego stylu w pozach, oraz prześlicznie z wielką prostotą, prawdą, rzewnością i artyzmem zagrana rolę głównej bohaterki w „Mieszczanach z Pont Arcy,” którą artystka ocaliła pod względem etycznym, wypłynąwszy z wielkim taktem z sytuacji bardzo drażliwej.

Pani Rakiewiczowa jako Hersylia w „Sabinkach,” miała sposobność rozwinięcia swój tragicznej siły i szlachetnej gry akademickiej. Pani Popiel, ta prawdziwa pieśczołka publiki naszej, z takim niedoścignionym wdziękiem odtwarzająca postacie dziewczęce, w swoim zakresie najbardziej skończona i twórcza artystka, dała nam kilka ślicznie wyrzeźbionych cacek a między innymi cudną postać wiejskiego dziewczęcia w „Iskierce,” w której olśniła nas artystycznym fajerwerkami wesołości, brylantowemi kaskadami śmiechu i prawdziwie sielską prostotą dziewczęcą. Potężny komizm Żółkowskiego, któremu słońce tryumfów nieprzerwanie przyświeca, zdobył się na pyszną kreację Plumet'a, będącą prawdziwym arcy typem potulnej dobrodusznosci, rozczulającej a zabawnej, sympatycznej a ograniczonej i stworzył nowe arcydzieło porywającego a wysokiego komizmu. Królikowski nie znalazł żadnej szerszej roli, odpowiedniej do swego wysokiego stanowiska na naszej scenie, a w działalności tego znakomitego artysty, zaszła nawet przerwa niezbyt dla teatru korzystna. Stworzona przezeń nowa rola kasztelana w dramacie „Pro honore domus,” jakkolwiek należy do drugo-planowych postaci w sztuce, zaleciła się urokiem patryarchalnej powagi i przenikająco głębokiemu uczuciu rodzicielskiej miłości.

Z pomiędzy kreacji p. Rapackiego, wyróżniła się bardzo pięknie grana rola błazna w „Learze,” w tonie głębokiej, dobrze pochwyconej ironii, oraz parę drobniejszych postaci charakterystycznych. Z pomiędzy licznych ról p. Tatarkiewicza, wyróżnia się młody hrabia w „Mieszczanach z Pont-Arcy,” w której to roli artysta podniósł grę do niepospolitej wysokości i osiągnął stopień prawdy, nie spotykany w ostatnich czasach na naszej scenie w rolach kochanków, które z natury swojej prowadzą do ogólników i konwencyonalności. Świetnie także artysta odegrał dwie charakterystyczne postacie sympatycznych łotrów w komediach: „Sąd honorowy“ (Anielewski) i „Przyjaciele Hioba“ (Cyganek), oddane z wielką werwą, łączące charakterystyczną barwność z wytwornie artystycznym cieniowaniem. Pan Leszczyński odtworzył w „Sabinkach“ rolę Romulusa w rzutkich, pełnych energii zarysach heroicznych, którym brakło tylko cokolwiek klasycznego rytmu. Pan Ostrowski, komik dzielny, pełny jędrnej, naturalnej werwy, stworzył parę dosadnych, zamasztych typów szlacheckich, ale najtrudniejsze zadanie pokonał nader szczęśliwie w dramacie „Pro honore domus,” grając rolę mnicha kwestarza, postawionego w bardzo drażliwych sytuacjach, które umiał wyzyskać z wielkim taktem, bez szarży, nadając całej postaci wysoce typowy charakter.

Pomysłowy, pełen smaku i francuzkiej werwy talent p. Szymanow-

skiego, który od pewnego czasu jest jednym z ulubieńców publiczności naszej, dał nam kilka komicznych figur młodzieniaszków, a między innymi prawdziwie szeroko zagraną rolę sympatycznego birbanta w „Dzieństwie Plumet'a,” w którym artysta uwydatnił doskonale typ sangwicznego hulaki, różny od dzisiejszych zdechłaków i przedwcześnie zużytych niedorostków.

Rzucając okiem na ogólny ruch sztuki aktorskiej, widzimy, że nie wszystkie talenta mogły u nas równomiernie rozwijać się i wzbogacać scenę nowemi, oryginalnemi kreacyami, które w żywym ruchu scenicznym, każdy zdolny aktor, mający naprawdę siłę twórczą, może wcale obficie produkować. Pomijając różne żądania, któreby można postawić naszej scenie w kierunku właściwego użycia sił wykonawczych, przyznać należy, że pod tym względem powodzenie teatru było tak, jak dawniej, najwybitniejszym; że tak, jak dawniej, dobra gra aktorska stanowiła najważniejszy magnes, przyciągający miłośników sceny. O ile jednak pojedyncze siły aktorskie zdobyły sobie niejedną zasłużony tryumf, o tyle osiągnięcie ogólnej harmonii wykonania było po dawnemu rzadkością i wyjątkiem, w paru tylko sztukach napotykanym. W tym kierunku jednak teatr nasz pomyślał o uzupełnieniu żeńskiego zwłaszcza personelu nowemi siłami, za pomocą których odświeżono korzystnie obsadę kilku sztuk dawniejszych. Jestto początek działalności, która musi się dalej konsekwentnie rozwijać, jeżeli scena nasza ma dążyć do sprostania najwyższym wymaganiom sztuki wykonawczej, to jest do ogólnej harmonii, jeżeli utwory wykonane przez naszych artystów, nie będą, obok świetnych efektów, razić oczu widokiem miernoty i rzemieślniczości; jeżeli, jednym słowem, całość nie będzie zlepkim gry popisowej i nieudolnej, ale złoży się na obraz pełny, spójny, ożywiony tchnieniem życia, na prawdziwe dzieło sztuki, ucieleśnione w żywym i organicznym ruchu. Rozumié się, że takich rezultatów scena nasza nie otrzyma, dopóki nie wyda z siebie wyższej siły organizacyjnej, któraby ujęła wszystkie pojedyncze usiłowania we wspólną syntezę i potężnym ruchem pchnęła je ku jednemu celowi.

R. W.

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(PRZEKŁAD Z ORYGINALU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

A. Gorajską *).

Tom II.

V.

Chcąc się dowiedzieć o następstwach powyższego listu, potrzeba nam zajrzeć na chwilę do domu Margarity.

Pomimo takiego nawału wrażeń, doznanych w poprzedzającym dniu i nocy, Margarita usnęła snem głębokim, twardym. Obudziwszy się, zadzwoniła na ulubioną swoją garderobianę i powiernicę.

— Czy pan nie przyszedł?

— Nie, pani.

— Porzucił mię! — zawołała Margarita załamując ręce.

— Chciej pani raczej myśleć o tém, że jesteś cudem wybawioną od śmierci.

— Prawda, prawda... nie wiem co się ze mną dzieje...

— Jesteś pani znów u siebie, w pośród nas.

— Tak... ale zawdzięczam to Anieli.

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za luty r. b.

- Zapewne. Powiadają że ma iść za mąż, za hrabiego Artura.
- Co słyszysz... za hrabiego?
- A tak, hrabia dla niej ledwo nie oszaleje.
- O!.. to okropne!.. tego nie zniosę! Muszę temu przeszkodzić, żeby nie wiem co...
- A jakże pani mogłaby temu przeszkodzić?
- Ha.. przyszła mi myśl...
- Jaka?
- Pomszczę się na obojgu!
- Pani!.. nie myśl o zemście... myśl o swoim oswobodzeniu.
- O, nie! ja się zemsty nie zrzekam; srodze się pomszczę.
- Na miłość Boga, pani!
- Straszne dni przeżyłam w więzieniu: zemszczę się na moim oprawcy; mąż mnie porzucił, zemszczę się na moim mężu; Aniela stanęła mi w poprzek drogi: zemszczę się na Anieli.
- Porzuć pani te myśli.
- Nie mogę... muszę... Kiedy się rana w sercu krwawi, tylko zemsta może krew zatamować, nie, tylko zemsta.
- Ach, pani! przeczuwam nowe nieszczęścia.
- Ha! powiem hrabiemu, że Aniela kocha Edwarda; powiem mu, że Edward porzucił mnie dla Anieli: straszny to będzie cios dla jego serca, pewniejszy, aniżeli ugodzenie sztyletem. Sprawię, że to małżeństwo nie przyjdzie do skutku, a tym sposobem zemszczę się nad Aniela. Ściągnę na mego męża najokropniejszy gniew hrabiego, a przez to zemszczę się nad moim mężem.
- Przez łitość, chciałby pani rozważyć, jakie mogą być następstwa podobnego kroku.
- Rozważyłam wszystko. Plamę zniewag noszę na czole. Zniewagi te zetnę własnymi rękami. A! zdeptali mię!
- Przypomnij pani sobie, że ci życie ocalili.
- Tak, po to, żeby mi struci serce, niegodziwcy!.. O! pokonam ich, pomszczę się!..
- Margarita trzęsła się cała. Dopuszczyć się miała czynu najnikczemniejszego. Postanowienie to zgodnym było z całym jej życiem, zawichronionym niepohamowanymi namiętnościami. Konwulsyjnym rzutem zbliżyła się do stolika. W oczach jej pałała wściekłość. Porwała pióro w ten sposób, jakby ujmowała w rękę sztylet. Z dziką radością pochyliła je na papier i śmiejąc się spazmatycznie kreśliła szatańskie pismo; a potem, jak morderca, po dokonanej zbrodni sztylet odzruca, tak ona cisnęła piórem, zadzwoniła, a gdy w tej chwili ukazał się we drzwiach służący, rzekła:
- Natychmiast zanieść ten list do pałacu hrabiego Artura... A! zemściłam się! Nie wiedziałam, że z taką łatwością uda mi się zemścić.

VI.

Podczas gdy Margarita pisała ten list zdradziecki i zabójczy, który miał się dostać do rąk hrabiego, tenże otrzymał od Anieli następującą odpowiedź na pismo przez niego jój posłane.

„Panie hrabio! Otrzymałam list pański. Nie wątpię o szczerości uczucia, które mi pan przedstawiasz tak wielkiem. Wiem dobrze, iż względem pana związana jestem obietnicą, że przebaczenie, tak szlachetnie udzielone winowajcom, jest onęj rękojmią i zapłatą, która wysoko, bardzo wysoko podnosi pana w moich oczach. Lecz pan ze swęj strony także wiesz dobrze, iż serce nie daje sobą rozporządzać dowolnie. Otóż ja znów moje serce zbadałam i doświadczyłam: jest ono chore i zbolałe. Nie byłoby godném ani mnie ani pana, gdybym mu je ofiarowała z nakazu mojęj woli, w tym stanie. Smutny byłby to dar; tego pan sam nie zechcesz. Lecz skoro go nie mogę nakłonić ku panu, który zasługujesz na najgorętsze uczucie, nie będzie ono już należć do nikogo.

Uznając całą wielkość pańskięj duszy i najwyższą cenę, przywiązując do jego ku mnie przychylności, jakkolwiek mocno boleję nad niemożnością odpłacenia się za nią według jego życzeń, wypowiadam się przed panem, jak przed najdroższym bratem, odkrywę stan mojęj duszy, moje dążności i zamiary: sam mnie, panie hrabio, osądzisz i nie potępisz.

Jestem znużona tём życiem, które nikomu nie przynosi pożytku. Nie przydać się na nic, dla nikogo w świecie, to jedna z największych męczarni w życiu. Obejrawszy się wstecz poza siebie, widzimy, żeśmy przeszli jak przez pustynią, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, żadnej pamiątki, Tylko dobre czyny przeżyją nas tu na ziemi i one muszą być dzielną podporą naszą w życiu nieśmiertelném, jakie nas czeka poza grobem. W niemożności wykonywania tyle dobrego, ile pragnę, postanowiłam poświęcić się Bogu. Ale czyniąc to, nie mam zamiaru zamknąć się i pędzić żywot bezowocny, oddany rozpamiętywaniu i modlitwom. Taki rodzaj życia, o którego skuteczność i świętobliwość nie chcę się spierać, był zawsze przeciwny moim chęciom, memu usposobieniu i pojęciom, jakie mam względem możliwęj doskonałości na ziemi. Aby się udoskonalić, potrzeba walczyć, a walczyć z wiarą i z wielkiem wytrwaniem, i dobry posiew pełnemi rękami rzucać, chociażby na grunt jałowy i niewdzięczny.

Od niejakięgo czasu jedna myśl nasuwa mi się bezprzestannie: chcę koniecznie zostać Siostrą Miłosierdzia. W mojęm przekonaniu jestto powołanie najszczytniejsze, życie najdoskonalsze, najgodniejsze Boga i nieba. Umrzć dla siebie, a żyć dla drugich, płakać z temi co płaczą, cierpieć z temi co cierpią, choremu nieść ulgę w jego dolegliwościach, modlić się przy łożu konającego i zamknąć mu powieki, iść na pole bitwy, gdzie wszystko tchnie zagładą i nienawiścią, i tam zanieść miłość, litość i życie, wszczepiać w sierotę naukę obowiązku,

wszędzie a wszędzie zjawiać się gońcem Opatrzności, tęczą pokoju i otuchy, to mi się zdaje być powołaniem piękniejszym, wznioślejszym nad wszystkie tryumfy talentu, które zabłysną na chwilę, by wnet zagasnąć nie zostawiając po sobie nic więcej, jak to, co błędny ognik, wspomnienie blasku.

Przyznaję się do tego, panie hrabio, że kochałam bardzo, kochałam całym sercem; jednakże przekonywam się, że to nie było ukochaniem jednego przedmiotu, a raczej nadmiarem mojej miłości ku całemu światu. Jakką najszczerzej mówię panu, iż miłość moja zbyt jest wielką, zbyt silną, by mogła na jednym tylko spocząć człowieku. Przepęłniona nią dusza moja, głowa, serce; to ścieśnienie jęj w szczerpłym obrębie i zamknięcie w sobie, sprawia mi ból niewymowny. Czuję najgorętsze pragnienie wylania jęj, poświęcając się dla moich bliźnich. Nie zadawałniamą mię ani moje łatwe tryumfy w teatrze, ani światowe stosunki. Chcę zostawić po sobie ślad niezatarty, jedyny, jaki dusza pozostawia na ziemi, w dobrych uczynkach. Inaczej, zważ pan sam, co by się ze mną stało? W każdej chwili Bóg może odwołać odemnie moją sędziwą matkę. Pokochać kogoś serce moje nie jest w stanie, skoro nie mogę kochać człowieka tak godnego miłości, jak pan nim jesteś; widać, że Bóg sam tego nie chce. Sama jedna, mając za zadanie tylko zabawiać ucho płochego salonów towarzystwa, bez rodziny, dworaków bez czucia i serca, cóż to za smutna przyszłość, co za czczy, bez celu żywot!

Chwytnijąc się tego ostatecznego środka, uciekam się na jedyną drogę, jaka mi pozostaje do przejścia spokojnie z tego życia do wiecznego. Zrzucam z siebie artystyczne wieńce, jakby uciążliwe brzemię. Porzucam sławę, oklaski, jak gdybym rzucała palącą atmosferę wielkiej burzy. Uciekam od świata, jak więzień z turmy. Zamykam usta i tłumię w sobie głos, jak gdybym tłumila bolesne jęki. Zdaje mi się, że mam wejść do wieczności. Aż dotąd dusza moja błąkała się po drodze żywota, niby ptaszę wśród wichrów burzliwej zawiei. Dziś zdaje mi się, jak gdybym napotkała drzewo, na którym mogę spocząć i doczekać się końca.

Zawierz mi, panie hrabio, mówię to z całą wrodzoną mi otwartością, z najszczerzego duszy popędu. Doszedłszy do progu innego życia, tęskne oko zwracając na czasy, które poza sobą zostawiam, w niezachwianem już postanowieniu wstąpienia na ostatni szczebel moich przeznaczeń, jedno tylko wspomnienie wrusza mię i żal we mnie budzi, jedna tylko istota łączy mi wyciska, a tą pan jesteś, panie hrabio; o tak! byłabym pana kochała, gdybym nie była tak bardzo nieszczęśliwą... ciężki żal mię uciska. Żegnam pana. Aniela."

Hrabia Artur odebrał ten list, przeczytał go i wpadł w rozpacz niewypowiedzianą. Stracić Aniela równało się dla niego wyrokowi śmierci. Tęm większą uczuł boleść w tej rozstrzygającej chwili, iż kiedy niekiedy zdawało mu się dostrzegać jakąś iskierkę, jakiś błysk na-

dziei, i jak zwykle bywa z każdym nieszczęśliwym, łudził się do ostatka...

Boleść jego w tym razie była niepomiarkowaną. Nie objawiała się w szalonych zapędach rozpaczy, które zazwyczaj bywają gwałtowne, smaszne, lecz przemijające; ale wyglądała jak smutek nieutulony: taki smutek nie występuje silnie na zewnątrz, lecz zwolna podkopuje życie.

Obejrzał się na wszystkie strony i żadnej dla siebie nie widział pociechy, żadnej... Opuścił głowę na piersi i półgłosem szeptem wymawiał przerywane wyrazy:

— Oh! ona za mną płakała!... drogie jej łzy!.. Rzuciła mię na pastwę boleści, rozpaczy... Anioł czysty, anioł z nieba... Zdaje mi się, że umrę. Nadzieja ta zaczyna mi się uśmiechać... Tak, tak, z pewnością wkrótce umrę. Co za szczęście! Już jestem uspokojony... z ciężkością oddycham, silny mam kaszel, czuję wolną gorączkę... Bóg się nademną ulitował i śmierć mi zsyła... W ogniu tym oczyszczę wszelkie plamy mojego życia. Wszak umieram z miłości, a kto z miłości umiera, musi znaleźć miłosierdzie u Boga... Ach! wyobrażam sobie Aniele, w całym blasku piękności, stąpa po gwiazdach, w pośród chóru aniołów, śpiewa hymn błogosławionych... Skoro na ziemi nie mogę osiągnąć jej miłości, nie wątpię, iż ją otrzymam w niebie... co za szczęście umrzeć!...

Długo hrabia zostawał w tém rozmarzeniu, aż w końcu przerwało je wejście wiernego sługi Franka.

— Panie hrabio...

— Czegóż tu chcesz?

— List.

— Po co przychodzisz mi przeszkadzać?

— Powiedziano mi, że bardzo pilny.

— To dobrze, połóż go tu.

Frank położył list na stole i wyszedł.

Hrabia z roztargnieniem wziął list do ręki i rzucił okiem na zwierzchni podpis.

— To ręka Margarity—rzekł.—Pewno dziękuje za ułaskawienie. Co mi tam!

Wypuścił list z ręki na stół.

Przeszedł się kilka razy po pokoju, zaprzątnięty wciąż jedną myślą, która go na chwilę nie odstępowała. Machinalnie wziął list znowu, otworzył go i zaczął czytać. W miarę jak czytał, zmieniały się rysy jego twarzy, wzrok stawał się dzikim, dreszcze przebiegały po ciele.

Oto co zawierał w sobie ten list nieszczęsny.

„Panie hrabio! Wiem, iż panu zawdzięczam życie. I właśnie dlatego mam sobie za obowiązek wyjawić panu pewną tajemnicę, która mi bardzo cięży na sumieniu. Aniela oszukała pana. Aniela chciała ocalić mojego męża, który był jej kochankiem, który jest nim i dzisiaj

ponieważ odebrała mi jego przywiązanie. Tam nawet, w ciemnym kącie jego więzienia, słyszałam na własne uszy ich miłosne pocałunki... jestto zbyt ciężka dla mnie zniewaga. Ztąd możesz się pan hrabia jasno przekonać, jak dalece fałszywą opinię utworzyłeś sobie zapewne względem Anieli. Od chwili, kiedy ona dostała się do więzienia, już więcej nie ujrzałam Edwarda. Wątpić nie można, iż teraz oddają się uciechom téj występnej miłości, której pan służyłeś za tarczę, którą dałeś otuchę przez szlachetne swoje przebaczenie. Ja za moje ułaskawienie wywdzięczam się w téj chwili, niniejszym listem, chcąc, abyś pan hrabia poznał wszystkie zasadzki, wszystkie serca, które go otaczają.

Jeżeli pragniesz pan hrabia wiedzieć, jakie są pobudki całego mojego postępowania w tak ważnej chwili, przypomnij sobie, iż winnam ci życie, i że wdzięczność nakłania mię do objawienia tajemnic, których nader ciężkie muszę dźwigać brzemie. Żegnaj pana. Margarita.“

W pierwszej chwili, po przeczytaniu tego listu, hrabia zmiął go w rękę, jakby miał cisnąć go na ziemię. Opętała go wściekłość, gniew szalony. Zazdrość miotła jego sercem. Przypomniał sobie co Aniela mu powiadała o swoich uczuciach dla Edwarda. Wspomnienie to przeszło go jak ostrze sztyletu, zraniło boleśnie aż do głębi.

Lecz wkrótce rozważa zapanowała nad wrażeniem. Przeczysta postać Anieli błysnęła jak gwiazda nad rozszałałą namiętności powodzią, nad wściekłym zgrzytem zazdrości. Nie, to niepodobna, aby istota tak prawa, tak idealna, miała w kale zbrukać białe, piękne swéj duszy skrzydła, nieskażoną czystość swojego serca i swoich uczuć.

Hrabia kochał Anielę miłością prawdziwą. Nie była to burzliwa żądza ziemska, namiętność gwałtowna a przemijająca, lecz głębokie, trwałe uczucie, mające w duszy swoje siedlisko. I wnet się rozproszyła czarna zazdrości chmura, znikły wszelkie powątpiewania, a miłość żywa w jego sercu, miłość gorąca, egzaltowana, lecz szczerą i czystą, miłość ta przekonała go, iż Aniela była tak niepokalaną, jak myśli, które w nim obudzała, jak uczucie, którym jego serce natchnęła.

Oprócz tego znał on już zdawna Margaritę, jéj niepohamowaną zawziętość, jéj mściwość, jéj niecne serce, jéj wyrafinowaną przewrotność i wiedział, do jakiego stopnia dawała się powodować swoim namiętnościom, jak w zapędach swoich wpadała w szat ślepy, a wtedy nie widziała już nic przed sobą, ani cnoty, ani prawdy, ani sprawiedliwości.

Ztąd wynikło postanowienie, o którym zdania naszego nie wyrzekniemy, lecz które posłużyło do śpieszniejszego rozwiązania smutnego dramatu. Po odczytaniu jeszcze tego listu, przypomniawszy sobie złość Margarity, przyszedłszy do przekonania, iż haniebne oskarżenie, wymierzone na Anielę, nie mogło być prawdziwem, że to była ohydna potwarz, którą zły duch chciał splamić czoło ukochanej przez niego kobiety, hrabia postanowił ten list Margarity posłać Edwardowi, z dodatkiem kilku strasznych wyrazów:

„Oto masz, panie Edwardzie, wierny obraz niegodziwości swojej małżonki.“

VII.

Właśnie w tych dniach Edward całą duszą pragnął i usiłował zobaczyć się z Anielą. Pragnął upaść na kolana przed aniołem, który mu się zjawił w więziennym lochu, u progu wieczności i wydzwignął go już prawie z grobu; lecz Anieli wierna surowym zasadom, które rzeczywistość cechowały jój życie i jój usposobienie, bezwarunkowo nie chciała przystać na żadne z nim spotkanie.

Nad wieczorem wybrała się na codzienne swoje wycieczki do biednych, do nieszczęśliwych, niosąc zgłodniałym posiłek, pociechę ducha strapionym.

Edward zbliżył się do niój.

— Panno Anielo!—rzekł.

— Nie znam pana.

— Przez miły Bóg, Anielo, choć słów kilka pozwól...

— Pan wiesz dobrze, iż mowy jego słuchać mi nie należy.

— Mam prosić panią o radę—rzekł nieco dotknięty.

— Uczyni to pan na piśmie, lecz nie mów do mnie. Na wszystko proszę, oddał się pan.

Edward odszedł zasmucony zachowaniem się Anieli.

Następnego dnia pisał do niój:

„Panno Anielo! Rozstałem się z Margaritą. Od chwili gdy całe moje przeszłe życie odsłoniło się przed moim zdumionym wzrokiem, przedsięwziętem zbliżyć się napowrót do czasów, kiedy dusza moja była bez winy. Chcąc do tych czasów powrócić, muszę zapomnieć o mojej żonie, która mię wprowadziła na straszne bezdroża. Postanowienie to powziąłem po głębokiej rozwadze. Lecz ponieważ przed moimi oczami częstokroć kryją się skazy, które pani dostrzegasz, ponieważ potrzebuję natchnienia, rady w tak stanowczej chwili, do Pani się udaję, abys mi szczerze powiedziała jak mam sobie postąpić.

„Z Margaritą żyć pospołu żadną miarą nie mogę. Połączenie to znówby mię zgubiło. Z drugiej strony i to wiem także, iż rozłączając się z nią, dostarczę żywiołu ludzkim obmowom i będę źle widzianym u świata. Lecz bądź co bądź, pożycie dalsze z nią jest dla mnie niemożliwe. Dusza jój, to otchłań jeszcze czarniejsza od więzienia z którego mię Pani wyswobodziłaś. Słowa jój, to zimne ostrze stali, niebezpieczniejsze od ostrego topora, który kat przygotował do ucięcia mi głowy. Dlatego téż, na mało mi się przyda wyswobodzenie się od śmierci ciała, jeżeli mam popaść w śmierć moralną, w śmierć duszy. Żądałaś, Panno Anielo, ażebym nie mówił o owych czasach, które dziś są dla mnie niebem i piekłem: będę milczał. Nie chcesz abym przypomniał czém Pani byłaś dla mnie, czém ja byłem dla Niój; i o tém nie

wspomnę. Lecz błagam Cię na Boga, Panno Anielo, nie odmawiaj mi swojej rady.”

Edward.

Aniela odpiła Edwardowi w te słowa:

„Słusznie robisz, Panie Edwardzie, odzywając się do mnie w ten sposób, jak gdybyśmy zawsze byli dla siebie obcemi. Uczucie które było źródłem naszych stosunków, zatruiło się i mogłoby się stać przyczyną naszej zguby. Ukryjmy więc je w głębi duszy; niechaj nigdy nie wypłynie na usta, nie wyrzy okiem, niech się nawet nie pojawi w najskrytszym i nietykalnym przybytku myśli. Niechby raczej ten ogień nas strawił, niechby nas spalił; będzie to stokroć lepiej, aniżeli pozwolić mu wybuchnąć na zewnątrz. Więcej o tém nie mówmy: zapomnijmy zupełnie.

„Prosisz mnie Pan o radę; dlaczegożbym nie miała powiedzieć co myślę? W mojem przekonaniu źle Pan robisz, bardzo źle, rozłączając się z Margaritą. Sądzę, iż uchybiasz Panu w najwyższym stopniu swoim obowiązkom. Uważam to za rzecz niemoralną, niegodną człowieka, naganną pod wszelkimi względami, żyć w rozłączeniu z kobietą, której Pan dobrowolnie powierzył swój honor, z którą połączyła go wola Opatrzności. I dlatego proszę Pana ażebyś nie porzucił Margarity. Wiem, że niejednokrotnie jej słowa, jej rady doprowadziły Cię do złego; lecz to samo, zamiast usprawiedliwiać Pana, zwiększa jeszcze o wiele jego winę. Margarita jest kobietą, a do tego kobietą namiętną; wróżenia miłości i nienawiści przybierają w niej pewną, dającą się wytkłomaczyć, cechę gwałtowności; lecz Pan, jako jej małżonek, jako mężczyzna rozważniejszy i chłodniejszy, powinieneś być, raz już zostawszy dozgonnym towarzyszem, stać się we wspólnem pożyciu niby zimnym rozsądkiem Margarity. Mężczyzna winien być zawsze względny i skłonny do ustępstw dla kobiety, którą sobie obrał za towarzyszkę; lecz gdy napotyka w niej popędy przeciwne rozsądkowi lub sprawiedliwości, powinien całemi siłami je zwalczać, tém bardziej, jeżeli zważy, iż błędy kobiety mają zawsze a zawsze daleko większą doniosłość w społeczeństwie i w rodzinie, aniżeli błędy mężczyzny. Dlatego to społeczność, w której najdrobniejszych dziełach widać zawsze instynkt sprawiedliwości, ustanowiła kobietę wiernym stróżem moralnego życia rodziny, i honor jej uczyniła kruchszym aniżeli honor mężczyzny, ażeby go tém gorliwiej, tém świeciej, tém staranniej strzegła.

„Skoro Pan mojej żądasz rady, daję Mu ją w tych słowach. Powinieneś Pan sprostować wszelkie źródła popędy Margarity; powinieneś przewyciężyć i poskromić jej namiętności; lecz nigdy, w żadnym czasie, dla żadnego powodu i pod żadnym pozorem, nigdy, Panie Edwardzie, nie powinieneś się z nią rozłączać. Jest ona częścią Twojej istoty, połową Twojej duszy. Obok niej powinieneś doczekać się zgonu, obok niej spocząć w mogile, z nią pospołu żyć w wieczności.”

Aniela.

VIII.

List Anieli doszedł rąk Edwarda prawie jednocześnie z bezecnym listem pisanym przez Margaritę do hrabiego. Mając w ręku dowód takiej niegodziwości, tak zawziętej nienawiści ze strony Margarity, widząc w niej serce tak złe, umysł tak przewrotny, zamiar tak jawnie zbrodniczy, Edward oburzył się do najwyższego stopnia. Postanowił rozprawić się z nią surowo i groźnie, zażądać rachunku z tak haniebnego postępowania, dać jej uczuć cały swój gniew i wzdargę.

Poszedł więc do domu. Od owego dnia strasznej pamięci, w którym wyszedł z więzienia, jeszcze się nie widział z Margaritą. Wszedłszy do pałacu, został przyjęty z największym uszanowaniem przez domową służbę. Zapytał o żonę: powiedziano mu, iż jest w swoich pokojach. Znalazł ją w ustronnym gabinecie, przerzucającą z zajęciem książkę: jakiś brudny romans włoski.

— A? Edward!... Edward tutaj?—zawołała.

— Tak, ja sam: nie spodziewałaś się mnie.

— Sądziłam, że jesteś u Anieli.

— Milcz, zamknij bezwstydną usta!

— A dlaczegoż? Wszakże od czasu jak ją ujrzawsz w swoim więzieniu, wyrzekłeś się i domu i obowiązków.

— To prawda, wyrzekłem się tego domu, który stał się moją zgubą; wyrzekłem się obowiązków, które były dla mnie kajdanami.

— Teraz dopiero na tém się poznałeś?

— Dopiero teraz. Bliskość śmierci, tej wielkiej chwili, w której życie przedstawia się nam w nagiej prawdzie, dała mi poznać wszystkie moje winy i zbrodnie, a winy te i zbrodnie wzięły swój początek tu, pod tym dachem, pod wpływem twego jadowitego tchnienia.

— W istocie, Edwardzie, miło mi słyszeć, jak gorliwie stajesz we własnej obronie. Bardzo mi to miło, albowiem dostrzegam w tobie męską godność.

— Straciłem ją przez ciebie.

— Otóż to właśnie, co cię najsilniej potępia: to twój wyrok nieodwołalny. Mężczyzną jesteś, a nie miałaś dosyć samodzielności, aby się oprzeć moim zachceniom; ty mężczyzna, a nie miałaś dosyć męskiego hartu, aby stawić czoło méj woli i brzydziłeś się zbrodnią, a dałeś się wciągnąć do zbrodni! Aa!

— Tak, tak było.

— Skoro przyznajesz sam, że tak było, a więc jesteś gorzej niż zbrodniarzem, jesteś człowiekiem godnym pogardy.

— Margarito!

— Będąc zbrodniarzem mógłbyś być wielkim, przynajmniej byłbyś odpowiedzialnym za swoje czyny; lecz zostawszy igraszką cudzej woli, zasługujesz na wzdargę: jesteś tém samém, co najęty morderca... Edward wzdrygnął się z oburzeniem.

— A jeżeli to wyrażenie wydaje ci się zbyt ostrém—dodała Mar-

garita—no, to powiem, że jesteś jak trucizna, jak sztylet, co bezwiednie zabijają.

— Ty, ty mi będziesz wyrzucać moje przestępstwa? ty, która jedna może tylko na świecie mogłabyś je uniewinnić? ty, która wiesz jakich środków niskich, podłych, nikczemnych, użyłaś do wzbudzenia we mnie nieprawej namiętności, szalonej i brudnej żądzy?

— Powiadasz, iż jabym powinna uniewinniać twoje przestępstwa? Nikt w świecie nie zna lepiej odemnie ich źródła, a tém samém nikt nie może większej czuć pogardy dla twego charakteru. Jesteś niewolnikiem chwilowych wrażeń, dajesz się porwać byle miłostce, byle pociągowi, jak wąty listek rośliny rzuconej na bieżący potok.

— I dlatego, lękając się mego usposobienia, chcę skorzystać z téj stanowczej chwili, kiedy moja własna wola nademną panuje, ażeby z tobą postąpić jak na to zasługujesz.

Mówił to z takiem uniesieniem, iż Margarita przestraszona zerwała się z siedzenia i chciała wybiedz z pokoju, lecz Edward zamknął drzwi na klucz.

— Jesteś w mojej mocy—rzekł groźnie.

— Edwardzie! cóż to ma znaczyć?—wołała—co ty chcesz?

— Chcę żebyś usiadła.

— Ach! wiem że takie charaktery jak twój, są straszne. Dziś wrażenia chwilowe podburzają twoje serce przeciwko mnie. Kto wie, czy jutro nie będziesz tego żałował?

— A! znasz mię!... Jeszcze nie wiesz do czego jestem zdolnym. Serce moje powiadasz, że chwilowo tylko przeciwko tobie wzburzone: przekonasz się.

— Edwardzie, upamiętaj się!

— Jestem przy zdrowych zmysłach.

— Zapominasz, że ja jestem...

— Wężem, który mi się okręcił około szyi.

— W czémże przeciwko tobie zawiniłam?

— Masz: czytaj.

Podał jój list pisany przez nią do hrabiego Artura.

— Czytaj to: czytaj.

Margarita z przerażeniem wzięła papier do ręki i rzuciła nań okiem.

— A! to ja pisałam—wyrzekła z głuchym jękiem.

— Ty to pisałaś?

— Tak, nie zapieram się.

— A wiesz na co za taki list zasługujesz?

— Na twoje przywiązanie.

— Co? chyba chciałaś powiedzieć, że na moje przekleństwo, na wieczną nienawiść!

— Czyż nie wiesz czém jest uczucie zazdrości?

— O! wiem!

— Otóż zazdrość mi ten list podyktowała.

— A, nie! to złość twój duszy wrodzona, ten jad, który nosisz w sobie.

— Owszem, to dowód mojej miłości.

— Ha! miłość ludzi uszlachetnia, czyni ich lepszymi, a ciebie uczyniła bardziej jeszcze niż byłaś niecną, niegodziwą, podłą!

— Edwardzie! jak śmiesz przemawiać w ten sposób do kobiety, której swój honor powierzyłeś?

— A ty jak śmiesz mi to przypominać?

— Dlaczegoż nie?

— Alboż nie wiesz, że samo to przypomnienie cię potępia, że w moich oczach nie godną jesteś życia...

— A? chcesz mię może zabić, żeby się połączyć z Anielą?

— Milcz, nikczema! Gdybyś przeczytała co do mnie pisze Anie-la, musiałabyś się rumienić za siebie.

— Pokaż mi to pismo.

— Oto jest; masz je: przeczytaj.

Margarita drżącą ręką wzięła podany sobie list, odczytała go i z pogardą upuściła na ziemię.

— Porównaj—mówił Edward list podnosząc—porównaj twoją mowę z tém, co ona pisze.

— Obłuda, hipokryzya...

— Tak zawsze mówi złe o dobrém.

— Dobrze! Nie wierzę w dobroć, która się tak popisuje przed światem.

— W dobroć, która cię wybawiła od śmierci?

— Nie poczuwam się do obowiązku wdzięczności.

— Nawet i niewdzięczna!

— Nie uratowała mię dla mnie, lecz dlatego aby uratować ciebie, aby ocalić swojego kochanka.

— Margarito — rzekł Edward uroczystym tonem — na całym świecie tylko ty jedna odzywasz się obelżywie o Anieli.

— Bo tylko ja jedna znam ludzkie serce.

— I sądzisz je według swojego.

— Sądzę je z jego nędzoty.

— W dodatku jeszcze sceptyczna.

— Uważam Edwardzie, iż zaczynasz bardzo się zastanawiać nad mojemi wadami.

— Sama się z niemi popisujesz.

— Ach! bywały czasy kiedy się bardziej z niemi wydawałam, a jednak nie widziałeś ich tak dobrze.

— Ha! upojenie namiętności!

— Które ustąpiło miejsca innemu upojeniu, nie prawdaż?

— Margarito! wyzywasz mię, abym cię ukarał jak należy!

— Ukarał? a któż ci dał do tego prawo?

— Opatrzność.

— A ciebie kto będzie karał?

— Bóg.

— A ty mnie?

— Tak jest.

— Nie, tak jest źle; jeżeli nasze obowiązki a zatém i nasze prawa mają być obustronne, wypada samo z siebie, że ja mam prawo cię karać—odrzekła Margarita szyderskim tonem.

— To ci się zdaje, że jeszcze mało jestem ukarany przez ciebie? Mić cię za żonę, to największe z nieszczęść mojego życia, to moja zgryzota, moja męczarnia.

— Nieszczęście, zgryzota, męczarnia, których nie czułeś, dopóki Aniela nie weszła do twego więzienia.

— Co za bezczelność!

— To jest fakt.

— I ztąd wymyśliłaś sobie to, co pisałaś do hrabiego?.. O! tego listu nigdy ci nie przebaczę!

— Zapewne, skoro on dotknął twoją metrese...

Edward zatrząsł się cały.

— Śmiesz tak znieważać nieposzlakowaną cnotę, czystość niepokalaną.

— Cnota, czystość, czcze słowa!

— Dla ciebie zawsze niemi będą.

— Ja w to tylko wierzę, co widzę, lub słyszę; a słyszałam wasze pocałunki w więzieniu.

Rzucił się groźny, z zaiskrzonym okiem, z zaciśniętymi pięściami.

— O!—krzyknął—te obelżywe słowa, tę potwarz nikczemną, życiem mi zapłacisz!

Margarita poskoczyła do stolika, porwała sztylet z szufladki i wściekle nim wywijając, tak, iż wyglądał na żądło skaleczonego węża, wołała:

— A! to widzę potwór! to złoczyńca!

— Tak, tak, bo jestem twoim mężem!

— Ale ja potrafię się obronić! To ta faryzeuszka pragnie, żeby wasze miłostki, wasz grzech popełniony w więzieniu osłonić pozorami moralności, więc chce cię poślubić, a ja jestem na przeszkodzie; dla tego ta podła istota, ta przeklęta wszetecznicza przysłała cię tu, żebyś mię zabił... o! ja zdepczę tę gadzinę...

Edward już dłużej nie mógł się pohamować. Przypadł, jak szalony, porwał Margaritę za ramię, szarpnął nią gwałtownie, wydarł jej broń z ręki i bez upamiętania, wściekły, rozszarty, utopił sztylet w jej piersi.

Margarita wydała krzyk przeraźliwy: krew trysnęła z rany... upadła bez czucia na ziemię.

Edward zgrozą przejęty, prawie nieprzytomny, wypadł z pokoju, zbiegł ze wschodów na dół, do bramy, na ulicę i nie oglądając się za siebie, uciekał, jak opętany.

IX.

Po wydarzeniach opisanych powyżej, następują wielkie zmiany w życiu osób, odgrywających główne role w niniejszém opowiadaniu.

Edward uciekając przed nieuchronnym sądem i karą, wymknął się z miasta i uszedł z kraju.

Margarita nie umarła z rany, zadanej ręką męża owego wieczora, kiedy się poraz ostatni z sobą widzieli; lecz utraciła całe swoje mienie: odepchnięta od świata, w samotném schronieniu, w nędzy niewypowiedzianej, bez przyjaciół, bez pomocy, chora, bardzo chora, pędzi najsmutniejsze, najokropniejsze życie.

Straszną karę zgotowała i zesłała Opatrzność na biedną tę kobietę! Ona sama zaprawiła człowieka do zbrodni i ten człowiek morderczém żelazem przeszył jęj łono. Wszystko poświęcała kwoli wywyższeniu się, a spadła w największe poniżenie. Ceniła nad wszystko bogactwa, a została przywiedzioną do ostatniej nędzy. Ubiegała się o hołdy dworaków, a widzi się opuszczoną, bez przyjaciół. Kochała się w uciechach, a teraz oto w kwiecie wieku, kiedy życie powinno być dla niej najuciesznieszém, kiedy szczęśliwość powinna szeroko roztoczyć skrzydła nad jęj głową, znajduje się chora, prawie nie mogąca oddychać, ledwo żywa. Jedna tylko uboga wdowa z ludu, odważyła się przytulić ją do siebie. Dawni przyjaciele odbiegli, jak od zapowietrzonych... Nieszczęśliwa ta kobieta cierpiała wszelkie męki, wszelkie kary, jakie najbardziej mogły ją upokorzyć, najwięcej utraścić, udęczyć. Opatrzność zawsze sprawiedliwa, która każdemu płaci wedle jego zasług: Opatrzność i tym razem ujawniła wszechwładną swoją moc na ziemi.

Zaniedbanie i nierząd w ogromnych jęj dobrach, grabieże, długi wynikłe z niepomiarkowanej rozrzutności: wszystko to spowodowało zupełną ruinę Margarity. Majętności jęj zostały zabrane, a w końcu ona sama wyrzucona ze swego pałacu, ze swoich ogrodów i wszystkie jęj klejnoty, złoczone sprzęty, cały przepyszny strój jęj apartamentów, wszystko zostało wystawione na publiczną sprzedaż, dla zaspokojenia wierzycieli.

Wyniosła tylko z domu kilka kosztowności, które sprzedawała jedną po drugiej na życie w hotelu. Lecz ponieważ skutkiem rany znajdowała się w bardzo złym stanie zdrowia, przeto musiała wydawać nadzwyczaj wiele na lekarstwa i inne potrzeby, niezbędne przy długięj kuracyi. Przyszło do tego, iż ją sromotnie wyrzucono z hotelu, ponieważ nie miała czém zapłacić za mieszkanie.

Pewnego wieczoru znalazła się sama jedna na ulicach Neapolu. Czas był bardzo zimny. Licha odzież okrywała zziębnięte jęj ciało; podarte obuwie nie ochraniało stóp jęj od błota, po którém brodziła; a na domiar złego, przy niezwykłej w pięknych klimatach Południa ostrości pory, płatki śniegu polatywały w powietrzu: słowem, był to najokropniejszy wieczór ze wszelkich względów.

Margarita z dolegającą mocno raną w piersi, blada, słaba, ze zgrozą przypominała sobie owe wieczory, kiedy po tych długich ulicach przejeżdżała się rozparta na miękkich poduszkach swojej karety, w liczonym wielbicielu orszaku. Wtenczas gdziekolwiek kazała się oznajmić, wszystkie drzwi otwierały się z pośpiechem: dziś wszystko przed nią zamknięte. Wtenczas Neapol cały ucztował w jej pałacu, a dziś ona niema ani kawałka chleba do zaspokojenia głodu.

Wzmagał się chłód wieczorny, a zarazem zwiększała się okropność jej położenia. Śnieg padał na nią i członki jej zeszywniały, zlodowaciały zarówno, jak jej dusza; nic w około niej, jak tylko gorycz, strapienie, trwoga. Ani ręki przyjaznej, ani przytułku, ani najmniejszej nadziei. Trzeba zginąć bez ratunku...

Nie opuściła ją duma, namiętna wyniosłość, ale nad wszystkiém górowała w niej obawa śmierci. Usiadła na kupce mokrych kamieni i jąta rozważać: co począć, gdzie się schronić, do kogo udać się o pomoc? Ani jednego nie miała przyjaciela, nie wiedziała, gdzie się obrócić; ani jedna dusza nie dochowała jej przyjaźni w nieszczęściu. W około niej pustka zupełna. I zaczęła gorzko płakać nad okropnym swoim losem.

Wtém ukazała się jakaś postać. Margarita szlochała.

— Kto tu płacze?—zapytał głos kobiety.

— Biędna, nieszczęśliwa...

— Co ci jest?

— Jestem chora, bez przytułku, bez opieki, sama jedna na świecie.

Postać przybliżyła się i przy świetle latarni spojrzała w twarz płaczącą... nagle krzyknęła:

— Margarita!

— Aniela!—wykrzyknęła ze swój strony Margarita.

— Pani tu, w taki czas, po nocy, w takiem opuszczeniu?

— Tak, pani: tobież mię o to pytać?

— Pójdź pani ze mną.

— Nigdy, nigdy!

— Ale dlaczegóż?

— Dlatego, że te rany w mojem łonie, które mi taki ból sprawują, twojem są dziełem.

— Ach! jak pani możesz to mówić?..

— Mówię tak i gdyby mi sił nie brakło, gdybym nie była umierająca, skostniała od zimna, nie zostałaś przy życiu.

— Na Boga, nie oddawaj się pani tak okropnym uniesieniom.

— Mniej okropnym, zaprawdę, od mego nieszczęścia.

— Uspokój się.

— Proszę sobie iść.

— Nie zostawię chorój bez ratunku.

— Moja pani, idź ztąd!

— Pójdź pani ze mną; w mojem mieszkaniu będziesz miała schronienie i najtroskliwszą opiekę; wszystko, co potrzebne w takim stanie.

— Zapewne, sama mię zraniła...

— Ja? cóż to za przywidzenie?

— Od sześciu przeszło miesięcy noszę tę ranę w piersi.

— Biedna!

— Minęło już sześć miesięcy, jak mąż pchnął mię sztyłem i od-
tąd go już więcej nie widziałam; nie mam już ani domu, ani rodzi-
u, ani przyjaciół, nikogo na świecie.

— Oh, cóż za smutny los!

— Nadzwyczaj smutny. Lecz któż jego sprawcą, kto?

— Kto sprawcą?

— Porzucić obłudę, panno Aniello; sama byłaś główną przyczyną
wszystkich moich cierpień.

— Na mnie, takie oskarżenie!

— Tak, tak, ty sama.

— A więc niechże i tak będzie: jam wszystkiemu winna i proszę
o przebaczenie.

— Nigdy.

— Przebacz mi pani i pójdź ze mną.

— Niepodobna: ofiara brzydzi się swoim katem.

— Pzynajmniej do czasu wyzdrowienia.

— Nawet zdrowia nie chcę z téj ręki.

— Na miłość Boską, zaklinam...

— Powiedz panno Aniello, coś zrobiła z Edwardem? gdzie on?

— Pzynajmniej od pół roku nie miałam żadnej o nim wiado-
mości.

— To fałsz! Ty mi go wydarłaś.

— Nieprawda: gniew pomieszał pani zmysły.

— Jeszcze śmiesz mi urągać...

— Powiadam pani, że już oddawna nie widziałam wcale pana
Edwarda.

— A dlaczegoż się oddalił?

— Ja mu tego nie doradziłam.

— Dlaczego mię porzucił?

— Także nie z mojej namowy, ani rady.

— Tego mi pani nie mów.

— Mówię prawdę, najświętszą prawdę.

— A ja tu sama, ja w nędzy, umieram na ulicy, bez dachu, bez
okrycia...

— Weź pani moje—rzekła Aniela, odpinając płaszcz, który mia-
ła na sobie.

— Powiedziałam już, że nic nie chcę od pani.

— Choć to jedno..

— Ja z panią jedną tylko mam sprawę: chcę i muszę się zemścić.

— I w takiej chwili myślisz pani o zemściel!

- Zbywa mi na siłach, ale nie na woli.
 - Myśl pani o Bogu.
 - Dajże mi pokój z tém faryzeuszostwem!
 - Bóg jest jedyną, niewyczerpaną pociechą dla nieszczęśliwych.
 - Dla mnie pociechy niéma w nikim, ani w niczém.
 - Buntujesz się pani przeciw Bogu...
 - Cha! cha! cha!—rośmiała się Margarita na cały głos.
 - Tak, gdyż Bóg przysyła pani przezemnie ulgę i ratunek, a pani gardzisz Jego darami.
 - Nic nie chcę; daj mi pani pokój: nudzisz mię, zamęczasz!
 - Nie mogę przenieść tego na sobie, ażebym zostawiła tu panią samą, bez pomocy.
 - Kiedy mówię, że mię zabijasz!
 - Zaklinam panią na wszystko, pójdź ze mną.
 - Nie! tysiąc razy powtarzam, nie!
- Margarita zerwała się, jak oparzona, obejrzała się na wszystkie strony, jakby w obłędzie i wołała:
- Niéma sposobu pozbyć się téj nieznośnej kobiety?
I zbierając wszystkie siły, uciekła w ciemny zaułek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O najważniejszych odkryciach geograficznych

W ROKU 1880 *).

PRZEZ

Wacława Nałkowskiego.

Wiek XIX, odznaczający się podziwu godnymi odkryciami we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej, nazwano też nie bez słuszności wiekiem odkryć geograficznych. Rzeczywiście bowiem odkrycie nowych dróg przez morza podbiegunowe, zbadanie biegu rzeki lub odkrycie oddawna poszukiwanych jej źródeł, zmniejszenie „białych plam“ na mapach Afryki i Australii, zwiedzenie pustyń Lob. Noru i t. d.; wszystko to są fakta, które dziś żywo interesują cały świat cywilizowany. W przekonaniu o ważności tych zdobyczy, na szerokim globie zawiązują się towarzystwa uczone prywatne lub rządowe, podejmują się kosztowne wydawnictwa specjalnych pism geograficznych tak dalece,

*) Sprawozdanie niniejsze potrąci czasem i o dawniejsze lata: 1879, 1878 a nawet 1877, mianowicie w takich razach, gdy podróże zaczęte w tych dawniejszych latach ukończono lub opisy ich ogłoszono dopiero w r. 1880, lub gdy, chociaż wcześniej skończone i ogłoszone, jednak wiążą się ściśle pod względem celu i miejsca z trudami roku 1880. Czytelnika mało obznajmionego z odkryciami jeszcze dawniejszemi, któremu przeto trudnoby było zoryentować się odrazu w odkryciach najnowszych, odsyłamy do krótkiego tabelarycznego dzieła Embachera: „Die wichtigeren Forschungsreisen des neunzehnten Jahrhunderts,“ 1880 r., tudzież do sprawozdań dawniejszych w „Bibliotece Warszawskiej“ z lat 1877, t. I, str. 281, 443; t. II, str. 109; 1878 r. t. I, str. 398; 1879 r. t. I, str. 464, t. II, str. 435; t. III, str. 163, 387. Zwracamy też uwagę na wydawnictwa zagraniczne, mające na celu z luźnych poszczególnych badań różnych podróżników utworzyć organiczne całości i dać niefachowym czytelnikom obraz różnych krajów w formie przystępnej, a jednak opartej na ostatnich wynikach nauki. Takiem wydawnictwem jest np.: *Das neue Buch der Reisen und Entdeckungen*“ jak „Sibirien Albina Kohna, „Amurgebieth,“ *André'ego*; „Central-Asien,“ *Hellwalda*; „Australien,“

że nawet Japonia, świeżo zbudzona ze swego azyatyckiego zastoju, posiada Towarzystwo geograficzne i jego specjalny organ. Rządy lub bogaci mecenas, jak: Bennet, Dikson, Sibiriakow i w. i. urządzają kosztowne wyprawy geograficzne, które dają sposobność takim bohaterom nauki, jak: Franklin, Levingston, Barth, Stanley, Nordenskjöld i w. i.; rozwijać niezmordowaną działalność i zbogacać ludzkość coraz nowymi zdobyczami na polu geografii.

My, niestety, nie możemy współzawodniczyć na tém polu z innymi narodami: w naszym społeczeństwie i w prasie, interes do kwestyi geograficznych znajduje bardzo słaby odgłos, a brak ściśle geograficznego naukowego organu nie pozwala szczupłemu gronu naszych specjalistów, skoncentrować swych sił w jedno ognisko; muszą je oni albo na usługi obcych literatur oddawać, albo też rozpraszać, nawet marnować, przemycając geograficzne prace do naszych czasopism niegeograficznych i to najczęściej tylko pod fałszywą opaską polityki lub kwestyi na czasie będących.

I my zajmowaliśmy się przez lat kilka tą geograficzną kontrabandą w pismach galicyjskich; obecnie, korzystając z programu „Biblioteki Warszawskiej,” pragniemy w peryodycznych sprawozdaniach powiadamiać nadal publiczność polską o postępach na polu odkryć geograficznych.

Podejmujemy więc ważne zadanie: pragniemy wprowadzić czytelnika w ślady tych wielkich nieustraszonych bohaterów nauki, co nie lękają się ani palących piasków Sahary, gdzie samum zabija swém płomienném tchnieniem; ani martwych, ponurych jak rozpacz, lodowisk Północy, gdzie każdy krok grozi śmiercią; ani niebotycznych śnieżnych szczytów, gdzie pełną grozy ciszę przerywa tylko stłumiony huk staczającej się lawiny, a brak tlenu tamuje oddech; ani pustyń Azji Środkowej, gdzie podbiegunowe zimno i podrównikowy żar naprzemian przypominają męki dantejskie; ani międzyzwrotnikowych bagnistych wybrzeży, zięjących zaraźliwemi miazmaty; ani stepów środkowej Australii, gdzie grozi śmierć zarówno z pragnienia jak i z utonięcia wśród nieprzejrzanych powodzi; ani fanatyzmu lub chciwości barbarzyńskich ludów, co przecięły pasmo dni niejednego już podróżnika w samym zaraniu zasług i sławy... Ci nowi farysi „żądzą wiedzy trawieni,” po-

Oberländera i t. d. Koroną tego rodzaju naukowo popularnych wydawnictw, jest niedokończona jeszcze olbrzymia „Géographie universelle“ E. Reclusa. Wychodzący również obecnie „Atlas“ André'ego, obok wysokiej wartości naukowej, zaleca się niesłychaną taniością (20 marek za 86 map), to też ułatwi on, nawet mniej zamożnym, nabycie geograficznej wiedzy. Bez dobrych atlasów bowiem niepodobna z korzyścią pracować na polu nauki geografii, a dotychczasowa nazbyt wysoka cena dzieł kartograficznych, czyniła je przywilejem ciasnego kółka. „Atlas“ André'ego, prócz map, zawiera jeszcze tekst, który jest prawdziwym ekstraktem geograficznej wiedzy pod względem danych statystycznych.

rzucają rodzinne ogniska, kochające serca, poświęcają osobiste szczęście na ołtarzu nauki...

„I nio ich w biegu wstrzymać nie zdoła,
Ani uroczej cienie oazy,
Ni beduinka głosem anioła...

A jeżeli nam i tobie, czytelniku, brak bądź środków, bądź woli i odwagi, by dzielić ich trudy, niebezpieczeństwa i wawrzyny, to schylmy przed nimi czoła i pogońmy w ich ślady przynajmniej myślą...

Przegląd nasz odbywać będziemy osobno w każdej części świata; stronom zaś biegunowym poświęcimy prócz tego osobny rozdział.

I. Azya.

Badania stałego lądu Azji, szczególniejszemu wschodnio-azyatyckiej wyżyny zawdzięczamy w ostatnich czasach z jednej strony wojskowym rossyjskim, z drugiej Anglikom, a głównie wyuczonym przez nich i opatrzonym instrukcyami geometrom indyjskiego pochodzenia, tak zwanym punditom. Badania te, prowadzone w przeciwnych kierunkach, stykają się poczęści i dopełniają się wzajemnie. Z odkryć na wyspach, głównie zasługują na uwagę badania Holendrów na wyspach Sundzkich.

a) Wyżyna wschodniej Azji.

Podróż dr. Regela do Turfanu. Dr. Regel, znany ze swych podróży w okolicach Kuldży, wyprawił się w 1879 r. za Thian Szan do oazy Turfan, której od początku XVII wieku nie dotknęła stopa żadnego Europejczyka.

Oaza Turfan zawdzięcza swe istnienie wodom spływającym z Thian Szanu, które mieszkańcy sprowadzają do oazy krytymi kanałami, gdyż w przeciwnym razie straszliwa susza i gorąco wysuszyłoby wszystką wodę. W czasie wielkich upałów, nawet sami mieszkańcy kryją się w te kanałowe chodniki. Turfan obfituje szczególniejszemu w wyborne winogrona, które rozpinają tu poziomo na gruncie, gdyż inaczej nie mogłyby się oprzeć gwałtowności północnych wichrów z Thian Szanu, odznaczających się krańcową temperaturą w zimie i w lecie. O 50 wiorst na wschód oazy, około zwalisk jakiegoś miasta, zapewne Starego Turfanu, rosną także granaty i figi. Domy są budowane z gliny. Mieszkańcy Tarancze i Dungan, mahometanie nienawidzący Chińczyków. W okolicach Turfanu leżą liczne oazy zamieszkałe przez Sartów i Dunganów; w tych oazach, równie jak i w samym Turfanie, kwitnie uprawa bawełny i przemysł bawełniany. Grunt, jak wogóle w środkowej Azji, jest solno-gliniasty, bez nawodnienia stanowi pustynią, woda tylko zamienia go w bujne oazy.

Z Turfanu Regel udał się do Urumtsi, przez średnią część Thian Szanu, grupę Bogdo-ola (14000'). U stóp tych wspaniałych gór stoją kurhany i dwa kamienie z wykutemi twarzami, jakoby zrzucone ze szczytu przez jakiegoś świętego; są one przedmiotem czci Dunganów. Z Urumtsi przez Manas, Szicho i przejście Ziterte, w górach Chabirgan, Regel powrócił do Kuldży.

Dwie wyprawy do Tybetu: rosyjska Przewalskiego i węgierska Szechenyi'ego. Celem obydwóch wypraw była Lhasa, siedziba Dalai Lamy, buddyjski Rzym. Przewalski dążył tu z Zaisanu przez Hami i żyzną oazę Szatszau, gdzie Altyn Tag Lob. Noru łączy się z Nan Szanen Kuku Noru. Do tegoż punktu przybył, dążąc ze Wschodu, Szechenyi. Ani Przewalskiemu jednak, ani jemu nie udało się osiągnąć celu podróży: Tybetańczycy nie pozwolili na to, sądząc, że podróżni chcą im porwać Dalai Lamę. Przewalski w powrocie zbadał nieznaną część rzeki Hoangho i przez Alaszan i Urgę wrócił do Kjachty. Wyprawa zaś Szechenyi'ego zwróciła się ku birmańskiemu miastu Bhamo nad Irawadi i wdół téj rzeki popłynęła do Ranguna. Bliższych szczegółów obu tych wypraw, ukończonych dopiero w roku zeszłym, jeszcze nie ogłoszono w pismach specjalnych.

Rezultaty badań Pamiru przez Sewercowa 1878 r. Północną część Pamiru zbadali Rossyanie, południową zaś Anglicy, środkowa natomiast była mało znana: chodziło głównie o rozpołożenie górskich łańcuchów i o rozdział wód. Sewercow zbadał okolice jeziora Karakul. Według jego pomiarów jezioro to leży na wysokości 12,850 stóp ang., a więc nieco niżej jak to podawał Kostenko (13,190'). Dokoła jeziora wznosi się wieńiec gór z wierzchołkami sięgającymi 18,000—19,000'. W wieńcu tym znajdują się dwie przerwy, które objaśniają jakim sposobem mogły powstać tak różne wieści o hydrograficznych stosunkach jeziora Karakul: chińskie mapy dawały jezioru dwa odpływy: jeden do rzeki Kaszgar (system Tarimu), drugi do Amu Daryi (Oxus); później zaliczano je to do jednego, to do drugiego z tych systematów i dopiero w r. 1876 Kostenko przekonał się, że Karakul jest jeziorem zamkniętym.

Sewercow poucza nas, że dolina, w której leży Karakul, przedłuża się za pomocą dwóch wyżej wspomnianych przerw, tak na północ jak i na południe i obie te przerwy są śladami dawnych odpływów jeziora. Północny odpływ szedł do Koksui, dopływu Kaszgaru, południowy zaś do rzeki Muskul, należącej do systemu Amu Daryi; ten ostatni do dziś dnia (przy wysokim stanie wód) sączy się niekiedy. Tak więc „Smocze jezioro“ Chińczyków ze swemi dwoma odpływami znajduje przynajmniej historyczne potwierdzenie.

Drugie jezioro Rang-kul, poraz pierwszy zwiedzone przez Sewercowa, jest absolutnie zamkniętym. Z brzegów tego jeziora roztacza się wyborny widok na wschodnie łańcuchy Pamiru, zawierające najwyższy jego punkt (25,800 st. ang.), zwany przez Anglików Tagharma, przez okolicznych zaś mieszkańców Mustagh-ata, t. j. „ojciec gór lodo-

watych.“ Niema tu jednak nieprzerwanego śnieżnego łańcucha południkowego ani na wschodnim, ani na zachodnim skraju Pamiru, ale Sewercow, wbrew zdaniu Fedczenki, według którego Pamir miały przerywać łańcuchy wschodnio-zachodnie porozdzielane szerokimi dolinami, znalazł, że charakterystyczną cechą Pamiru, różną od Thian Szanu, są liczne południkowe wyniosłości, z którymi krzyżują się równoleżnikowe łańcuchy, tworząc potężne górskie grupy i nadając temu „dachowi świata,“ rzeźbę nadzwyczaj skomplikowaną.

Z nad Rang-kulu dosięgnął Sewercow rzeki Aksu, która dalej przyjmuje nazwę Murghabu i wpada do rzeki Pandża (górną Oxus). Większa część Pamiru pozbawiona jest roślinności i składa się z kamieni, piasku i wykwitów soli.

Podróż Sewercowa połączyła badania Rossyan na północy Pamiru z badaniami Anglików na południu.

Antagonizm polityczny dwóch tych narodów, rozwija z obu stron zazdrośną działalność, z której i nauka w części korzysta, bo geografia Azji zawdzięcza tej okoliczności swe najważniejsze zdobycze.

Badania punditów nad rzeką Sanpo w Tybecie. Słusznie zauważył dr. Behm, że bieg rzek, zagadka ich źródeł lub ujść, budziły zawsze wielkie i powszechne zajęcie, daleko bardziej niż np. układ i kierunek górskich łańcuchów. Najświetniejszym przykładem tego jest rz. Nil. „Caput Nili quaerere” było od wieków hasłem podróżników. Odkrycie średnich części Nigru dało popęd do szukania jego ujścia i źródeł. Odkrycie Lualaby przez Levingstona, dało powód do domysłów, czy ona jest górnym biegiem Kongo czy Nilu i Stanley dla rozstrzygnięcia tej niepewności, przedsięwziął podróż w dół tej rzeki od Ngangwe do Embomy („przez ciemny kontynent“). Dziś Uelle, odkryta przez Schweinfurta, daje podobnie powód do dwóch domysłów: czy jest ona górnym biegiem Aruwimi Stanleya (prawy dopływ Kongo), czy też Szari, a projektowana wyprawa austriacka, pod kierunkiem Holuba, ma między innymi na celu, rozstrzygnięcie tej niepewności.

Do takich, nawpół znanych rzek, budzących starania całkowitego ich zbadania, należy Brahmaputra, której bieg górny nie jest znany i rzeka Sanpo, w Tybecie, której bieg dolny nie jest znany. I tutaj istniały dwa domysły: dolnym biegiem rzeki Sanpo jest albo Brahmaputra albo Irawadi. Ostatnie badania indyjskich punditów przechyliły szalę na korzyść pierwszego przypuszczenia. Mianowicie jeden z punditów zbadał w 1878 r. rzekę Sanpo na znacznej przestrzeni na wschód Lhasy i przekonał się, że nie płynie ona jak dawniej przypuszczano, wciąż we wschodnim kierunku aż do zwrotu na południo-wschód, lecz przed tym zwrotem zatacza wielki łuk ku północy i dopiero potem zwraca się na południo-wschód. Tę część biegu ku południowemu wschodowi trudno było dalej badać, gdyż rzeka przepływa górska, dziką,

bezdrożną krainę, gdzie tylko po mostach z lianów przedzierać się można. W każdym razie odległość od najdalejzego zbadanego punktu rzeki Sanpo do rzeki Dihong (dopływu Brahmaputry), która prowadzi olbrzymią masę wód, wynosi tylko 100 mil ang. Niema więc wątpliwości, że Sanpo jest górnym biegiem Brahmaputry nie zaś Irawadi, jak to niektórzy z Klaprothem przypuszczali.

b) *Wyspy.*

Zbadanie centralnej Sumatry. Zasługa zbadania Sumatry należy się głównie jej władcóm, Holendrom. W ostatnich czasach popyd do badań téj wyspy podała wojna z Aczinem oraz odkrycie bogatych pokładów węgla w środkowej jej części, w górskiej krainie Padang i potrzeba wyszukania dogodnej drogi do ich wywozu. Chodziło więc głównie o zbadanie żeglowności rzeki Diambi, czyli Batang Hari, która bierze początek w górskiej krainie Padang, płynie ku wschodowi i wpada do morza na wschodniem wybrzeżu wyspy nieco na południe 1° szer. poł. Padang jest malowniczą górską krainą z jeziorami i wulkanami. Najwyższy wulkan Korintii albo Indrapura, wzbudający zabobonny przestrah w okolicznych Malajach, poraz pierwszy teraz zmierzono; wysokość jego wynosi 3,700 metrów, jestto więc jedna z najwyższych gór na wyspach Sondzkich. Rzeka Batang Hari, biorąca początek w téj górskiej krainie, nieco na północ od Korintii, nie płynie wprost na wschód, lecz zatacza najprzód wielki łuk ku północy, zbliżając się do pokładów węgla Ombilin, co ułatwi połączenie ich z tą rzeką za pomocą kolei żelaznej. Tym sposobem węgle dadzą się łatwo sprowadzać na wschodnie wybrzeże Sumatry, co będzie daleko korzystniejszym, niż sprowadzanie ich na wybrzeże zachodnie. Najprzód bowiem pierwsze wybrzeże leży bliżej Singapuru i Batawi, a powtóre dla sprowadzenia węgla na wybrzeże zachodnie trzeba by budować kosztowną kolej przez wysoki łańcuch gór, który się ciągnie w pobliżu tego wybrzeża przez całą długość Sumatry. Rzeka Batang Hari jest większa (ma 800 klm.) od rzeki Musi albo Palembang (600 klm.), uważanej dotąd za największą na w. Sumatrze. Dla małych statków jest żeglowna na przestrzeni 760 klm., dla parowców zaś na 600 klm.

Wyspy Japońskie. Amerykański wojenny okręt „Alert,” badając szereg wysp ciągnący się od zatoki Yedo do wysp Bonin, odkrył wulkan podwodny. Płynąc od wysp Bonin do wysp Volcano, ujrzał w ich pobliżu gęsty dym; dym ten wkrótce znikł i po nim nastąpił podmorski wybuch szlamu i popiołu, który z głośnym szumem wylatywał na 150' wysoko. Ten wulkan podwodny leży o 3 mile na północny-zachód od San Alessandro, niedaleko odeń kotłuje się morze nad drugim kraterem już wygasłym.

Dr. Wagener, z Kioto, w roku zeszłym dostał się pierwszy na szczyt wulkanu Norikura, t. j. „siodło“ (z powodu podwójnego szczytu) na Niponie; barometryczny pomiar dał blisko 3,000 metr. tak,

iz wulkan ten wraz z dawniej mierzonym Ontake współzawodniczą w zajęciu drugiego miejsca po najwyższym w Japonii wulkanie Fusi-yama.

Afryka.

Afryka jest prawdziwą areną odkryć, na której ubiegają się o palmę pierwszeństwa wszystkie prawie cywilizowane narody: Anglicy, Francuzi, Niemcy, Amerykanie, Belgowie, Włosi, Portugalczycy. I nie darmo, albowiem jej „biała plama,“ (?) t. j. przestrzeń nietknięta stopą Europejczyka, według obliczeń Petermanna, zajmowała jeszcze w 1875 roku 70,000 mil \square , a jakkolwiek od tego czasu, dzięki usiłowaniom podróżników, zmniejszyła się znacznie, to jednak zawsze jeszcze rozciąga się od 10° szer. pół. do 17° szer. pd., wyjąwszy wybrzeża i wąskie smugi poprzecznych dróg Stanleya, Camerona i Serpa Pinto. To też i dzisiaj jeszcze słyszymy jak dawniej „semper aliquid novi ex Africa.”

Główny punkt atrakcyjny nowszych badań stanowią bogato od przyrody obdarzone krainy Sudanu i dorzecza Kongo, „nowe Indyje.”

a) Sahara.

Podróż Gerarda Rohlfsa do oazy Kufara. Rohlfs wstrzymany przez nieprzebyte morze piaszczyste, gdy chciał dostać się do Kufary z Wielkiej oazy (egipskiej) w kierunku zachodnim, powziął myśl dostania się tam z Trypolisu w kierunku południowo-wschodnim, co mu się też udało.

Kufara składa się z kilku zagłębień, stanowiących tyleż oaz; dobra woda do picia wszędzie się tu znajduje. Powierzchnia gruntu, zdającego do uprawy, wynosi w Kufarze przeszło 300 mil \square , na których żyje zaledwie 1000 mieszkańców. Oaza zawdzięcza swe istnienie podziemnym żyłom wody, pochodzącej z gór Tibesti, które leżą na południowym zachodzie od Kufary, w odległości 600 kilometrów, już w obszarze deszczów zwrotnikowych.

Jednym z tych oazowych zagłębień Kufary jest Buseima. Zagłębienie to, mające kilka mil kwadratowych, otaczają ze wszech stron wysokie zasy piaszczyste; środek jego zajmuje jezioro z wodą słoną, uwieńczone lasem palmowym. Szeroka smuga skryształizowanej soli obrębia brzeg modrego jeziora nakształt białej piany wzburzonego morza i w połączeniu z ciemną zielenią palmowego gaju i złotawym blaskiem piaszczystych wydm, stanowi obraz pełen zadziwiającej różnorodności.

W różnych miejscach Kufary napotyka podróżny resztki osad jej dawnych mieszkańców pogańskich: Tibbusów, wypartych na początku bieżącego stulecia przez Suya-Arabów. Niektóre z tych ruin zbudowane z wapienia, spojonego cementem, uważa Rohlfs za pochodzące jeszcze z czasów, znanych Rzymianom, Garamantów, przodków dzisiejszych Tibbusów.

Kufara leży odosobniona wśród piaszczystego morza, rozciągającego się od 29° do 25° szer. pn. ¹⁾). Prócz palm i akacji, podróżni, z powodu letniej pory roku, nie napotkali tu prawie żadnej roślinności; zbywa także na wielkich okazach świata zwierzęcego.

Dwie kwestye Saharskie. Mówiąc o badaniach Sahary, niepodobna nam przemilcznąć o dwóch kwestyach, z których jedna należy już do przeszłości, druga zdaje się mieć przed sobą świetną przyszłość. Temi kwestyami są: projekt morza Saharskiego i projekt kolei transsaharskiej.

Kwestyą morza Saharskiego traktował u nas w swoim czasie pan Warnka w Ateneum, wyczerpująco względnie do ówczesnego stanu téj kwestyi. Od tego jednak czasu postać rzeczy zmieniła się; po bliższém rozpatrzeniu sprawy powstało tyle zarzutów, że świetne nadzieje znikły. Oto ważniejsze z tych zarzutów:

Przesmyk oddzielający zakłęśnięcie od zatoki Gabes, składa się z twardych skał, których przebicie wymagałoby takich kosztów, że zyski handlowe nie mogłyby ich opłacić.

Kraina szottów nie przedstawia jednego obszernego zakłęśnienia, lecz trzy pomniejsze; a tak powstałoby nie jedno morze, lecz trzy, wązkiemi kanałami łączące się ze sobą jeziora, z których największe nie przechodziłoby wielkością jeziora Wener; przytém głębokość zakłęśnięcia jest nieznaczna, a nawet solna powierzchnia wschodniego nie leży niżej od poziomu morza.

Wejście do tego saharckiego morza byłoby w rękach obcych, a więc w danéj chwili morze to mogłoby się stać tak niebezpieczne dla interesów Francyi, że zasłaby potrzeba zasypania go nanowo.

Wpływ tego morza na klimat, nietylko nie byłby zbawiennym, jak to sądzi Roudaire, lecz bardzo szkodliwym. Nie byłoby ono w stanie ożywić swą parą pustyni, jak nie ożywiają jéj większe jeziora Aral i Kaspjskie, témbardziej, że panujące w téj części Afryki wiatry północne, pędziłyby całą wilgoć ku Saharze. Przytém wpadające do tego morza potoki, wkrótce zamuliłyby je i zamieniły w bagno, a tak urzeczywistnienie planu Roudaire'a, obdarzyłoby tamtejszych mieszkańców zabójczemi febrami.

Każdy z tych zarzutów z osobna, jest aż nadto wystarczający, ażeby projekt Roudaire'a uważać za należący do historii a jego samego za „proroka na puszczy.” Zresztą niepodobna nie przyznać mu zasługi, że projektem swoim wywołał badania téj części Afryki, które rzuciło nowe światło na krajnie szottów.

Co do kolei transsaharskiej, projektu Duponchela, który ma na celu połączenie francuzkich posiadłości w Algerze z północném kolanem Nigru w okolicach Tombuktu, to zdaje on się mieć przed sobą

¹⁾ Z badań Rohlfsa okazuje się, że nie zachodnia część Sahary uboższą jest w oazy, a obfitszą w zaspy piaszczyste, jak dotąd mniemano; lecz przeciwnie—wschodnia, t. j. pustynia Libijska.

przyszłość: rząd francuzki wysłał swoim kosztem naukową wyprawę dla zbadania téj drogi. Wprawdzie i ten projekt natrafia na zarzuty, mianowicie: nieprzyjaźń rozbójniczych plemion Sahary, zasy piaszczyste, brak wody. Zarzuty te jednak można odeprzeć, opierając się na budowie kolei oceanu Spokojnego: plemiona saharskie nie są nieprzyjaźniejsze i dziksze od amerykańskich czerwonoskórców; zresztą dla mieszkańców oaz, kolój transsaharska byłaby dobrodziejstwem, ułatwiając im zbyt płodów surowych i zaopatrując ich w płody europejskiego przemysłu. Zasy piaszczyste nie wszędzie się znajdują, będzie je można poczęści ominąć, poczęści zabezpieczyć od nich kolój krytymi korytarzami podobnymi do tych, które zabezpieczają kolój oceanu Spokojnego od zasp śnieżnych w górach Newady. Wody brak wprawdzie na powierzchni, ale w spodnich warstwach jest jój dostatek, będzie więc można wydobyć ją na powierzchnię za pomocą stosownych studzień.

Kolój transsaharska może liczyć z jednéj strony na transport płodów europejskiego przemysłu i soli do Sudanu, gdzie o sól tak trudno, że chcąc wyrazić czyjeś bogactwo powiadają; „on jada sól przy obiedzie;” z drugiejj strony z żyznego Sudanu, będzie mogła wywozić płody rolnictwa, hodowli bydła i masło drzewne z olbrzymich lasów drzewa masłowego, które będzie mogło zastąpić masło krowie.

Podróż dr. Lenza do Timbaktu. Dr. Lenz dostał się z Marokko do Timbaktu przez zachodnią Saharę, drogą, której dotąd nie przebywał żaden Europejczyk. Drogi René Caillé (1828 r.), majora Laing (1826 r.), którą także dostali się do Timbaktu, leżą nieco na wschód od drogi Lenzu. Zresztą René Caillé nie posiadał wiadomości potrzebnych do badań naukowych, a Laing nie wrócił z téj podróży. Dr. Lenz z Timbaktu dostał się na Senegal do St. Louis.

b) *Senegambia.*

Francuzi usiłują za pomocą Senegalu i Rio-Grande osiągnąć Nigru, aby zawiązać z Sudanem stosunki handlowe i poprowadzić do St. Louis dalszy ciąg projektowanej kolei transsaharskiejj, a tym sposobem połączyć obie swe afrykańskie kolonie (Alger i Senegambią) i ubiedz Anglików, którzy panując nad ujściem rzek wybrzeża Sierra Leone (Scarcies, Rokelle, Kamaranka) zbliżających się do górnego Nigru, mogliby łatwo uczynić go „rzeką angielską,” a Sudan „drugimi Indjami.”

c) *Sudan.*

Odkrycie źródeł Nigru. Źródła Nigru dotąd nie były znane; przeszkadzał temu klimat niezdrowy, brak dróg, oraz wojny i często panujący głód w okolicznych państwach murzyńskich. W 1822 r. Laing widział tylko zdala góry Loma, z których wedle świadectwa tuziemców miał wypływać Niger. Dopiero w 1879 r. dwaj agenci handlowi francuzcy Zweifel i Moustier, wyprawiwszy się z ujścia rze-

ki Rokelle na północny-wschód do Fulaba a ztąd na południowy-wschód do gór Loma, mimo niesłychanych trudów dosięgnęli celu. Niger powstaje z trzech rzek źródłowych, z których najznaczniejsza wschodnia, Tembi, wypływa z gór Loma pod $8^{\circ} 36'$ szer. pn. i $12^{\circ} 53'$ dług. zach. od Paryża, niedaleko źródeł Kamaranki nadbrzeżnej rzeki wybrzeża Sierra Leone. I tu sprawdza się prawo czci źródeł wielkich rzek: mieszkańcy uważają źródła Nigru za święte i odbywają nad nimi różne uroczyste obrzędy.

Zbadanie rzeki Benue. Gdy w r. 1852 przysłała do Europy wiadomość, że dr. Barth odkrył w kraju Adamaua żeglowny dopływ Nigru, Benue, sprawdziło się to co mówiliśmy wyżej o zachęcie, jaką daje znajomość jednej części rzeki do zbadania jej reszty. Dr. Petermann nalegał aby przedsięwziąć wyprawę parowcem z ujścia Nigru w górę tej rzeki i w górę Benue do Adamaua. Angielska ekspedycja zbadała wtedy znaczną część rzeki, aż do punktu blizkiego od Adamaua i przysłała do przekonania, że ta część Benue wraz z dolną częścią Nigru, stanowi dogodną drogę do wnętrza Afryki długą na 1100 kilom., to jest blisko tak długą jak Ren. Dziwna jednak rzecz, iż o tak dogodnej drodze zupełnie zapomniano później i dopiero w ćwierć wieku, bo w r. 1879 przedsięwzięto w Anglii nową wyprawę, która sięgnęła o 230 kil. dalej niż poprzednia, aż do kraju Adamaua.

Rzeka Benue obfituje w wyspy, na których mieszkańcy budują czasowe osady w porze suszy, osady te w porze wylewów woda niszczy i unosi. Przyczyną tego zjawiska jest najprzód trudność dostania wody w okolicach oddalonych od rzeki, powtórnie niebezpieczeństwo, jakie grozi bydłu od dzikich zwierząt a ludziom od napadów nieprzyjacielskich, nakoniec względy rybołówstwa. Na urwistych brzegach rzeki, ciemno brunatna ziemia pozwala w górnych swych warstwach rozeznąć różne linie obumierającej kolejno roślinności—obraz niepowstrzymanej pracy natury dla przyszłych wieków, przysposabiania się jej do wystarczania ciągle wzrastającym potrzebom ludzkości i do rozkwitu kultury na tym tak napozór po macoszemu dotąd traktowanym przez nią kontynencie.

Dolina Benue ciągnie się kilkomiłowym pasem między górami i nosi po większej części łąkowy, bagnisty charakter, albowiem poziom rzeki leży wyżej poziomu doliny, co sprowadza straszne wylewy. Na wyniosłościach leżą wsie, pola uprawne i rosną drzewa (głównie palmy wachlarzowe). Z pośród niziny wyskakują nieraz nagle, pojedynczo góry stołowego lub stożkowego kształtu, zjawisko które tylko w podrównikowej Afryce nie należy do rzadkości. Oto jak zjawisko to tłumaczy niemiecki uczestnik wyprawy Flegel: „Ukształtowanie powierzchni afrykańskiego łądu, mianowicie w pobliżu równika jest nader charakterystyczne i nie da się zapewne czem inném objaśnić jak tём, że Afryka jest najstarszą częścią świata i gwałtowne ulewy spadające tu corocznie w połączeniu z gorącym zwrotnikowem, szybko dokonywają dzieła zniszczenia: stojny tu przed prawie dokonaniem już zjawis-

kiém, które w Alpach odkrywa się dopiero przed naszymi oczami; stoi tu przed resztkami zwietrzałych gór centralnych, przed górami księżycowemi! Ten centralny pień górski został zburzony i stał się wyżyną a jego zagłębienia jeziorami; woda uniosła jego szczątki w doliny i napełniła je, zagrzebawszy przedgórza i pagórki tak, iż teraz tylko najwyższe jego szczyty sterczą ponad niwelujące napływy (Alluvien) ¹⁾ Wszystkie łożyska rzek zostały przez nie wzniesione, ztąd niezmiernie coroczne wylewy i charakterystyczne zjawisko, że brzegi rzeki leżą często wyżej niż okoliczna kraina; ztąd ujścia niektórych dopływów rzeki głównie są zatamowane, lub tworzą wewnątrz łądu rozgałęzione delty, jak np. Benue przy ujściu do Nigru.

Według wskazówki mieszkańców, źródła Benue leżą o kilkanaście dni drogi na południowym wschodzie od tego punktu, którego dosięgnęła wyprawa. Za pomocą jednego z prawych dopływów zbliża się Benue do systematu rzeki Szari (Czad) i zdaje się nawet, że z jednego bagniska (Tubori) wody spływają do obu systematów. Łatwo więc możnaby połączyć kanałem oba te systemata i tym sposobem zyskać dla parowców europejskich wolny dostęp na jezioro Czad, do serca Afryki, do tego bogatego, niewyczerpanego Sudanu, który mógłby zastąpić obie Indie. Niger-Benu stanie się z czasem „wielką bramą wchodową cywilizacji do Afryki.”

d) *Kraina jezior i górnego Nilu.*

Kwestya Lukugi. Dwaj znakomici podróżnicy afrykańscy Stanley i Cameron, nie zgadzali się z sobą w zapatrywaniu się na hydrograficzną rolę Lukugi, rzeki łączącej się z jeziorem Tanganyika. Cameron uważał ją za odpływ jeziora do systematu Kongo; Stanley zaś przeciwnie za dopływ. Według Stanleya, niegdyś istniała tylko południowa połowa jeziora, wody jego stały daleko wyżej i wtedy Lukuga była rzeczywiście odpływem. Później dopiero wskutek trzęsienia ziemi i rozstąpienia się skał, wody z południowej części wlały się do nowoutworzonej szczeliny i ogólny ich poziom obniżył się, przez co Lukuga przestała być odpływem i przyjęła na siebie rolę łożyska odprowadzającego do jeziora wody dopływów Kibamba i Lumba. Na zachód od Lukugi rzeka Luindi płynie do rzeki Kongo; odległość między Lukugą i Luindi jest nieznaczna i stanowi rodzaj grobli błotnistej zarosłej papyrusową gęstwiną. Obecnie wody Tanganyiki znowu się wznoszą (Stanley widział drzewa sterczące z wody, które dawniej rosły na brzegu), Lukuga więc może znów odzyskać rolę odpływu.

Ostatnia angielska wyprawa rozstrzygnęła kwestyą na korzyść Camerona. Jezioro Tanganyika nie znajduje się w epoce wznoszenia;

¹⁾ To nagłe wyskakiwanie skał z pośród napływowych równin, zauważył także Mason Bey w Daftorze „zdaje się, mówi on, jakby jaki wysoki łańcuch gór był tu zagrzebany aż po szczyty.”

lecz podlega peryodycznemu, zależnemu od deszczów wznoszeniu się i opadaniu; bo jeżeli Stanley widział drzewa rosnące w wodzie, to nowsi podróżni widzieli drzewa obumarłe od wpływu wody, stojące zdala od niej. Lukuga w czasie deszczów stanowi potężny odpływ jeziora, podróżni widzieli papyrusową groblę zerwaną i wody Lukugi płynące ku Kongo.

Użycie słoni do zbadania Afryki. Nieodżałowanej pamięci dr. Petermann, ów niezmordowany agitator geograficzny, podał w swoim czasie myśl użycia słoni indyjskich jako zwierząt transportowych do wypraw w Afryce środkowej, gdzie z powodu muchy tsetse, nie mogą być używane inne zwierzęta juczne, użycie zaś tragarzy jest nadzwyczaj niedogodne. Myśl tę urzeczywistniła z dobrym skutkiem w roku 1879 wyprawa belgijska między Zanzibarem i jeziorem Tanganyika, która wywołała projekt założenia stacji dla oswojenia w tym celu słoni afrykańskich. Jeżeli projekt ten przyjdzie do skutku, to stanowić będzie epokę w historii zbadania Afryki, podobnie jak sprowadzenie i hodowla wielbłądów w historii zbadania Australii.

Tamy roślinne w systemacie górnego Nilu. Splecionabujna roślinność wodna na rzekach Bahrel Gazal i Bahrel Gebel (tak zowie się Nil Biały powyżej Gazalu) tamując żeglugę, utrudniała badanie obszaru górnego Nilu. W zeszłym roku udało się podróżnikowi Mar-no usunąć te tamy. Badań w obszarze górnego Nilu dokonywają głównie europejczycy w służbie egipskiej. Dr. Junker, który badał kraj między Nilem i Bahrel Gazalem, ma zamiar dostać się ztąd przez krainę Niam-Niamów na rzekę Uellę aby rozwiązać jej zagadkę; ten sam cel założyła sobie między innymi, jakżeśmy wspomnieli, projektowana wyprawa Holuba. Dr. Junker w czasie swjej podróży słyszał od mieszkańców o kraju Adamaua, do którego jak wiadomo, Anglicy dotarli z zachodu rzeką Benue. Tym sposobem, podróżni dążący z różnych stron do Sudanu, niebawem zetkną się z sobą.

e) *Afrykańska wyżyna.*

Wyprawa portugalska (Serpa Pinto, Ivens, Capello) i hydrograficzne centrum wyższej Afryki. Nagany, których nowsi podróżnicy po Afryce nie szczędzili Portugalczykom z powodu zaniebdania ich kolonii i podróżniczych badań, obudżyli przecież z apatyi tych zgnuśniałych potomków Wasko de Gamy. W 1877 r. wysłali oni wyprawę pod wodzą trzech oficerów: Serpa Pinto, Ivensa i Capello. Wyprawa wyruszyła z Bengueli ku wnętrzu Afryki i 1878 r. osiągnęła Bihe, gdzie zatrzymała się czas dłuższy a następnie rozdzieliła się: Serpa Pinto udał się na południowy-wschód przez dorzecze Zambezy do Transvaalu i Natalu w poprzek kontynentu, Capello zaś i Ivens na północny-wschód i północ, a następnie na południowy-zachód i zakreśliwszy tym sposobem łuk, przybyli do Loanda.

Bihe, najdalsza osada portugalska w zachodniej Afryce, leży na środkowej afrykańskiej wyżynie; droga od wybrzeża do tego punktu przechodzi przez trzy różne pasy: najprzód przez krainę nadbrzeżną, ba-

gnistą i niezdrową; następnie przez górzystą (do 900 metr.) lesistą, zdrową, żyzną, wydającą różne południowe płody; наконец przez wyżynę (1500 metr.) z powierzchnią równą, urozmaiconą tylko nad rzekami, klimatem krańcowym, o dwóch porach wybitnie oddzielonych, z roślinnością skąpą (południowe płody znikają).

Serpa Pinto po wyruszeniu z Bihe na południowy-wschód, poświęcił się najprzód studjom hydrograficznym, które wraz z takimiz Ivens i Capella na północnym-wschodzie przekonały, że na wschód od Bihe rozciąga się wyżyna na 1700 metr. wzniesiona, z której na wszystkie strony spływają rzeki do obu oceanów, do Kongoi do pustyni Kalahari (jez. Ngami). Jestto więc hydrograficzne centrum, St. Gottard wysokiéj Afryki. Rzeki które ztąd spływają są następujące: Quanza na północny-zachód do Atlantyku, Quango i Kassabi na północ do Kongo, Lualaba, Liambia i jéj dopływ Cuando, Cubango do jeziora Ngami, Cunene na południowy-zachód do Atlantyku. Prócz tego spływa ztąd mnóstwo dopływów tych rzek tak, iż źródła różnych systematów rzecznych, leżą bardzo blisko, jak np. w północnej części na wyżynie Qioca źródła Quango i Kassabi (tylko o 20 kiln.), w południowej zaś, na wyżynie Cangala źródła Quanzzy (jez. Mussombo), Cubango i Cuando leżą tak blisko, że nie wiele kroków przejść trzeba, aby pić wody spływające do różnych oceanów.

Następnie Serpa Pinto zbadał bieg Liambii i jéj liczne wodospady, z których najwspanialszy Gouba złożony ze skał amfiteatralnych, największy zaś Mozi o a Tunja (Wiktoryi) na 180 metrów głęboki. Od tego ostatniego wodospadu udał się Serpa Pinto na pustynię Kalahari, stwierdził, że Cubango nie jest dopływem Zambezi, jak mniemano, lecz jeziora Ngami i zwrócił uwagę na bagno Makarikari (na wschód Ngami) zasilające się w czasie wysokiego stanu wód odpływem Ngami Botletle. Bagno to mieści na swém dnie niewyczerpane pokłady soli. Ztąd przez Limpopo, której zbadał źródła, udał się Serpa Pinto do Transvaalu i Natalu.

Ivens i Capello zbadali źródła Quango i Kassabi oraz górną część biegu pierwszej, która płynie z początku w łózysku o brzegach skalistych, stromych i tworzy wiele wodospadów a następnie wchodzi w krainę sawannów. Od Quango podróżni zwrócili się do Quanzzy i parowcem w dół téj rzeki przybyli do Loanda 1879 r.

Australia.

Łądstały. Badań Australii dokonywają nie europejczycy, jak się to dzieje w Afryce i Azji, lecz sami koloniści a główną pobudką do badań, jest potrzeba zaprowadzenia łączności między koloniami przeciwległych wybrzeży. Transkontynentalny telegraf, projekt takiéjże kolei, podróże w poprzek łądu, oraz rozprzestrzenienia pastwisk nawet śród bezpłodnych pustyń za pomocą umiejętnego nawodnienia. Studnie artezyjskie, tamy na czasowych potokach (creeks), tworzące z nich stałe rezerwoary wody i t. p. zamieniają w bujne pastwiska te miejsca, w których niedawno jeszcze podróżni umierali z pragnienia. Epokę w dziejach zbadania Australii, stanowi sprowa-

dzenie wielbłądów, owych „okrętów pustyni” i założenie stacyi dla ich hodowli w Beltana na wschód jeziora Torrens. Z ichto pomocą można było przeprowadzić w 1872 r. telegraf wzdłuż linii Port-Augusta, Port-Darwin (2890 kilm.), którego przedtém zdołał przejść jeden tylko nieustraszony Mac-Donall Stuart (1861—1862). Linia telegraficzna z licznymi stacyami ułatwia niezmiernie dalsze badanie wnętrza Australii, stawszy się dla nich niejako podstawą operacyjną.

W 1878 r. wysłaną została ekspedycja ze stacyi przerzynającej linii telegraficznej Alice-Springs (w pobliżu zwrotnika); ekspedycja ta miała na celu dotrzeć w północno-wschodnim kierunku do Herbert-Creek na granicy Queenslandu i zbadać tę niedawno odkrytą okolicę. Podróżni z początku napotkali dobre pastwiska i dostateczną ilość wody lub przynajmniej warunki do jój sztucznego otrzymania; lecz w dalszym pochodzie wstrzymały ich bezwodne pustynie tak, że nie osiągnęły celu. Dopiero w 1879 r. ze stacyi leżącej o 4° dalej na północ, udało się osiągnąć Herbert-Creek, którego żyzne okolice, jak się okazało, nie tylko są zdadne na pastwiska ale i do uprawy. Inna ekspedycja zbadała w 1879 r. północno-zachodnią część Australii. Wyszła od zatoki King Sund i w północno-wschodnim kierunku dosięgnęła jedną z stacyi telegraficznych w Arnhem Land. Podróżnicy postępowali w górę rzeki Fitz Roy, wpadającej do zatoki King Sund i wszędzie napotykali grunt żyzny, pokryty bujną trawą. W tém miejscu gdzie rzeka zmienia kierunek (płynie z północnego wschodu), podróżnych wstrzymała wyżyna 2000' wysoka, z której spływa rzeka Fitz Roy. Nadaremnie szukali przejścia u stóp krawędzi tej wyżyny aż do morza, zwrócili się więc na południe rzeki Fitz Roy i udali się w górę jój lewego dopływu. Napotykając wciąż kraj trawiasty obfity w wodę, przeszli dział wodny, dzielący systemat Fitz Roy od jakiegóś znacznej rzeki, która płynie najprzód na wschód, a potem na północ ku morzu. Idąc ciągle przez kraj trawiasty i posiadający wodę, przebyli Sturt Creek i rzekę Wiktoryą; wkrótce jednak za tą rzeką napotkali pustynię bezwodną i ledwo dostali się do linii telegrafu. Odkrycie tego żyznego, zdadnego do uprawy płodów plantacyjnych kraju jest tém ważniejsze, iż leży on blisko morza i ma z niem łatwą komunikacją. To też kolonizacja żywo się rozpoczęła, próby hodowli owiec wypadły znakomicie. Nowoodkryty kraj otrzymał nazwę Kimberley distrikt.

Rzecz godna uwagi, że istnienie tego kraju przepowiadano już dawniej, gdy wyprawa do Sturt Creek ujrzała u stóp piaskowcowej wyżyny niezmierzone ślady napływów. Tak to więc i w geografii można teoretycznie odkrywać własności nieznanych, niewidzianych krań, podobnie jak w astronomii własności nieznanych planet, w fizyce nieznanych zjawisk, w chemii nieznanych związków. Drugim świetnym przykładem takiego geograficznego odkrycia a priori jest wniosek Fitz Roya, który w 1834 r. popłynął w górę rzeki Santa Cruz w Patagonii. Nie mogąc jednak dosięgnąć jój źródła, wniósł z klarowności jój wód, że musi ona wypływać z jezior u podnóża Kordylierów, co też stwierdziły naocznie wyprawy 1877 r.

Druga wyprawa w zachodniej Australii między rzekami Grey i Ashburton, położyła głównie zasługi pomiarami gór. Szczyty nie dochodzą tu 3000'.

Nowa Zelandya. W zbadaniu Nowej Zelandyi oddawna czynnym jest dr. Haart. Według jego badań, południowe Alpy wznoszą się w górze Cooka do 13200' ang. i przy takiej wysokości przedstawiają jedyny w swoim rodzaju przykład: przejścia tylko na 1716' ang. wysokości. Ich lodowce schodzą do 700' w krainę fuksyi i paproci drzewiastych.

Nowa Gwinea. W ostatnich czasach odkryto na Nowej Gwinei kilka znacznych rzek, między innymi rzekę Fly, płynącą ku południowi i zbadano z dokładnością kształt tej wyspy, z czego okazało się, iż Nowa Gwinea jest największą wyspą na ziemi (przeszło 14000 mil \square) blisko o 1000 mil większą od Borneo.

Ameryka.

W porównaniu z poprzednimi częściami świata są odkrycia w Ameryce mniej są obfite.

a) *Ameryka Północna.*

Zjawisko bifurkacyi w Parku Narodowym. W górach Skalistych, w owej niedostępnej górskiej krainie canionów i wodospadów, wulkanów wygasłych i gejzerów, przewyższających swą wspaniałością islandzkie i nowozelandzkie, w owej „krainie cudów” zwaney „Parkiem Narodowym” odkryto, a raczej bliżej zbadano w ostatnich czasach piękny przykład bifurkacyi. Na wysokości 8000' w pośród pionowo sterczących ścian skalistych, ciągnie się łąkowa, bagnista dolina; na tę dolinę wypływa potok górski i rozdziela tu swe wody: z jednej strony na północ do rzeki Yelowstone dopływu Missouri-Mississippi, z drugiej zaś na południe do rzeki Snake River, należącój do systematu Kolumbii, która wpada do oceanu Spokojnego.

Wyprawy w Ameryce angielskiej. Dr. Bell w 1877 roku odbył podróż na łodziach od jeziora Wyższego do południowego rogu zatoki Hudsonskiej (James Bai), przyczem musiano 27 razy przenosić łodzie bądź przez działy wodne, bądź koło wodospadów; następnie zbadał wschodnie wybrzeże tej zatoki i wniósł ze znaków dawniej linii brzegowej na 300' nad poziomem morza, że wybrzeże to podlega wznieszeniu.

W 1878 r. Bell udał się od jeziora Winnipeg, wzdłuż rzeki Nelson, do fortu York, na zatokę Hudsonską i zbadał te okolice.

b) *Ameryka Środkowa.*

Nowy wulkan w San Salvador. Kraina San Salvador słynie obok Jawy, jako uprzywilejowane miejsce działalności wulkanicznój;

z powodu licznych trzęsień ziemi otrzymała miano „hamaku,” a prezydent jej, otwierając pewnego razu kongres, wyrzekł: „chwała Bogu, w zeszłym roku mieliśmy tylko dwa trzęsienia ziemi i trzy rewolucye.” Ubiegłego roku działalność wulkaniczna ujawniła się tu znowu trzęsieniem ziemi, w czasie którego powstał nowy wulkan na jeziorze Illopango.

Jezioro Illopango leży na wschód miasta San Salvador, w kotlinie między stromemi wulkanicznymi górami, przeszło na 1000 metrów wysokimi, powstaje ze źródeł i deszczów zwrotnikowych, powierzchnia ma przeszło 1 milę \square , największa głębokość 209 metrów. Nowopowstały wulkan kształtu stożkowego, znajduje się w samym środku jeziora.

Jezioro Illopango miało dotąd ważne znaczenie dla kraju, zaopatrując go obficie w ryby, które dopiero Hiszpanie w niem zaprowadzili. Ryby te w peryodach działalności wulkanicznej, gdy wody jeziora bywają zatrutowane siarkowodorem, zbierają się ogłuszone u samych wybrzeży i można je chwycić rękami. W czasie ostatniego trzęsienia ziemi i powstania wulkanu zginęły wszystkie ryby, albowiem wskutek zatrucia wody siarkowodorem i wysokiego jej ogrzania (do 50° C w pobliżu wulkanu), ryby zgromadziły się u wybrzeży, poziom wód zaś był wtedy znacznie wzniesiony, gdy następnie szybko opadł, masy zdechłych ryb zaległy wybrzeże tak, iż dla uniknięcia epidemii, musiano użyć setek ludzi na ich uprzątnienie.

Okolice jeziora odznaczają się wielką żyznością i malowniczością. Oto jak naukowa wyprawa, badająca nowopowstały wulkan, opisuje panoramę, która roztacza się ze szczytu wyniosłości, ograniczających jezioro z Południa. „Na Południu ciągnie się wybrzeże, gęsto porośnięte lasami, ograniczone nieprzejrzanym oceanem: u stóp wije się Iboa (odpływ jeziora), wśród rozkosznych niw, ponad które wznosi swą dumną głowę wulkan San Vincente. Stromy spadek gór nadbrzeżnych ku morzu przerywają małe płaszczyny, na których pracowite ręce wzniosły mieszkania i otoczyły je świeżą zielenią plantacyi. Ze szczytu góry wzrok obejmuje całą prawie republikę aż do granicznych gór Hondurasu. W głębi leży malownicze jezioro Illopango, odbijające w swych wodach błękit nieba, obrąbione białymi piaskami wybrzeża i uwieńczone wysokimi górami. Z jego środka, ze szczytu nowopowstałego wulkanu wznosi się olbrzymi słup dymu, sięgający obłoków wieczornych i błyszczący wraz z niemi w promieniach zachodzącego słońca najcudniejszemi barwami.”

Projekt kanału Panamskiego. Jak wiadomo, z licznych projektów przebicia Ameryki Centralnej kanałem, wybrano linią Colon (Aspinwall) Panama. Kanał ten zbliży wschodnie brzegi Ameryki z zachodniemi, oraz zachodnie Europy ze wschodniemi Azji, o całą drogę około przylądka Horn; będzie on prócz tego niejako ujściem Missisipi do oceanu Wielkiego. Jednakże według takiej powagi, jak szef statystycznego biura w Washingtonie Nimmo, ruch okrętów i towarów przez ten kanał nie będzie tak olbrzymi, jak przypuszczano. Mianowicie mo-

zna liczyć na 1,500 okrętów o 1,625,000 tonnach, wartości około 160,680,000 dolarów rocznie.

Podróż Désiré Charnaya do zwalisk Uxmalu i Palenque w Jukatanie, obiecuje wielkie rezultaty na polu nierozjaśnionej dotąd należycie archeologii i etnologii amerykańskiej.

c) *Ameryka Południowa.*

Badania Patagonii. W ostatnich czasach Patagonia stała się celem wypraw dwóch państw, roszcujących do niej pretensje: Chili i Argentyny. Wyprawa Chilijska 1877 r., napotkała wzdłuż wschodniego stoku Kordylierów południowej Patagonii wiele jezior, stanowiących punkta zborne dla licznego ptastwa wodnego, stwierdziła, że w pobliżu Kordylierów pustynia Patagońska pokrywa się roślinnością i ożywia, odkryła nieco na Południe 51° szerokości, trzy odosobnione bazaltowe stożki, podobne do zwalisk wielkiej warowni, z których średniemu nadano nazwę Domeyko, na część naszego uczonego badacza Chili. Następnie blisko 51° szer., odkryto jezioro Argentino, z którego wypływa rzeka Santa Cruz; po jeziorze tém pływają wielkie bryły lodu, zapewne odłamki lodowców z gór okolicznych.

Podróźni badali także pokolenie patagońskie Techuelchów. Wysokość ich dosięga maximum 1,920 metrów. Twarz smarują czerwoną gliną, pomieszaną z tłustością, dla ochrony od moskitów. Żywią się głównie mięsem, ryb nie jedzą, natomiast pewnego pasożyta w ich włosach uważają za przysmak. Włosy z brody wyrrywają ¹⁾. Namioty ich i odzież są ze skór huanaków. Nawóz tych zwierząt w pozbawionych drzewa okolicach służy za opał. W 1880 r. wyprawa argentyńska wpłynęła w górę Rio Negro i przekonała się, iż rzeka ta jest żeglowna

¹⁾ Zwyczaj ten wspólny także ludom mongolskim i malajskim, w ogóle ludom z rzadkim zarostem brody, jest wynikiem ogólnego etnologicznego prawa, że piękno w pojęciu danego ludu jestto spotęgowanie właściwych temu ludowi cech, właściwego mu typu. Wskutek tegoż samego prawa nasze panie blanszują się, lub pudrują, a amerykańscy czerwonoskórcy nacierają twarz ochrą czerwoną; nasz młodzieniec niecierpliwie goli brodę i używa środków na jej porost, a Mongoł, Patagon i t. d., wyrrywa z niej każdy włos; my staramy się za pomocą różnych proszków utrzymać lśniącą białosć zębów, ludy zaś zujące betel, malują je ua czarno. Ci sami Patagończycy, którzy wyrrywają włosy ze swęj rzadkiej brody, pielęgnują starannie bujne, długie i proste, jak włosień, swe włosy na głowie i dla spotęgowania tych ich własności, wplatają w nie końskie ogony. Murzyni z kosmykowatemi włosami, potęgują jeszcze tę własność włosów za pomocą lepkich środków. Dla tego samego u ludów z płaskimi głowami istnieje zwyczaj ściskania głów u dzieci; dla tego samego u ludów podlegających steatopigii, kobięta, która o własnych siłach nie może powstać z siedzenia, jest ideałem piękności i t. d.

aż do stóp Kordylierów, w pobliżu Antuco, z kąd zaczyna się kolej żelazna Chilijska.

Strony Biegunowe.

W ostatnich czasach rzucono się z wielkim zapałem do wypraw w krainy biegunowe północne. Stany Zjednoczone, Anglia, Niemcy, Austria, Skandynawia, Dania, Rossya ubiegają się o pierwszeństwo.

Rezultaty wyprawy Nordenskiöld. Pierwszeństwo to przypadło synom Skandynawii, nieodrodnym potomkom nieustraszonych żeglarskich Normannów. Nordenskiöld, północny Wasco de Gama, opłynął północny kraniec Starego Świata, przylądek Czeluskina i przez cieśninę Beringa dostał się na ocean Spokojny. Tym sposobem rozwiązana została trzechwiekowa kwestya geograficzna, kwestya „północno-wschodniego przepływu,“ t. j. dostania się z Europy do Chin drogą przez morze Sybirskie. Przebieg wyprawy Nordenskiölda znany jest dostatecznie polskim czytelnikom, pisano o niej u nas wiele, sami zresztą podaliśmy już w inném miejscu obszerniejsze o niej sprawozdanie; nie będziemy więc go tutaj powtarzać, dodamy tylko, że rozwiązanie kwestyi północno-wschodniego przepływu ma jedynie teoretyczne znaczenie. Lody bowiem na morzach podbiegunowych są tak „nieobliczoną potęgą,“ stosunki ich są tak zmienne, że nie można myśleć o zaprowadzeniu na tej drodze stałej żeglugi między Europą i Chinami. Ważny natomiast rezultat praktyczny przyniosła wyprawa Nordenskiölda dla stosunków handlowych między Europą i Syberyą, przy pomocy olbrzymich rzek tej ostatniej, sięgających daleko we wnętrze azyatyckiego lądu. Z tego względu Nordenskiöld dzieli drogę wzdłuż północnych brzegów Sybiru na trzy części: 1) Do Jeniseju; na tej przestrzeni żegluga tam i napowrót jest możebna corocznie, przy sprzyjających warunkach nawet dwa razy, port Dicksona przy ujściu Jeniseju najlepszy 1). 2) Między Jenisejem i Leną; i tutaj żegluga jest możebną każdego lata. 3) Między Leną i cieśniną Beringa; ta część jest mniej dogodna niż poprzednie, zawsze jednak dla ciężkich i tanich towarów może być z korzyścią używana.

Wyprawa do ziemi Franciszka Józefa. Ziemia Franciszka Józefa odkryta w 1873 r. przez wyprawę austriacką, składa się, jak wiadomo, z dwóch wielkich wysp: Ziemi Zichy na zachodzie i Ziemi Wilczka na wschodzie, rozdzielonych cieśniną Austria Sund,

1) Trzeba jednak zauważyć, że wejścia na morze Karskie około Wajgaczu i Nowej Ziemi, bywają zatykane lodami tak, iż nie zawsze jedno i to samo jest w danej chwili wolne; dopiero więc po połączeniu Nowej Ziemi i Wajgaczu drutem telegraficznym z Europą, możnaby zaprowadzić zupełnie powną żeglugę. Możliwy także ominąć przejścia na morze Karskie za pomocą połączenia kanałem systematów Peczory i Obi, co nie przedstawiałoby wielkich trudności.

oraz z licznych mniejszych wysp, leżących na południe od dwóch poprzednich. Zeszlóroczna wyprawa Leigha Smitha do tego kraju, oddała ważne usługi kartografii, odkryła bowiem nowe cieśniny wśród wysp południowych i stwierdziła, że wybrzeże Ziemi Zichy ciągnie się w północno-zachodnim kierunku do 42° dług. wsch. od Greenwich, a więc o 9° dalej na zachód, niż podawały dotychczasowe mapy. Tym sposobem Ziemia Franciszka Józefa zyskała na obszarze, a morze dzielące ją od Szpicberga, uległo znacznemu zwężeniu.

Badania Grenlandyi. W ostatnich czasach badaniami Grenlandyi zajmują się szczególniej Duńczycy. Jestto kraj ponury i groźny, lecz zarazem nadzwyczaj ciekawy dla badacza: przedstawia bowiem obecnie odległą przeszłość geologiczną ziemi, epokę lodową. Wnętrze téj wyspy pokrywają trudne do przebycia obszary lodowe, powierzchnia ich podobna w wielu miejscach do wzburzonego morza (możnaby do niej zastosować słowa Pola: „jak potopu świata fale zamrożone w swoim biegu“), popekana jest w niezgłębione rozpadliny o lazurowych ścianach, przez które prowadzą zdradliwe mosty ze śniegu. Zamiecie śnieżne powiększają niebezpieczeństwo podróżnika, a odbłask odwiecznych śniegów i lodów sprawia bolesne zapalenie oczu. W zagłębieniach lodowych powstają jeziora i rzeki, staczające się z szumem w otchłanie rozpadlin. Prócz tego znajdują się liczne małe, cylindryczne otwory, na których dnie leży piasek i glina, wytwarzające właśnie przez pochłanianie promieni słonecznych te zagłębienia. Ten piasek i glina są to resztki moren, pochodzących z gór, które sterczą tu i owdzie z pośród powierzchni lodowej (do 5,000' wys. bezwzgl.) a zwanych „nunataks.“ Wewnętrzne lody Grenlandyi, dosięgnąwszy wybrzeża, posuwają się ze znaczną szybkością w morze i odrywając się od pozostałej masy tworzą pływające góry lodowe.

Badania w cieśninie Dänemark. Duński statek „Ingolf“ wysłany w r. 1879 r. dla zbadania cieśniny Dänemark, dzielącej Grenlandyę od Islandyi, stwierdził istnienie podwodnego grzbietu, łączącego te dwie wyspy, a będącego dalszym ciągiem grzbietu Schetland-Island, który, wstrzymując, a przynajmniej osłabiając idące z północy prądy zimne (co wskazuje znaczna różnica między temperaturą wody na północy tego grzbietu i na południu) zapewnia południowo-zachodniej Islandyi łagodny klimat i pozwala na jej zamieszkanie.

Projekta osad i stacyi w krajach biegunowych. Rosyanie założyli na Nowej Ziemi, nad zatoką Moller, stacyę ratunkową Karmakuli, która składa się z dwóch blokhauzów: jeden dla komendanta, drugi dla Samojedów. Prócz tego zamierzają założyć stałą osadę dla celów rybołówstwa, albowiem Norwegczycy, którzy z powodu stosunków lodowych mogą się prędzej dostać do Nowej Ziemi, niż Rosyanie z Archangielska, czynią tym ostatnim wielką w rybołówstwie konkurencyę.

Na międzynarodowej polarniej konferencyi w Hamburgu 1879 r., postanowiono założenie wielu stacyi naukowych w krajach polarnych.

Rossya ma założyć taką stacją przy ujściu Leny lub na Nowej Syberyi, Dania w Upernavik na zachodnich brzegach Grenlandyi, Wilczek i Weyprecht na Nowej Zemli, Norwegia na Nordkapie, Szwecya i Holandya prawdopodobnie na Szpicbergu, Niemcy na wschodnich brzegach Grenlandyi i na wyspie Południowej Georgii, w stronach antarktycznych. Stacje te będą miały na celu badanie klimatycznych stosunków stron polarnych.

O wyprawie amerykańskiego statku „Jeanette,” przez cieśninę Beringa w 1879 r. nic niewiadomo, zdaje się, iż musi zimować w kraju Wrangla.

Wyprawa amerykańska w celu odszukania dokumentów po Franklinie. W ostatnich czasach wieści przywożone przez poławiaczy wielorybów z okolic Repulse-Bai o losach Franklina, a zebrane z opowiadań Eskimosów o „białych ludziach,” którzy przed wielu, wielu zimami wymarli w ich kraju; jakoteż przedmioty, jak: łyżki, widelce, noże i t. p., ze znakami Franklina, znalezione u Eskimosów, zwróciły nadzieję odnalezienia piśmiennych po nim dokumentów. W tym celu urządzono w Ameryce wyprawę pod dowództwem porucznika Schwatka. Wyprawa ta z zatoki Hudsonskiej, dosięgnęła saniami wyspy King William Land, odkrytej w 1859 r. przez M. Clintoka, miejsca katastrofy, lecz nie zbadanego wtedy należycie, z przyczyny głębokich śniegów. Schwatka znalazł wiele grobów na zachodniem wybrzeżu wyspy, ale dokumentów piśmiennych nie udało mu się znaleźć: oddane przez Eskimosów dzieciom do zabawy, zostały dla nauki stracone bezpowrotnie. Wyprawa ta jednak zbadała część kraju nieznaną, poprawiła dotychczasowe mapy; okazała, że biali mogą zupełnie przyjąć tryb życia Eskimosów, a wtedy dopięro wyprawy na saniach mogą do ważnych doprowadzić rezultatów; nakoniec podała myśl, aby Eskimosów, słynnych ze swój sztuki orientowania się (kresła dobrze mapy swych wybrzeży, poznają błędy naszych map, przedstawiających ich ojczyste strony), wyuczyć miernictwa i użyć, podobnie jak indyjskich punditów, do geograficznych badań Północy, powierzyć im samym zadanie dosięgnięcia północnego bieguna.

Dnia 10 stycznia 1881 roku.

NOWE DOKUMENTY

DO DZIEJÓW APOSTOŁÓW SŁOWIAŃSKICH.

Niewiele znajdzie się w historii faktów, podobnych do dziejów św. apostołów słowiańskich: Cyryla i Metodego, któreby były przedmiotem tak różnorodnych teorii i opinii, sięgających daleko poza sferę interesów czysto naukowych; opinii stanowiących labirynt zacieklej wywodów i wniosków jaknajrozmaitszych. Świadectwa dziejowe, opowiadające o działalności świętych braci soluńskich, noszą nie tylko nazwę, ale i charakter legend, przedstawiających mnóstwo punktów niejasnych, z których każdy był przedmiotem najróżnorodniejszych wykładów, zabarwionych wielce stronniczymi barwami. Narodowość świętych braci, stosunek ich do kwestyi rozerwania kościoła, która w owym właśnie czasie poczęła się rozwijać, język, na który przełożyli Pismo Święte, abecadło, które wynaleźli, wszystko to stanowiło przedmiot zaciętych sporów, w jakich zabierali głos uczeni sławiści: Dobrowski, Kopitar, Szafarzyk, Miklosicz, Hilferdyng, Rettel, Raczki, Ławrowski i w. i. Nie myślimy w niniejszym artykule rozbiierać kwestyi, czy św. Cyryl i Metody, byli Grekami z pochodzenia, czy Słowianami; czy język, jakiego użyli do przekładu ksiąg świętych, był starobułgarskim, czy też mową Słowian Pannońskich, językiem starosłoweńskim; czy głągolica, czy też cyrylica stanowiła owo abecadło, przez nich obydwóch, czy też przez jednego z nich wynalezione: naszym zamiarem jest jedynie podać wiadomość o nowych dokumentach, odkrytych niedawno, a rzucających jasne pasmo światła na stosunek św. Metodego do Rzymu, co stanowi jądro kwestyi; o ile święci apostołowie słowiańscy poczuli się do jedności z kościołem zachodnim w obec separatystycznych dążeń Konstantynopola. Kwestya ta nabiera dzisiaj jeszcze więcej wartości i interesu w skutek niedawnego wyniesienia przez papieża Leona XIII, dnia poświęconego pamiętce świętych Cyryla i Metodego, do znaczenia i do stopnia pierwszorzędnego w świecie katolickim święta.

Pod względem téj ważnej kwestyi, dwaj głównie uczeni zajmują przeciwległe stanowiska, około których grupuje się reszta zabierających głos w téj sprawie. Są to: obecny prezes akademii południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu, ks. kanonik Franciszek Raczki, autor dzie-

ła: „Viek i djelovanje sv. Cyrilla i Methoda“ (Zagrzeb, 1857 r.) i znany u nas b. rektor uniwersytetu Warszawskiego Piotr Ławrowski, w dziele pisaném po rossyjsku, a noszącém tytuł: „Cyryl i Metody, jako prawosławni apostołowie u Słowian zachodnich, w związku ze współczesnemi im dziejami niesnasek religijnych pomiędzy Wschodem i Zachodem“ (Charkow, 1863 r.). Raczki stara się dowieść, że święci apostołowie byli w zgodzie z Rzymem i w sporze swym o obrządek słowiański z biskupami niemieckimi od papieży doznali w swym czasie poparcia; stanowisko Ławrowskiego dokładnie określa sam tytuł wskazanego dzieła.

Niedawno w Muzeum brytańskim Edmund Bishop odnalazł ciekawy rękopism, w którym znajdują się dokumenty, co rzucają jasne światło na tę sprawę, obchodzącą w wysokim stopniu wszystkich Słowian. Dokumenty owe, oprócz rozjaśnienia kwestyi spornej, stanowią jeszcze nader ważny przyczynek do opłakanego apostołstwa w ziemiach słowiańskich ze strony Niemców, dla których w średnich wiekach religia była pokrywką dla zastąpienia celów najzupełniej politycznych, dla materialnego i moralnego ujarznienia Słowian, tak jak dziś dla podobnych celów służy im... nauka i kultura. Wiadomość o tych ważnych i ciekawych dokumentach czerpiemy z notatki znanego uczonego czeskiego, Józefa Jireczka (b. ministra w Cislitawii), zamieszczonej w zeszłorocznych numerach tygodnika „Svietozor.“

Pomiędzy rękopismami Muzeum brytańskiego znalazł p. Edmund Bishop kodeks in quarto z końca XII wieku, pisany różnemi charakterami pisma, a zawierający w sobie zbiór listów papieżkich od V do XI wieku. Są tam mianowicie listy papieżów Gelazyusza I (492—496 str.), Pelagiusza I (555—560 str.), Pelagiusza II (578—590 str.), Leona IV (847—855 str.), Jana VIII (872—882 str.), Stefana VI (str. 885—891 str.), Aleksandra II (1061—1073 str.) i Urbana II (1088—1099 str.).

Listy te, nieznane dotąd, obejmują w sobie wiele danych dziejowych. P. Bishop, oceniając ich ważność, przesłał je w kopii do wydawnictwa „Monumenta Germaniae,“ które, jak wiadomo, rozpoczął był wydawać Pertz. Zanim ogłoszenie takowych nastąpi, p. Ewald podał o nich wiadomość w czasopiśmie „Neues Archiv der Gesellschaft für ältere Geschichtskunde.“ Ztamtąd p. Jireczek wyjął dane, odnoszące się do początkowych dziejów kościoła słowiańskiego.

Najstarszy z tych właśnie listów, jest list papieża Jana VIII, pisany przed r. 873 do króla bułgarskiego Michała-Borysa. W nim papież powiada, że Bułgarya należy do dycecyi rzymskiej i że kościół rzymski stoi ponad innymi, że patriarchy carogrodzki, Ignacy, otrzymał stolicę swą jedynie z łaski papieżkiej i że, jeżeli niewiara Greków końca nie weźmie, papież patriarchę złoży z urzędu i wyklnie, czém także grozi i królowi i doradcom tegoż.

Drugi list podobnieże treści i z tegoż mniej więcej czasu odnosi się do Domagoja, księcia słowiańskiego w Dalmacyi; papież skarży się

w nim na patriarchę Ignacego, że Bulgarom dał schyzmatycznego biskupa. Oba te listy powstały więc w tym czasie, gdy Metody, po dokonaniu nawrócenia Bulgarów, oddawna już w Wielkiej Morawii przebywał.

Ważniejszymi jeszcze są listy papieża Jana VIII w kwestyi prześladowania, którego Metody doznawał od biskupów Pasawskiego (Pasau) Hermanrycha i Freisingeńskiego Annona (854—875 r.), a głównie od arcybiskupa Salcburskiego Alwina, zmarłego r. 873. Jak wiadomo, biskupi ci rościli sobie prawo do tego, iżby Słowianie morawscy i pannońscy, nawróceni na chrześcijańską wiarę do ich dyecezyi należeli; ztąd niesłychanie gniewali się na mianowanie Metodego arcybiskupem morawskim i pannońskim i swojemi intrygami dopięli, że go na czas jakiś ze stolicy arcybiskupiej złożono. Papież ujmuje się za świętym mężem, Alwina obwinia wprost, że był sprawcą złożenia Metodyusza i poleca mu, by go napowrót na godność wprowadził. Tak na niego, jako i na Annona i Hermanrycha wkłada obowiązek, aby z postępowania swego w obec Metodego, przed samą stolicą papieżką zdali rachunek.

Do Hermanrycha Jan VIII pisze w te słowa:

„Sądzimy, że na oplakanie złości twych wystarczyłyby chyba potok łez proroka Jeremiasza. Zuchwalstwo two przewyższyło nie snadź zaciekłość jakiegoś biskupa, ale tyrana świeckiego, nawet wściekłość zwierzęcą, gdyż brata i współbiskupa swego Metodego trapił więzieniem, pod otwartym niebem przez długi czas dręczył na najstraszniejszym zimnie i przykrym śniegu, a nadto, oderwawszy go od rządów w powierzonym mu kościele, do tego stopnia popuściłeś wodzów wściekłości, że gdy (Metody) zawleczony został przed zebranie biskupów, końskim biczem chciałeś go bić, ale inni do tego nie dopuścili. Czy to są czyny godne biskupa?”

Do surowych tych wymówek dodaje Jan VIII, że Hermanrycha pozbawia prawa odprawiania służby Bożej i wyklucza go od obcowania z duchownymi.

Do Annona papież pisze co następuje:

„Zuchwalstwo two i śmiałość nietylko obtoki, ale niebiosa same przebijają. Przyswoiłeś sobie prawa Stolicy Apostolskiej i jak gdybyś był jakimś patriarchą, przywłaszczyłeś sobie moc sądu nad arcybiskupem, a co gorzej jeszcze, z bratem swym, arcybiskupem Metodym, który w poselstwie od Stolicy Apostolskiej między poganami pracował, obchodziłeś się więcej po tyrańsku, niż po kanonicznemu. Gdy on, zaiste, według świętych kanonów, domagał się tego, aby stawiony był przed sąd Stolicy rzymskiej, tyś mu tego bynajmniej nie dopuścił, ale wraz z poplecznikami i współtowarzyszami swymi wydał nań wyrok, wykluczył od służby Bożej i wtrącił do więzienia. Nadto jeszcze, nazywając się człowiekiem poddanym św. Piotrowi w rządach kościoła w Niemczech, o uwiezieniu i udręczeniu rzezonego brata i współbiskupa, co więcej wysłańca naszego, nad którym mieliśmy niezwykłą pie-

czę, żadnej nie dałeś nam wiadomości; ale jeszcze, gdyś w Rzymie od naszych był o to pytany, kłamliwie zaparłeś się, żeś go nie znał, gdy tymczasem wszelkich udręczeń, jakich wasi dopuścili się względem niego, sam byłeś podżegaczem i podmawiaczem, że nie powiem nawet sprawcą.”

Daliej dodaje papież, że Anno póty, póki się w Rzymie nie stawi, zostaje wykluczonym od komunii.

Listy do Alwina, Hermanrycha i Annona, wyprawione były za pośrednictwem Pawła, biskupa ankoneńskiego, wysłanego z mocą legata papieżkiego do Germanii i Pannonii. W kodeksie Muzeum brytańskiego przechowała się instrukcyja, dana legatowi temu przez papieża Jana VIII. Najpierw miał zjechać na dwór króla Ludwika niemieckiego (843—876 r.) i przed nim bronić praw Stolicy papieżkiej do dyecezyi pannońskiej, która, w skutek wojen, na czas jakiś oderwaną została. Do Alwina i Hermanrycha miał przemówić w tym duchu, że przybywa powrócić Metodogo do dyecezyi, pozbawionej przez lat trzy swego pasterza. Na przypadek, gdyby Alwin i Hermanrych stawiali opór, miał im to powiedzieć:

„Wyście, bez wyroku kanonicznego, potępili biskupa, wysłanego od Stolicy Apostolskiej, wyście wtrącili go do więzienia, bili po twarzy i od służby Bożej wykluczili i ze Stolicy Jego wypędzili tak, iż przez lat trzy przez licznych posłów i listy wołał o obronę do Stolicy papieżkiej. Wy nie jesteście godni przystępować do sądu, któremu w rzeczywistości ciągle wymknąć się usiłowaliście. Jam jest posłan do was, aby was odsunąć od służby Bożej na tak długo, jak długo zmuszaliście tego czcigodnego męża do ich zaniechania, a on aby przez tyle czasu bez przeszkody i zawady używał powierzzonego sobie urzędu biskupiego, przez ile, jak się okazało, z waszjej łaski był takowego pozbawiony. Potém dopiéro, jeśli macie co przeciwko niemu, przyjdźcie, a przed Stolicą Apostolską obie strony wysłuchane i sądzone będą, jestto bowiem spór pomiędzy arcybiskupami i nieprzyzwoitą byłoby rzeczą, gdyby nad nimi ktoś inny a nie patriarcha (t. j. papież) był sędzią.“

Po załatwieniu tój sprawy, miał legat wraz z Metodym udać się do Świętopelka morawskiego, a nie do Kocela, księcia słowiańskiego w Pannonii, nad jeziorem Błotném, jak dotąd mylnie sądzono.

Owe nieznane dotąd dokumenty jakież jaskrawe rzucają światło na bezprawia owoczesnych biskupów niemieckich, którzy praw swych fikcyjnych bronili pięścią i intrygą, okazując jawnie, że im idzie o władzę i zyski, a nie o szerzenie wiary Chrystusowej i o zbawianie dusz pogańskich. Nadto widzimy ztąd, że Metody już przed uwięzieniem swém używał godności arcybiskupiej, a nie dopiéro od r. 874, jak dotąd mniemano.

Najważniejszym wszelako rezultatem, wypływającym z nowoodkrytych dokumentów, jest stanowcze przeważenie szali na stronę tych, którzy wraz z kanonikiem Raczkim w działalności Cyryla i Metodogo,

widzą zgodność z Kościołem zachodnim. Widzimy aż nadto jasno, że głowa Kościoła rzymskiego ujmuje się za apostołem, szerzącym wiarę przy pomocy liturgii słowiańskiej, za mężem, którego potwarzy biskupi germańscy koniecznie chcą uczynić kacerzem. Powtarzamy raz jeszcze, że to jest nadto wielce wymowny przyczynek do dziejów „opłakanego apostołstwa,” które było narzędziem jedynie szerzenia panowania niemieckiego nad Słowianami.

Missya biskupa Pawła bynajmniej nie położyła końca wichrze- niom niemieckim, przyszło do tego, że papież r. 879 wezwał Metodego do Rzymu. Tam arcybiskup słowiański, uroczyście uczyniwszy wyznanie wiary, oczyścił się z zarzutów herezyi, stawianych mu przez duchowieństwo niemieckie. Wszelako papież, zatwierdzając liturgią słowiańską, nadał równe prawo i obrządkowi łacińskiemu u Słowian i w państwie Świętopetka morawskiego założył łacińskie biskupstwo w Nitrze, a biskupem mianował Niemca Wichinga. W osobie tego ostatniego wpuszczono wilka do owczarni Chrystusowej. Wiching nie spoczął, póki Stolicy papieżkiej przeciwko Metodemu i obrządkowi słowiańskiemu nie poruszył. Szlachetny obrońca apostoła, Jan VIII zszedł do mogiły, a z nim pochowano i życziwe Rzymu dla języka słowiańskiego w służbie Bożej usposobienie. Za Stefana VI, który na Stolicę Piotrową wstąpił r. 885, nastął wielki zwrot w poglądach w Rzymie, całkiem w duchu zabiegów, Wichinga. Wymógł on w Rzymie list do Świętopetka, w którym papież poleca go jedynie jako prawowiernego biskupa, zakazując przytém używania języka słowiańskiego w służbie Bożej i tym sposobem niweczy dzieło Metodego. List ten papieża Stefana, wydrukowany w Regestach Erbena, poczytywano dotąd za podrobiony, z powodu rażącej sprzeczności z postępowaniem i słowami Jana VIII, ale autentyczność jego potwierdza inny list Stefana, znaleziony w kodeksie Muzeum brytańskiego. Jest to tak zwane *commonitorium*, dane przez papieża biskupowi Dominikowi i księżom Janowi i Stefanowi, którzy wybierali się z Rzymu w podróż misyonarską do Świętopetka „do Słowian.“ W *commonitorium* owém zakazuje się używanie języka słowiańskiego; mówi ono przytém: „Gdyby znalazł się ksiądz słowiański tak uczony, iżby po przeczytaniu ewangielii mógł ją wyjaśnić dla nauki tych, co po łacinie nie rozumieją, pozwala się to i dozwala.“ Nakoniec nakazuje się, aby „następca, którego wbrew wszem prawidłom Ojców świętych Metody sobie ustanowił, urzędu biskupiego nie sprawował, póki nie stawi się w Rzymie i ustnie sprawy swój nie wyjaśni.“

Okazuje się z tego, że owo *commonitorium* pisaném jest już po śmierci Metodego, którą Żywot braci świętych, zwany Legendą pannońską, kładzie na dzień 6 kwietnia 885 roku, list zaś, dany Wichingowi, zdaje się, powstał za życia arcybiskupa. Odtąd rozpoczęło się prześladowanie uczniów Metodego, z których przedniejsi byli Gorzard, Klemens, Wawrzyniec, Naum, Angelar, Sawa i i. Świętopetk,

zajęty sprawami politycznymi, nie dał im należytego poparcia, udali się więc do Bulgarii, która się była oderwała od Kościoła Rzymskiego. Obrządek słowiański kofatał się długo jeszcze w Kościele zachodnim nad Adryatykiem, aż wreszcie, po zaciętych walkach, ustąpił całkowicie miejsca łacińskiemu, pozostawiwszy jako pamiątkę po sobie stosy mszałów głągolicznych, przechowywanych w Chorwacyi, a głównie na wyspach Adryatyku.

Bronisław Grabowski.

ZDOBYCIE BABILONU PRZEZ CYRUSA

według owoczesnej kroniki babilońskiej.

(NOTATKA HISTORYCZNA)

PRZEZ

I. Radlińskiego.

Od lat trzydziestu kilku rozpoczęte poszukiwania archeologiczne w Mezopotamii, ze strony Anglii, która się okazała wytrwalszą i ofiarniejszą w tym razie od Francyi, prowadzi obecnie, po usunięciu się z widowni naukowej A. H. Layarda i śmierci przedwczesnej G. Smitha, Hormuzd Rassam.

W czasie dwuletniej wyprawy naukowej (1877—1879), podjętej na koszt Muzeum brytańskiego, dwójkami sposoby H. Rassam gromadził skarby, po które był wysłany. By wydrzczyć je ziemi, rozkopywał wzgórza, powstałe ze zwalisk miast starożytnych, znikłych przeszło przed dwoma tysiącami lat z powierzchni ziemi, wskutek wielkiej zawziętości nieprzyjaciół i długich, pustoszących wojen. By wydostać je z rąk ludzi, najczęściej nieznających się na wartości rzeczy posiadanych, zamiast narzędzi żelaznych i robotników wytrwałych w pracy, używał złota i agentów zręcznych. Obydwie drogi ułatwiły osiągnięcie zamierzonego celu.

Rozkopując Kujundżyk, jedno z dwóch wzgórz, wznoszących się tam, gdzie stała ongi Niniwa wspaniała, w zwaliskach pałacu przedostatniego króla assyryjskiego Assur-bani-pala (669—625 przed Chr.), oprócz wielu drobniejszych napisów, oraz przedmiotów sztuki miejscowej, odszukał cylinder, pokryty 1300 wierszami pisma drobnego. W Balawat, o trzy mile na Wschód od Niniwy, odkopał pałac i świątynią, wzniesione przez Assur-nasir-pala (882—857), jednego ze sławniejszych monarchów assyryjskich, i syna jego, również, jak ojciec sławnego, Salmanasara (857—829). W pałacu znalazł obszerną skrzynię kamienną, zawierającą napisy pamiątkowe pierwszego; w świątyni drzwi brązowe, ozdobione rzeźbami i pokryte napisami, głoszącymi czyny drugiego. Ze zgromadzonych za pomocą agentów przedmiotów, bardziej niż inne, zwróciła na siebie uwagę uczonych tablica z gliny niepalonej, pokryta

z obu stron pismem klinowém, stanowiącém cztery kolumny, po dwadzieścia parę wierszy każda. Pochodziła ona bowiem z Babilonu i jak to można było wnosić z pewnych cech, z czasów, które stosunkowo mniej od innych były znane.

Assyrolog angielski Th. G. Pinches, pierwszy tekst, pomieszczony na owój tablicy, odczytał i takowy w dwojakiem piśmie: klinowém i naszym głoskowém, wraz z własnym przekładem i stosownemi objaśnieniami, złożył w Towarzystwie archeologii biblijnej, na posiedzeniu członków tego Towarzystwa w dniu 2-go marca r. b. ¹⁾. Wówczas okazało się, że ta tablica zawiera opis wypadków politycznych, ułożony według lat panowania ostatniego króla babilońskiego Nabonida; następnie opowiada o wzięciu Babilonu przez Cyrusa, założyciela państwa perskiego, oraz o początkowych rządach tego monarchy w podbitej ziemi i w zdobytym grodzie.

Opisane w kronice téj wypadki, stanowiące bezwątpienia jedną z ważniejszych kart w dziejach powszechnych, znaleźmy dotychczas tylko z jednego źródła. Źródłem tém było opowiadanie Herodota, ojca historii, pomieszczone w pierwszej księdze jego Dziejów. Otóż fakta podane w kronice babilońskiej zupełnie się nie zgadzają z opowiadaniem Herodota.

Okoliczność ta jeszcze bardziej podnosi wartość naukową owego odkrycia. Kronika bowiem, odstawiając nam rzeczywiste fakta i z nich wywiązujący się bieg wypadków, przedstawia prawdziwy obraz historyczny; a prostując opowiadanie Herodota, wykazuje, czém były i są nasze wiadomości z dziejów starożytnych narodów wschodnich, oparte jedynie na dziejopisarzach greckich ²⁾.

I.

Fakt istnienia monarchy babilońskiego, imieniem Nabonid, był już znany badaczom z kilku napisów, znalezionych w Babilonie ³⁾.

¹⁾ Ważny ten wypadek nie uszedł również uwagi uczonych francuzkich, bacznie śledzących za postępem Assyrologii i odkryciami w niej. Jakoż już w lipcu, J. Halévy, znany lingwista i archeolog, na posiedzeniach paryżkiej Akademii napisów (Académie des Inscriptions et Belles-Lettres), odczytał memoriał swój, poświęcony rozbirowi tekstu owój tablicy babilońskiej, oraz kwestyom historycznym ztąd wynikłym.

²⁾ Pierwszą wiadomość o odkryciu téj kroniki, a następnie tekst jej otrzymał od A. II. Sayce'a, profesora Assyrologii w uniwersytecie oksfordzkim.

W naszych miejscowych warunkach, przy braku ogniska naukowego, towarzystw i bibliotek stosownych, tylko dzięki owój uprzejmości dostojnego profesora mogę już skreślić i podać tę notatkę.

³⁾ Napisy te zebrał Monant w dziele swém p. t.: „Babylone et la Chaldée.“ Paris, 1875 (p. 252—258).

W tych napisach Nabonid mianuje siebie synem Nabu-balat-iryba, który, jak ze sposobu wyrażania się o nim syna wnosić należy, był człowiekiem prywatnym. Pozostaje więc zagadką, w jaki sposób Nabonid, nie otrzymawszy władzy w spadku, mógł dojść do niej ¹⁾.

Monarcha ten zaczął panować w 555 roku przed erą naszą. Lecz ponieważ w napisach jego, dawniej znanych, żadnej wzmianki niema o katastrofie, która położyła koniec państwu babilońskiemu, a której data 538 r. jest pewną, przeto można było przypuszczać, że Nabonid panował tylko lat 10 i że wzięcie Babilonu przez Cyrusa nie za rządów jego miało miejsce, lecz za rządów syna jego, o którym wspomina w napisach. Synowi temu Nabonid nadaje imię Bel-sar-usur. W takim więc razie z przypuszczeniem tém zgadzałyby się podania hebrajskie, w których ostatni król babiloński nosi imię Belsaccar (Daniel, ks. V).

„Kronika babilońska” podaje wypadki z 17-go roku panowania Nabonida, a więc zaszłe w 538. Dla dokładniejszego przedstawienia sobie ich biegu, cofnijmy się w tekście o lat kilkanaście, do początków panowania Nabonida, chociaż uszkodzenie kilkunastu wierszy początkowych w tablicy utrudnia trochę to zadanie.

W pierwszym roku panowania swego Nabonid prowadził wojnę z królem, którego imienia początek jest zatarty (koniec: su-is-se). Zwyciężył go i łupami zdobytymi wzbogacił Babilon. Pod koniec tegoż roku nowa wyprawa wojenna.

W roku drugim, w miesiącu Tebet (druga część grudnia i pierwsza połowa stycznia), wybuchło powstanie w Hamat. Uszkodzenie tekstu nie pozwala dowiedzieć się niczego o losie powstańców.

W roku trzecim, miesiącu Ab (lipiec—sierpień), Nabonid udał się w góry Ammananu. Góry te leżą na północy Syrii i były znane pisarzom greckim i rzymskim pod nazwą Amanus. W tym razie Nabonid postąpił według zwyczajów królów assyryjskich, którzy często w te góry wycieczki czynili, w celu zapolowania w nich, oraz na (?) ścinanie drzewa.

Tekst, zawierający wypadki zaszłe w dwóch następnych latach, jest zupełnie zatarty. Pod rokiem 6-tym jest mowa o Cyrusie (Kuras), jako królu Ansanu (Suziany) i o jego przeciwniku: królu Istuwegu (As-tyages?), przeciw któremu własne powstało wojsko i, uwięziwszy go, oddało w ręce Cyrusa. Cyrus ziemię Agamtanu (Ekbatanę) zajmuje, miasto zdobywa, a wszelkiego rodzaju łupy do Ansanu przewozi.

Tych parę lat wprowadza wielką zmianę w usposobieniach króla Nabonida. Monarcha ten w pierwszych latach panowania swego czynny, przedsiębiorczy i wojowniczy, staje się obecnie obojętnym na sprawy publiczne, gnuśnym w czynach i przedewszystkiem zamiłowanym w pokoju. To go wiedzie do przelania dowództwa nad wojskiem

¹⁾ Menant twierdzi, że musiał on zrzucić z tronu swego poprzednika, którym według niego mógł być niejaki Bel-labor-iskun (o. c. p. 252).

i zapewne rządów—na syna, a również i do zamieszkania opodal stolicy w Tewa. To zatrzymuje go w ulubioném, jak widać, ustroniu nawet i wówczas, gdy wystąpić publicznie nakazywały mu obowiązki przywiązane do jego dostojęstwa.

W państwie Nabonida był zwyczaj znoszenia do miasta stołecznego ze wszystkich miast sąsiednich ważniejszych bogów i podczas pewnych uroczystości, głównie wiosennych, w miesiącu Nizan (marzec—kwiecień), obnoszenia ich wraz z miejscowymi w tryumfalnej po mieście procesyi. Kronikarze mówiąc o tym zwyczaju, wyrażali się zwykle, że taki to bóg tam a tam poszedł, taki zaś wyszedł. Nabonid przestał uczestniczyć w tych uroczystościach, lubo do niego, jako do króla, składanie głównych ofiar dla nich należało; to pociągnęło za sobą jego upadek. Zaniedbanie uroczystości religijnych odstręcza odeń duchowieństwo, co nie pozostało bez wpływu na przebieg późniejszych wypadków.

Otóż pod każdym już rokiem w Kronice spotykamy jednobrzmiącą wiadomość: „Król przebywa w Tewa. W Babilonie w miesiącu Nizan nie był. Nabu (jeden z główniejszych bogów) do Babilonu nie poszedł. Bel (również bóg) nie wyszedł. Syn królewski, oficerowie, wojsko, przebywali w ziemi Akkad.” Ziemia ta leżała na północ od Babilonu i jak wnosić należy z całego opowiadania, nie była zbyt lojalnie dla monarchy babilońskiego usposobiona ¹⁾. Nawet śmierć matki nie wyrwała Nabonida z tej apatyi, czy też uciech. Zapisawszy ten wypadek, kronikarz dodaje: „Syn królewski i wojsko przez trzy dni żałowali i był wielki lament.” O królu żadnej wzmianki.

Pod rokiem dziewiątym panowania Nabonida zapisano: „Cyrus, król Persyi (już nie Ansanu), wojska swe zgromadził i poniżej Arbuil rzekę Tygrys przeszedł” Tymczasem zaś król Nabonid ciągle tylko „w Tewa przebywał. Syn zaś królewski, oficerowie i wojsko w ziemi Akkad,” której bezwątpienia tylko w skutek obawy powstania opuścić nie mogli.

Takie były okoliczności, przy których fatalny dla potęgi państwowej Semitów, tak pamiętny w dziejach rok 538 nadchodzi.

¹⁾ Ciągłe wzmianki o ziemi Akkad, a następnie podana wiadomość o wybuchłém w niej powstaniu, mogą wpłynąć na rozstrzygnięcie ważnej kwestyi etnograficznej i historycznej. W Akkadacli, tylokrotnie w kronikach asyryjskich i babilońskich wzmiankowanych, uczeni europejscy (Lenormant, Sayce, Schrader, Maspero), widzą turańców pierwotnych, czy też najdawniej przybyłych mieszkańców Mezopotamii południowej. Najcie w III-ém tysiącleciu semitów stopniowo pozbawia ich dawniejszego znaczenia. Akkadowie z czasem nikną. Język ich ginie. Pamiętki piśmienne tylko w piśmiennictwie semickim się przechowują. Dotychczas dla braku źródeł trudno było wskazać, kiedy zupełne zniknięcie Akkadów nastąpiło. Otóż nasza „Kronika babilońska” jeszcze za czasów Cyrusa istnienie Akkadów pod własnym nazwiskiem stwierdza, przechowania się ich usposobień, zwykłych w takich warunkach, dowodzi.

Niebezpieczeństwo cuci Nabonida. Opuszcza on Tewa. Ucieka się pod opiekę długo zaniedbywanych bogów. Bogowie zewsząd zstępują do Babilonu; w uroczystych procesjach obchodzą miasto jak dawniej. Lecz wszystko zapóźno. Wojska Cyrusa tuż pod Babilonem stały. By przeszkodzić pochodowi Cyrusa na Babilon, syn królewski musiał opuścić z wojskiem ziemię Akkad. Wybuchła tam po ustąpieniu wojsk babilońskich powstanie, zwiększa jeszcze bardziej grozę położenia, a przyszłemu władcy świata ułatwia "zadanie. Wypadki już szybko jedne po drugich następują.

Dnia 14 miesiąca tammuz (czerwiec—lipiec), wojska nieprzyjacielskie bez walki zajmują miasto Sippare, o kilka mil zaledwo od Babilonu odległe. Król Nabonid bawiący w tém mieście ucieka, lecz wnet wpadłszy w ręce nieprzyjaciół, związany, uczestniczyć musi w pochodzie zwyciężkich nieprzyjaciół. We dwa dni po wzięciu Sippary, Persowie bez walki zajmują Babilon. Dowodzi niemi Gubaru (Gobryas). Garstka walecznych próbuje stawiać opór; zamyka się w przyległym do Babilonu Esaggil, lecz, jak mówi kronikarz, „broni nie było." Opór długo trwać nie mógł. Dnia 3 miesiąca arkusamnu (październik—listopad) przybywa sam Cyrus do zdobytego już Babilonu, pokój ustanawia i nadal go utrzymać przyrzeka, Gabaru rządcą kraju i miasta mianuje, sprowadzonych na uroczystości bogów odsyła do miast z kąd byli wzięci. Pod koniec roku król Nabonid umiera. Od 27 miesiąca adar (lut—marzec) do 3 nizan odbywały się pogrzebowe obrzędy; a skoro, jak mówi kronikarz: „wszystkie ludy od swego władcy zostały uwolnione," dnia 4 tegoż miesiąca, Kambizes, synu Cyrusa, w zastępstwie ojca, jako nowy władca składa uroczyste ofiary bogom zdobytej ziemi i ucztę sporządza.

Taki był koniec trzeciej monarchii wszechświatowej...

II.

Przypomnijmy sobie obecnie opowiadanie o tym samym wypadku dziejowym ojca historyi Herodota, w każdej szczegółowszej historyi powszechnej dosłownie powtórzonym.

Według niego ostatni król babiloński, który zresztą żadnej roli w opowiadaniu tém nie gra, nosi imię Labinetus, jest synem z kronik babilońskich nieznanój, lecz z dzieł wielkich w jego dziejach pamiętnej królowy Nitokrys.

Po wielkiej bitwie stoczonej z wojskami babilońskimi pod murami Babilonu, gdy wojska te zwyciężone do miasta się schroniły, Cyrus pod miasto podchodzi. Wziąć je szturmem trudno było, gdyż wysokie mury i fosa głębokie, otaczając naokół, wielce obrońnym to miasto czyniły. Oblężenie też przeciągnąć się zadługo mogło, gdyż, jak to było Cyrusowi wiadomém, przezorni mieszkańcy wówczas, gdy on wyruszywszy na nich, kopał 360 kanałów, by wody Gangesu, w których koń jego utonął, rozlać niemi, nagromadzili wielkie zapasy ży-

wności. Obmyślił przeto rzecz następującą: wojska swe główne nad brzegami Eufratu, który przez miasto przepływa, rozmieścił, rozkazawszy, by ono omijając mury, łożyskiem rzeki wtargnęło do miasta, skoro tylko ujrzy, że wody w rzece opadają; sam zaś z pewnym oddziałem udał się na błota do niej przylegające. Tam kopiąc kanały, wodę z Eufratu na błota sprowadza i łożysko rzeki w skutek opadnięcia wód łatwém do przejścia czyni, co gdy spostrzegają nad brzegiem jój stojący Persowie, w koryto rzeki, gdzie woda nawet po kolana nie dosięgała, wchodzą i tém korytém do miasta się dostając, miasto zdobywają. Przypadały podówczas uroczystości religijne. Mieszkańcy Babilonu bogobojnie je przepędzali. Gdy w skutek wielkiej rozległości miasta, jedne jego dzielnice były już w rękach nieprzyjaciół, w innych wcale niebezpieczeństwa nie przewidując, wszelkim się oddawano uciechom (Herodot, I, 189—191).

Opowiadanie to zapisał Herodot w niespełna wiek po wydarzonych wypadkach.

Ponieważ samo porównanie z poprzednim opisem wykazuje legendarny charakter opowiadania Herodota, przeto zapytać możemy, co spowodowało, że fakt tak prosty jak wejście Persów do obronnego lecz, jak widzieliśmy, nie bronionego miasta, w tak krótkim stosunkowo przeciągu czasu uległ tak zupełnemu przeistoczeniu co do szczegółów? Co sprzyjało rozpowszechnieniu się tylko tego, w szaty legendarne obleczonego opowiadania?

Upadek państwa babilońskiego i na gruzach jego wzniesienie się nowego, perskiego, były to wypadki wielkiej doniosłości historycznej. Jakkolwiek dla większości ludów, wchodzących w skład pierwszego a następnie drugiego, była to tylko zmiana pana; jednakże musiał fakt ten wywołać wrażenie choć w części odpowiednie znaczeniu przewrotu. Lecz czy w faktach, które nam podała kronika babilońska, współczesna wypadkom samym, rozbudzona niemi fantazyja ludowa mogła znaleźć dość pokarmu dla siebie? Czy prosty, naturalny bieg wypadków, pozbawiony wszelkiej sceniczności, odpowiadał wywołanemu faktami wrażeniu, skutkom politycznym tego przewrotu?

Otoczony murami Babilon zdobyli Persowie bez walki. Król w ucieczce pojmany jako jeniec, wchodzi do swojej stolicy w otoczeniu wojska perskiego i w niej spokojnie umiera. Po śmierci jego, uświęcone zwyczajem odbywają się uroczystości pogrzebowe. Nowy monarcha składa ofiary miejscowym bogom. Wszystko to acz prawdziwe, tchnie zwyczajnością jakąś i do fantazyji nie przemawia. A dalej, czy wzięcie bez walki Babilonu, wieńczące szereg podbojów króla zdobywcy, zgadza się z wyrobioném pojęciem o jego wielkości, mężstwie, przedsiębiorczości? Jak z jednej strony dla podtrzymania honoru upadłego państwa potrzeba było dowodów odporności, tak z drugiej, dla udowodnienia w zdobywcy geniuszu, potrzeba było rozleglejszej akcji wojennej, większego naprężenia sił niż wprowadzenie wojska do niebronionego wcale miasta.

Na pomysł bohaterów narodowych, obrońców wolności, Wschód starożytny, jak świadczą pomniki jego piśmiennictwa, jeszcze się być nie zdobył, gdyż ich w życiu nie znał. Król, zwykle jedyny podówczas bohater, do téj roli jakoś się nie nadawał; mury więc podtrzymują sławę Babilonu, ocalają honor upadającej potęgi. Wprowadzenie zaś wojska do miasta przez łożysko rzeki bardziej się zgadzało z pojęciem wielkości, niż wprowadzenie ich przez bramy otwarte.

Ponieważ rzeczywisty przebieg wypadków, towarzyszący upadkowi Babilonu, nie odpowiadał, jak widzimy, fantazyi ludowej, fantazyja ta utworzyła sobie legendę, podnoszącą zarówno obiedwie strony do poziomu wyrobionych o nich pojęć.

Legendę tę zapisał Herodot w swych Dziejach.

Listopad, 1880 r.

WYCIECZKA DO BIAŁOWIEŻY

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Rozmaite są objawy martwoty społecznej. Jednym z nich jest niewątpliwie obojętność na osobliwości przyrody i skarby ziemi rodzinnej, obojętność będąca siostrą niedbalstwa. Uwaga ta nastąpiła mi się, gdy w końcu maja roku zeszłego, zwiedzając puszcę Białowieską, dowiedziałem się, że pomimo dobrych dróg i kilkamilowej odległości od stacyi Bielska, drogi żelaznej Brzesko-grajewskiej, rzadko kto przybywa zobaczyć ten najpiękniejszy z lasów w Europie i słynne osobliwe, dziko żyjące w nim zwierzęta. Przebiegłem też w pamięci nasze piśmiennictwo czasów ostatnich i znalazłem w niem dziwną pustkę w téj mierze. Ojcowie zajmowali się jeszcze więcej, ale synowie zobojętnieli nad wyraz. Ci, którzy chcą ustroj społeczny reformować na swój sposób, celują w nieznanym kraju, tego podłoża, na którém właśnie rozwinął się i urobił ten ustrój.

Jechałem drogą z Narewki. Jestto wioska chełpiąca się mianem miasteczka, nad rzeką Narewką, na pograniczu puszczy położona. Olbrzymie, proste i wyniosłe dęby powitały nas na wstępie szmerem swych liści. Zdawały się one ponuro szemrać i wyciągać potężne ramiona ku niebu na widok rówieśników i kilkowiekowych towarzyszków, których pełzająca przy ziemi piła handlarzy powaliła tuż obok na ziemię, gdzie w pyle i błocie tarzały się ogromne kłody, mchem długim a siwym brodate.

Szum puszczy poważnie nastrojał ducha. Każdy ogrom zawsze robi pewne wrażenie na umyśle ludzkim: czyto ogrom wód morskich, czy kraju widzianego z wysokości góry, czy ogrom otchłani w podziemiach Wieliczki, czy powódź ludu zgromadzonego na obchód uroczysty, czy powódź zielonej puszczy starożytnej i nieprzejrzanej. Prawie trzy mile z Narewki do Białowieży, t. j. do środka puszczy, jedzie się lasem, przedstawiającym dziwną mieszaninę dębu, jesionu, grabu, wiązu, brzostry, klonu, brzozy, olchy, osiki, jarzębiny, sosny, jodły i lipy. Drzewa te walczą z sobą olbrzymiami rozmiary i wzrostem, a miesza-

nina ich sprawia wielce piękny i ciekawy pozór lasu. Ukłękliśmy przed dębem, którego we dwóch nie mogliśmy objąć, bo musiał pamiętać polowanie Stefana Batorego, po którym została tu głucha tradycja wśród ludu i miejsce zwane Batorową górą. W miarę zbliżania się do Białowieży, las stawał się piękniejszym. Nie wiedzieliśmy, którym drzewem przyznać należało pierwszeństwo wzrostu, które tu królowało? Sosny i jodły zdawały się w niebo sięgać, a wysmukłe brzozy, strzelając w górę, żeby zachwycić słonecznego światła, prawie dosięgały ich wierzchołków. Przy lipach białowieżkich, lipy ogrodów naszych, choć nieraz grubsze, jakże wzrostem karłowato się wydają. Latem cień tu wieczny panuje, a na wiosnę śniegi leżą o dwa tygodnie dłużej niż na polach i nieraz zdarza się, że gdy koło Bielska lub Świsłoczy drogi już obeschnęły, w puszczy najlepsza jeszcze sanna.

W niektórych sosnach widać na znacznej wysokości dłubane w dawnych czasach barcie. Wiele ogromnych sosen stoi suchych. Skończyły one swój kilkowiekowy żywot ze starości, a poczerniałe ich skielety, stoczone przez robactwo i podziurawione przez dzięcioły, dumnie natrzęsają się jeszcze piorunom i huraganom. W wielu miejscach całe grupy tych nagich, bez kory, martwych, milczących olbrzymów, jak zakłęty tłum kościotrupów, dają widok, którego gdzieindziej darmo szukać. U podnóża ich, niby pobojuwisko, czernią się łomy owdieczne, bujnym mchem i grzybami porośłe, tu i owdzie w stosy ułożone, gnijące, bo nikt ich na opał brać nie chce. Niektóre kłody, z korą dobrze zachowaną, robią wrażenie zdrowego jeszcze drzewa, a jednak są tak zbutwiałe, że kilkostopową średnicę lekkim uderzeniem laski na wylot przebić łatwo. Największa sucha sosna kosztuje tu kilka złotych, ale przy ścinaniu olbrzym taki, padając na ziemię, łamie nieraz kilkanaście drzew innych, a gdy cisza panuje w naturze, to łoskot jego upadku, jak salwa pogrzebowa, daje się słyszeć w puszczy na mil kilka.

Słusznie powiedział ktoś, że dziś, gdy zniknęły z ziemi nasze wielkie bory, padły pod siekierą spekulacji i nieładu słynne puszcze, jako pamiątka ostatnich, pozostała tylko puszcza Białowieżka, przypominająca ogromem swoim starodawne puszcze polskie i dawnego Mazowsza. Rozległość jej wynosi 95,759 dziesięcin, czyli 191,518 morgów, t. j. około 6,384 włók miary nowopolskiej, a 22 mil kwadratowych. Od dawnych czasów dzieliła się na dwanaście straży: Augustowską, Narewską, Bruwską, Hajnowską, Leśniańską, Starzyńską, Stołpowską, Krakowską, Okolnicką, Świetliczańską, Pobielską i Działowańską. Straże te ustanowione były w dawnych czasach celem ułatwienia dozoru i mają mniej-więcej kształt trójkątów, których wierzchołki schodzą się w środku puszczy, koło Białowieży, a boki im przeciwległe stanowią granicę zewnętrzną, gdzie znajdują się domy strażników. Granice straży stanowią linie proste na 12 łokci szerokie, a na kilka mil długie. Rozgraniczenie to, miejscowe podania odnoszą do bardzo dawnych lat, gdyż najstarsi ludzie w puszczy nie pa-

miętają, ani nawet od ojców swoich nie słyszeli, kiedy te tryby graniczne przecinano poraz pierwszy. W ogóle napotkać tu jeszcze można niejeden ślad starodawnego porządku i ładu, który, względnie do swego czasu i położenia był chwalebny i postępowy. Za to w czasach olbrzymiego rozkwitu nauk przyrodniczych, w czasach, w których teorya pozytywizmu jest na ustach każdego prawie kształcącego się młodzieńca, musimy zarumienić się za brak ściślejszej, pozytywnej pracy naukowej w tych naszych szeregach i wyznać, że puszcza Białowiezka ze swoją bogatą roślinnością nie została jeszcze gruntownie zbadana pod względem botanicznym ani entomologicznym, a nawet nie mamy dobrej monografii żubra, jak o tém sądzić należałoby z bardzo powierzchownego i krótkiego opisu w „Encyklopedyi Powszechnej” Orgelbranda.

Środkiem puszczy przepływa rzeczka Narewka, która za jej obrybem łączy się z Narwią, mającą swoje źródła na wschodniem pograniczu puszczy. Narew, okrążając lasy białowiezkie od północo-wschodu, oddziela je zarazem od puszczy Świsłockiej. W środku puszczy Białowiezkiej nad Narewką, na wielkiem karczowisku istnieją trzy wsie: Stoczek, Podolany i Zastawa, tudzież dwór i folwark królewski, w dawnych czasach zapewne od jakiejś bitałej wieży nazwany Białowieżą. W dolinie Narewki, przy drodze z Zastawy do dzisiejszego cesarskiego dworca, wznosi się na brukowanem podwyższeniu, dziś opuszczony i mchem porośły, pomnik w kształcie obelisku, czworogranny, z piaskowca, około sześć łokci wysoki, z napisem w języku niemieckim i polskim, który brzmi jak następuje: „Dnia 28 Septembra 1752 r. Najjaśniejsze państwo, August III król polski, elektor saski, z królową Jejmością i królewiczem Ichmość Ksawerym i Karolem tu mieli polowanie żubrów i zabili 42 żubrów, to jest: jedenaście wielkich, z których najważniejszy ważył 14 centnarów i 50 funtów; 7 mniejszych, 18 żubrzyć, 6 młodych. Trzynaście łosiów to jest 6 starych, najważniejszy ważył 9 centnarów 75 funtów, 5 samiec; 2 młodych, 2 sarny; suma 57 sztuk.“ Dalej następują nazwiska dygnitarzy koronnych i litewskich, przytomnych na polowaniu i służby łowczej, która brała znaczniejszy w nich udział. Brinken w dziele p. n. „Memoire descriptive sur la foret de Białowieża“ (Warszawa, 1826 r.), opisał to polowanie, podług opowiadania sędziwego starca, który je dobrze zapamiętał. W liczbie strzelców wymieniony jest na tym pomniku niejaki Ejchler. Przypadek zrządził, że przed kilku laty poznałem na Litwie jego wnuka, 70 letniego starca, który także już w roku zeszłym umarł. Ten opowiadał mi, że dziad jego, z Saksonii rodem, był strzelcem przy królu, który lubił polowanie na głuszcę i do boku swego brał zawsze Ejchlera, gdy w czasie pobytu w Białowieży, zapuszczał się pieszo w dziki ostęp, zwany Konik, gdzie na wysokich drzewach gnieździły się licznie te ogromne a nader trudne do podejścia ptaki. Od owego czasu trzy pokolenia Ejchlerów spolonizowanych, pełniły sumiennie obowiązki w straży leśnej w obrębie puszczy. Ostatni z nich, który służył w puszczy, opowiadał mi także ze wspo-

mniej swego ojca, iż koniec wieku zeszłego był bardzo zabójczym dla grubszej zwierzyny tutejszej. Gdy bowiem za cesarza Pawła, w umundurowaniu armii zaprowadzono pasy łosiowe i polecono tysiąc skór łosich z Litwy dostarczyć, najwięcej dostarczyła Białowieża. Na zachodniej stronie puszczy szła wtedy granica sucha od okolicy Orli i Bielska, przyłączonych świeżo do posiadłości pruskich. Z za kordonu tego wpadały bandy chłopów, zwanych od strzelców kłusownikami, którzy zabijając żubry unosili skóry i mięso na swoje terytorium. Musiały to być dla żubrów bardzo ciężkie czasy, bo przy obliczeniu w roku 1821 znaleziono ich tylko w puszczy sztuk 370. W skutek jednak troskliwej opieki rządu, ilość ich w ciągu następnych lat ośmiu wzrosła do liczby 711 i odtąd utrzymywała się mniejwięcej około siedmiu setek. Z wytepieniem niedźwiedzi, zyskały żubry jednego mniej nieprzyjaciela. A był on tu niegdyś liczny i bardzo dla nich niebezpieczny. Lecz już przekazujący mi podania miejscowe Ejchler, widział tylko na lamusie, po swoim dziadzie, stopy skór i łbów niedźwiedzi.

Obliczanie żubrów odbywa się corocznie, a choć pozornie wydawać się ono może trudną rzeczą, w gruncie jest bardzo łatwem do uskutecznienia. Stada bowiem w porze zimowej trzymają się stale pewnych obrębów, w pobliżu źródeł i rzek, przy których stoją zwykle dla nich stogi siana. Każdy więc strażnik wie niemal dokładnie o liczbie sztuk w swoim obrębie. Na początku zimy, po pierwszym śniegu, o jednej godzinie z rana strzelcy całej puszczy, obowiązani są obejść wszystkie ostępy i uroczyiska, w których znajdują się żubry. Każdy z nich ma dwa kije do karbowania, jeden dłuższy, drugi krótszy. Na jednym znaczą się żubry, które wyszły z ostępu, a na drugim, które pozostają lub przybyły, co po liczbie tropów poznaje się. Tym sposobem dopełnia się wzajemna kontrola obrachunku, bo każdy żubr zaliczony przez jednego strzelca jako zbieg, u sąsiada musi być zanotowany jako przybysz. Około południa obrachunek w całej puszczy bywa już dopełniony a pomyłka najwyżej o sztuk kilka nastąpić może.

W ostatnich czasach zauważano ubytek żubrów, wprawdzie nieznaczny ale niestety stały. Rozmaite są tego przyczyny. Najprzód wiedzieć trzeba, że żubr należy do zwierząt mało mnożnych. Żubrzyca nie cieli się corocznie, ale co lat dwa, a niekiedy co trzy i cielęciu swojemu pozwala ssać się bardzo długo, bo nieraz widziéć można jak żubr dorastający wielkości naturalnej, przykleknąwszy ssie swoją matkę. Żubr przestał być już wyłącznym prawie panem puszczy. Wśród niej bowiem znajduje się kilkanaście wiosek, których ludność wzrasta a z nią liczba koni i bydła stanowiącego źródło wysokiej zamożności miejscowego ludu. Konie w ogólności są dobre i jak dziś do kilkuset rubli nieraz płacone. Ogólna liczba dobytku chowanego przez strzelców, strażników, leśniczych i włościan w obrębie puszczy, przenosi dziś najmniej o dziesięć razy ilość żubrów. Pastwiska te wiejskie obejmujące znaczną część puszczy, ogrodzone są płotami z polecenia wła-

dzy. Ale tym sposobem i żubr ma swoje granice, bo za płot przekroczyć nie może. Ubył wprawdzie groźny nieprzyjaciel żubra, niedźwiedź, który już tylko rzadkim gościem z Pińszczyzny przybywa do puszczy Białowiezkiej, lecz nie zostały wytępione wilki, duszące corocznie pewną ilość, a i włościanie chciwi na mięso i skórę, dopuszczają się nadużyć, które dla znacznej kary, głęboką tajemnicą pokrywać umieją. Dla mieszkańców puszczy łatwe to zadanie, gdy i strzału w czasie wichru w lesie nie słycać. Jednym ze szkodliwych wpływów jest także trzebież leśna. Już dziś w stanie dziewiczym znajduje się tylko trzecia lub czwarta część puszczy. Reszta, a zwłaszcza okolice gdzie bór sosnowy przeważa i łatwiejsza do rzeki wywózka, od lat trzydziestu dostarcza do Gdańska najstynniejszego budulcu. Tak np. od uroczyska Gwoźna, przy drodze do Popielewa i rzeki Narwi, las bardzo smutnie się przedstawia i żubry rzadko tam bywają. W ogóle, kto zna lasy w Prusiech, ten w puszczy Białowiezkiej nie zbuduje się. Często widzieć tu można drzewa podpalane, zapewne przez pastuchów wiejskich a nawet w czasie mojej obecności wypaliło się kilka morgów pięknego boru przy drodze z Białowieży do Budni. Było to właśnie w ostatnich dniach maja, tak samo jak w roku 1811, kiedy wybuchły przez nieostrożność pożar, niszczył niektóre części puszczy przez trzy miesiące i nie mógł być przytłumiony dzielną pomocą i poświęceniem ludzi, dopiero deszcz ulewny 1 października zagasził go zupełnie.

W r. 1860 odbyło się tu wielkie polowanie w zwierzyńcu miejscowym na żubry. Aby zwierzęta te, których przeznaczono do ubicia kilkadziesiąt, ranione nie męczyły się, używano kul rozrywających. W r. 1879 przybył do Białowieży jakiś Anglik z pozwoleniem zabicia jednej sztuki dla swojej satysfakcji; lecz spotkawszy dwa samce toczące z sobą zawziętą walkę, dwoma strzałami powalił obydwu. Nie musiał to być prawdziwy myśliwiec, bo czyż można mieć przyjemność i czy ją człowiek mieć powinien w strzelaniu na bliską metę do zwierzęcia, które nie jest ani groźnym, ani szkodliwym, ani dostarczażytków a wielkością swoją, zwłaszcza gdy nie ucieka, przedstawia cel, do którego trafienie nie jest żadną zasługą. Widocznie panu temu chodziło o dziecinną igraszkę, lub popisywanie się faktem.

Na pamiątkę polowania odbytego w r. 1860, znajduje się o dzie więć wiorst od Białowieży, przy trakcie białskim a przed bramą wiodącą do zwierzyńca pomnik okazały. Jest to śpiżowy żubr naturalnej wielkości, stojący na wyniosłym postumencie, okrytym odpowiednimi napisami. W dworcu zaś cesarskim w samej Białowieży, oglądaliśmy wydany przez akademię nauk w Petersburgu opis tego polowania z pięknymi litografiami. Jest tam i jakaś scena z naszej przeszłości, w której Polacy w kontuszach uciekają przed rozjątrzoną żubrem.

Zwierzyniec białowiezki, jest to wśród puszczy ogrodzona przestrzeń lasu, około pół mili długa i szeroka, podzielona wewnątrz na

trzy części, z których największa dla żubrów, najmniejsza dla dzików a średnia, najbardziej bagnista dla jeleni jest przeznaczona. Żubrów, dzików i jeleni znajduje się tu mniej więcej po sztuk dwadzieścia. Jeleni było więcej, ale wyniszczyły ich rysie, które są tém dla Białowieży, czém pantera w Indyach, tylko że w puszczy łatwiej i dawno powinny być już zatracone. Ryś nie rzuca się wprawdzie na żubra, łosia i dzika, ale drapieżnie napada na jelenia i sarnę, których jak mi tu mówiono, nie chwytą za gardło na wzór wilka, ale przyczepiwszy się do boku nieszczęsnej ofiary, wyrwa z niej wnętrzności.

Obejrawszy przy domu dozorca klatkę z orłem w puszczy schwytanym i jelenia dziwnie rozpieszczonego, który wychowawszy się wśród ludzi, przekłada ich towarzystwo nad leśne moczary, udaliśmy się w głąb zwierzyńca na odszukanie żubrów. Jakoż uszedłszy w kierunku wskazanym około ćwierć mili, ujrzelśmy stado tych zwierząt, pasących się na grzązkiej przegalinie. Było ich sztuk czternaście; kilku poważnych samców odróżniało się wielkością, obok matek chodziły jałowiaki, zdaje się dwuletnie. Zaledwie zdołaliśmy podejść na odległość stu kroków, gdy ostrożne żubry spostrzegłszy obecność naszą, wzięwszy młodzież między siebie, płochliwie w gęstwinę uciekać poczęły. Zwierz w klatce nie robi nigdy tego wrażenia, co w stanie dzikości. W menażeryi, jest on męczennikiem spekulacji pieniędzy; w dziewiczej puszczy tworzy dopiero obraz natury, tej natury czasów pierwotnych, ciekawej dla nas, bo zaginionej. Chwila w której zobaczyłem stado żubrów pasących się wśród odwiecznych łomów a później uciekających w popłochu w głąb tajemniczej gęstwiny, przeniosła mię w czasy dawne, kiedy cała kraina nasza była jedną puszcza Białowieżką a każdy człowiek łowcem zdobyczą żyjącym. W oczach stanęły mi cudne obrazy „Starój baśni,” której autor jest naszym najdzielniejszym malarzem zaginionej dzikiej przyrody. Z uprzejmym przewodnikiem, który mi w zwierzyńcu towarzyszył, popędziłem cwałem w stronę, gdzie znikły nam żubry. Około tysiąc kroków brnęliśmy po moczarach, przedzierali się przez gęstwinę, przeskakiwali barykady łomów lub po ślizkich obalonych kłodach przechodzili jak po moście grzązkie, czarne bagno leśne, ale żubrów darmo śledziłyśmy już okiem. Żubry lubią życie towarzyskie, a im w większym stadzie, tém są bojaźliwsze. Przeciwnie, matka z cielęciem zastąpiona w drodze, bywa niebezpieczną, bo ze szlachetną odwagą rzuca się rogami na człowieka lub zwierzę, które widzi przed sobą. Tak samo stare buhaje, które zazwyczaj chodzą pojedynkiem, nie zawsze ustępują z drogi ludziom pieszym i jadącym. Postać zwierzęcia jest wtedy dziwnie poważna, majestatyczna i groźna, ale spokojna zarazem. Czuje się ono jakby panem puszczy i ufa w swoją olbrzymią siłę, wyzywa do walki i oczekuje na stanowisku, ale jęj nie rozpoczyna. Biada, jeżeli zuchwały wół lub stadnik rasy domowej, wyzwanie to przyjmie, wtedy żubr, który nie ma zwyczaju uderzania łbem ani napierania, ale podnoszenia na rogach,

przerzuca najczęściej przeciwnika przez siebie. Za ludźmi, którzy zjedzą lub zjadą mu z drogi i ominą, zaledwie się raczy obejrzyć. Zwierrę to nigdy nie ryczy, tylko szukając stada, wydaje ponury mruk, który o kilkaset kroków dobrze słycać; gonione przez psa nastawia rogów, tak samo jak bydło domowe.

Z Białowieży udaliśmy się do puszczy Świsłockiej, od północschodu na prawym brzegu Narwi ciągnącej się. Bory w pobliżu Narwi są bardzo przetrzebione. Rzekę przejeżdża się niedaleko wsi Rudni, o półtoręj mili od jej źródeł. Narew mała i mętna, nie ma tu wcale tej sino-przezroczystej wody, którą w granicach Podlasia i Mazowsza odróżnia się od wszystkich większych rzek naszego kraju. Przy zakręcie drogi, za mostem, umieszczony jest kamień z napisem, oznajmijającym, że las, który się tu zaczyna, ma przestrzeni 21,808 dziesięcin (czyli 43,616 morgów nowopolskich, t. j. 1440 włók, a około pięciu mil kwadratowych). Puszcza Świsłocka, od r. 1831 przyłączona do Białowieży, a bogatsza od pierwszej w zwierzyń, zwłaszcza w łosie i sarny, przetrzebiona dziś srodze, należała dawniej do Tyszkiewiczów, którzy w pobliżkiej Świsłoczy słynne r. 1806 gimnazjum założyli i pod kierunek wszechznicy wileńskiej je oddali, przeniesione ztąd w r. 1845 na Żmujdz, do Szawel.

W lasach świsłockich przebywa siedmdziesiąt kilka żubrów, które z białowiezkami nie odwiedzają się podobno nigdy. Udaliśmy się do osady leśnej, zwanéj Żarszczyzną, gdzie mieszka strzelec, tudzież „stróż żubrowy,” znany pod nazwiskiem „Michasia Bołbota.” Osady takich strzelców i stróżów podobniejsze są do kolonii i folwarczków, niż zagród wiejskich. Każdy prawie ma kilkadziesiąt morgów pola wśród lasu, stado pięknego bydła, budowle obszerne i schludne. Ludzie ci pochodzenia miejscowego, lub w dawnych czasach z Podlasia i Mazowsza przybyli, wyznają po większej części wiarę katolicką, uprzejmiej powierchowności, dobrego wzrostu i silnego zdrowia, są w ogóle poczciwi, trzeźwi, gościnni i usłużni, tudzież nieinteresowni, może dlatego, że jeszcze nie zepsuci przez gości, których mała ilość zwiedza puszcę. W domu każdego można znaleźć samowar, cukier, świecę stearynową i czystą pościel. Kobiety pracowite i gospodarne, nie różnią się ubiorem od okolicznego ludu; mężczyźni zawsze ubrani skromnie, w kurty lub marynarki z siwego samodziału i czapkę z zielonym lampasem: posady swoje zajmują zwykle sukcesyjnie.

Udawszy się w głąb pięknego, liściastego lasu, nie uszliśmy więcéj nad tysiąc kroków, gdy przewodnicy ukazali nam legowisko dwóch żubrów. Czarna, pulchna ziemia, w cieniu odwiecznych lip i dębów, była racicami rozgrzebana dla zrobienia pewnej wklęsłości, w której odcisnięte były ciężary zwierząt, przed chwilą tu spoczywających. Milczkiem i chyłkiem pobiegliśmy za świeżym tropem. Strzelcy tutejsi trop ten w pierwszej chwili, po przejściu żubrów, umieją sami zwęszyć z powodu silnego odoru zwierzęcia; tym jednak razem był on nadto wi-

doczny na grzaskim czarnoziemiu. Tak podmykając się cichaczem, co nie było rzeczą łatwą dla znacznej ilości łamiących się pod nogami suchych gałęzi, ujrzelśmy nareszcie o kilkadziesiąt kroków dwa samce, które nie odczuwając naszej obecności, pały się swobodnie, oganiając chmury dokuczliwych komarów ogonem, który u żubra długi i gładki, kitą jest zakończony. Jeden z żubrów był stary, bo ogromny, drugi średni. Nie mogąc bliżej podejść, żeby nie spłoszyć, a pragnąc przypatrzeć się dokładnie, co w gęstwinie nie jest rzeczą łatwą, wysłaliśmy jednego przewodnika, aby zaszedłszy ze strony przeciwniej, nagonił żubry na nas: sami tymczasem stanęliśmy za drzewami. Po chwili, gdy strzelec to uczynił, dał się słyszeć nagły trzask gałęzi i tentent galopujących zwierząt, które rzuciły się w bok, przesadzając potężne łomy i bagniste parowy. Trzęsły się im w biegu grzywy i brody, a cały ten widok był dziwnie wspaniały i piękny. Czemuż malarze nasi nie zajądzą nigdy w te strony, aby podobne sceny i osobliwości natury odzwierciedlić. A byłyby rozmaite epizody. Oto np.: stróż żubrowy, ów Michaś Bołbot, spotkawszy się z groźnym „pojedyńkiem” oko w oko, cudem prawie uniknął śmierci, lub ciężkiego kalectwa, chowając się zręcznie dokoła drzewa, to rzuciwszy na rogi rozjuszonej bestyi torbę myśliwską, a gdy i to nie pomogło, upadł na ziemię. Żubr usiłując wziąć go na rogi, podarł na nim kurtę, ale podsadzić rogów tak nisko nie mógł i temu Bołbot zawdzięcza swoje ocalenie. Żubr, gdy widzi przeciwnika nie poruszającego się, mityguje swój gniew i opuszcza go wkrótce.

Aby najlepiej przypatrzeć się żubrom, należy udać się do puszczy w zimie, kiedy całe stada krążą przy szopach i stogach zbieranego dla nich siana. „Pojedynki,” zwłaszcza stare, trzymają się latem i zimą pewnych miejscowości, gdzie ich łatwo zejść i zblizka przypatrzeć się im można. Zdarza się, że gdy włościanie, zebrani w gromadę, odpędzają takiego żubra od swoich stogów, król Białowieży zniecierpliwiony, uderza na nich i zmusza krzykliwą gromadę do ucieczki, poczem znowu powraca poważnie do stogu. Niestety, nie zawsze ze strony włościan kończy się na krzyku.

Urządzenie puszczy Białowieżkiej i zabezpieczenie żubrów od zupełnej zagłady w przyszłości, wiele pozostawia do życzenia. Podług nas, puszcza cała ogrodzoną być powinna na zewnątrz, na co wystarczy tylko część łomów wewnątrz niej próchniejących. Dalej, wioski położone wśród lasów, przeniesione być powinny za ich obręb. Jeden i drugi środek, pociągając za sobą pewne koszty, przyniosłby także znaczne korzyści, bo najprzód pozwoliłby zmniejszyć dzisiejszą służbę leśną do trzeciej, lub czwartej części. Projekta te, dla niezających miejscowego położenia rzeczy, mogą się wydać zbyt śmiałe. Trzeba jednak wiedzieć, że żadna straż nie jest w stanie dopilnować włościan pośród puszczy mieszkających, aby potajemnej szkody w zwierzyńie i żubrach nie czynili, młodych żubrów, łosi i sarn nie chwytały, guiazd głuszców, cie-

trzewi i jarząbków nie wybierali. Ze wzrostem ludności w wioskach leśnych, ubywa wszelakięj zwierzyny w ostępach. Ztąd już dziś puszcza przestała słynąć obfitością zwierzyny, która przecież stały i znaczny dochód z tak wielkiej przestrzeni przynosić powinna, a nie przynosi. Jeżeli tak zostanie jak dziś, przyszłość smutny przedstawia widok. Niech choć jedna w Europie puszcza zostanie puszcza na wieki, a tak piękna i tak osobliwe posiadająca zwierzęta, ściągając może licznych z Zachodu turystów i dla krajowców być celem najmiłszych wycieczek, a nawet dla mieszkańców miast miejscem ożywczego wśród lata pobytu.

Jeżewo, w czerwcu, 1880 r.

PÍSMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

L. Strümpell, *Psychologische Pädagogik*. Lipsk. 1880.
str. VIII i 368.

Wiadomo dobrze, że nauka w gruncie rzeczy jest jedna, jak jest jeden świat, będący jój przedmiotem, jak jest jeden rozum będący jój narzędziem, jak jest jedna prawda, będąca jój celem. Podział jednéj powszechnéj nauki na mnogość pojedynczych nauk, jest tylko wynikiem ograniczoności naszego umysłu, który, nie mogąc wszystkiego objąć odrazu, rozdziela przedmioty budzące jego zajęcie na grupy i z każdéj wytwarza osobną dziedzinę badania i wiedzy. W skutek takiej specjalizacji, każda pojedyncza nauka wnika wprawdzie coraz głębiej w ów odłamek świata, będący wyłącznym przedmiotem jój poszukiwań; ale w niej tkwi zarazem i niebezpieczeństwo zbyt-niego rozerwania wewnętrznej spójni i jednolitości nauki, utraty świadomości o potrzebie połączenia specjalnych poszukiwań w jeden ogólny pogląd na świat, w jedną naukę. To niebezpieczeństwo ominąć można tylko wtedy, gdy obok analitycznej, rozbiorowéj pracy umysłu, obok specjalizacji naukowéj, należycie czynną będzie i praca syntetyczna, zbiorowa, wykazująca łączność między pojedynczemi odławkami wiedzy, składająca z nich ową jedność pojęcia i poglądu, która jest wymaganiem rozumu, bo wypływa zarówno z natury naszego umysłu jak i z realnych związków, wytwarzających z chaosu zjawisk: przedmiotów jeden świat rzeczywisty. To téż zdrowy instynkt logiczny, zachowuje zawsze w rozwoju umysłu ludzkiego i w historii nauki owę tak niezbędną równowagę pomiędzy temi dwoma czynnikami. Po dążności analitycznej, specjalizacyjnej, rozdrabiającej naukę na nauki i nauczki, występuje zawsze znowu dążność syntetyczna, zrywająca mury chińskie między różnemi naukami, wstrzymująca proces krystalizacji i mumifikacji pojęć przez wytworzenie nowych rozległych

zbiorników umysłowych, w których się łączą najróżnorodniejsze prądy myśli, równoważąc swoje treść bogatą.

Nie ulega już zapewne wątpliwości, że dzisiejsza nauka przebywa taki zwrot ku syntezie, że poczucie łączności nauk między sobą bierze górę nad łącznością specjalizacyjną. Nie ma wprawdzie mowy w dzisiejszej nauce o zrzeczeniu się badań specjalnych, pracy rozbiorowej, doprowadzonej nawet do możliwych granic; ale szczególnie sam przez się, specjalność jako specjalność, już nie budzi tego zajęcia, nie absorbuje umysłu do tego stopnia, jak np. przed dwudziestu, lub trzydziestu laty. Dziś specjalista nie bawi się już prostym opisem zjawisk, przedmiotów, lub faktów, nie widzi ideału nauki w nagromadzeniu wiedzy szczegółowej. Zastosowanie praw ogólnych do badanej specjalności, lub też odwrotnie, wyprowadzenie takich praw ogólnych z rozbioru szczegółowych objawów: oto główna, a właśnie syntetyczna tendencya dzisiejszych specjalistów. Najdobitniejszymi zaś objawami tej syntetycznej dążności w zakresie nauk specjalnych, są owe ogólne teorie dzisiejszego przyrodoznawstwa, jak np. teoria rozwoju, jedności sił i t. p., jednoczące ze sobą takie nauki i badania, które jeszcze przed niedawnym czasem wyłączały się nawzajem dla braku wspólnej treści. Dziś między fizyką i chemią, między botaniką i zoologią, między całym przyrodoznawstwem i historią, psychologią, etyką i estetyką, odnaleziono pewne punkta styczne, o których dawniej nikomu się nie marzyło, albo właściwiej: które dawniej nazwano marzycielstwem, gdy przed zapanowaniem tendencji analitycznej, na początku naszego wieku jako pomysły filozoficzne występowały.

Równie charakterystycznym objawem owej tendencji syntetycznej jest nacisk, jaki najnowsza nauka kładzie na zbadanie, że tak powiem, pogranicznego pasu między różnymi naukami, w celu usunięcia sztucznych przegród i zawiązania węzłów wspólności między temi naukami. Nowsze czasy stworzyły cały szereg nauk poświęconych owym objawom pośredniczącym, należącym dotąd do dwóch odrębnych dziedzin wiedzy. Fechner opracował w roku 1860 swoją Psychofizykę, a później ogłosił pierwsze badania z zakresu eksperymentalnej estetyki. Wundt wydał psychologią fizyologiczną, a Lazarus i Steinthal położyli fundamenta do psychologii narodów, pośredniczącej pomiędzy etnologią i zwykłą psychologią; inni wyszukiwali wspólności między etyką, a w ogólności między nauką o społeczeństwie i ogólnymi prawami przyrody i mówili o socyalnej fizyce i t. d. Takięto tendencyi syntetycznej, takiemu przeświadczeniu o potrzebie zbliżenia do siebie różnych dziedzin wiedzy, przez wypełnienie luk rozdzielających je dotąd, zawdzięcza swe istnienie i Psychologiczna pedagogika, znanego myśliciela ze szkoły Herbarta, Ludwika Strümpell, byłego profesora uniwersytetu dorpackiego, a obecnie profesora w Lipsku. W obec doniosłości tak owej ogólnej tendencyi nau-

kowej, jak i specjalnego przedmiotu tego dzieła, pragniemy zdać tutaj krótką sprawę z jego treści i z jego rysów charakterystycznych.

W przedmowie autor określa psychologiczną pedagogikę jako naukę, mającą za przedmiot umysłowy rozwój dziecka w zastosowaniu do celów wychowawczych. Autor pragnął, jak mówi, przyczynić się do postępu pedagogiki, zaszczipiając do niej zarówno ogólne zasadnicze prawdy psychologii, jak i niektóre szczegółowe jej nauki, ściśle połączone z zadaniem wychowania. Spodziewa się bowiem, że w skutek takiego połączenia pedagogiki z psychologią i praktyką wychowawczą postąpi naprzód, bo rozdział między teorią pedagogiczną i samem wychowaniem, usunięty być może tylko przez wszechstronną znajomość psychologicznych praw rozwoju umysłowego i przez zastosowanie tych praw do celów pedagogicznych. Wreszcie w owem połączeniu dwóch dziedzin wiedzy, psychologii i pedagogiki, widzi autor najskuteczniejszy środek faktycznego przezwyciężenia wszelkiego materyalizmu, wszelkiego fizykalnego, jak mówi, traktowania pierwiastku duchowego. Nigdzie, mówi autor, nie występuje bardziej na jaw istnienie obok psychicznego mechanizmu i innych, ten mechanizm przewyższających psychicznych czynników, jak właśnie przy badaniu stopniowego rozwoju umysłu dziecięcego. Badanie to zatem ma sposobność zamiast prostego zaprzeczenia materyalizmu, do niczego nie doprowadzającego, pozytywnie wykazać jego niedostateczność przy wyjaśnieniu praw życia umysłowego.

Z powyższego określenia i głównych dążeń autora, wynika, że dzieło jego ma przeważnie charakter psychologiczny. Właściwie powiedziawszy, nie jest to psychologiczna pedagogika, lecz pedagogiczna psychologia; odcień myśli dość wyraźny, bez rozleglejszych objaśnień. Takie zastosowanie psychologii do pedagogiki, istnieje wprawdzie już oddawna; autor sam o tém wspomina, ale ono nie było przedmiotem specjalnych poszukiwań, lecz opierało się zazwyczaj na dość wątych rezultatach popularnej psychologii. Przedsięwzięcie zatem prof. Strümpfla naukowego obrobienia owiej dziedziny pojęć, pośredniczącej między psychologią i pedagogiką, pełne jest prawdziwej doniosłości i zapewne nie pozostanie bez wpływu na przyszłość.

Rozpoczynając w ten sposób owe nowe specjalne badania, autor zdaje sobie jasną sprawę zarówno z ich trudności jak i z rozległości ich przedmiotu. Trudność tkwi głównie w braku ustalonych i powszechnie przyjętych teorii psychologicznych, który tém jest dotkliwszy, im rozleglejszy jest zakres samego badania. Autor zaznacza, że wyczerpujący pogląd na przedmiot wymagałby równie uwzględnienia rozwoju umysłowego dziecka, ze stanowiska wykształcenia rozsądku, w ogóle myśli, jak i ze stanowiska stopniowego wyrobienia estetycznej, moralnej i religijnej strony jego ducha. Żeby zaś zbytnio nie rozszerzać ram swej pracy, autor nateraz ograniczył się tylko na pierwszym z powyższych przedmiotów, to jest na rozwoju myśli, inteligencji dziecka, pozostawiając przyszłości uzupełnienie tego przedmiotu przez pogląd na roz-

wój sfery uczuciowej i moralnej. Nie podlega wprawdzie wątpliwości, że rozwój myśli jest główną podstawą i niezbędnym środkiem dla rozwoju innych stron ducha dziecięcego; pomimo to jednak, pominięcie wychowawczej doniosłości i psychologicznych podstaw uczuciowego rozwoju dziecka, wywierającego tak silny wpływ na kierunek jego myśli i w ogóle tak niezbędnego dla wyrobienia harmonijnej osobistości, nadaje dziełu prof. Strümpła charakter urywkowy, fragmentarny. Nader ważne kwestye pedagogiczne, a może właśnie najważniejsze z tych kwestyi, które w oczach praktycznego pedagoga wymagałyby nade wszystko psychologicznego rozjaśnienia, jak np. kwestye dotyczące osobistych stosunków między wychowawcą i wychowancem, miłości i szacunku, posłuszeństwa i samodzielności, nagrody i kary; dalej wszystkie kwestye estetycznego, moralnego i religijnego wykształcenia, pozostały w skutek powyższego ograniczenia przedmiotu bez należytego uwzględnienia. Jednostronny intelektualizm, charakteryzujący zresztą całą psychologią Herbartą, która wszystkie objawy duchowe wyprowadza z samej tylko myśli i wyobrażeń (Vorstellungen); jest tedy i znamieniem zarówno pedagogicznych jak i psychologicznych poglądów niniejszego dzieła.

Zaznaczywszy przedmiot i ogólny charakter pracy na zasadzie wstępnych uwag autora, zastanowimy się teraz nieco bliżej nad jej treścią szczegółową.

„Psychologiczna pedagogika” prof. Strümpła nie jest dziełem systematycznym w zwykłym pojęciu tego słowa; nie obejmuje swego przedmiotu z jednego jasno oznaczonego punktu widzenia i nie rozdziela go na części składowe według jakiegóś z góry oznaczonej zasady. Mając przedewszystkiém na oku rozjaśnienie różnych kwestyi psychologicznych, będących podstawą zarówno teorii jak i praktyki pedagogicznej, dzieło to składa się z szeregu monograficznych rozpraw psychologicznych, zdolnych obudzić żywsze zajęcie pedagoga. Każdy rozdział stanowi właściwie odrębną w sobie całość, łączącą się z innemi tylko luźnie w skutek powyższej ogólnej tendencji autora. Takich rozdziałów jest 26, które co do swój treści mogą być rozdzielone na następujące główne grupy.

Pierwsze dziesięć rozdziałów (str. 1—116), mając za przedmiot kwestye zasadnicze z zakresu psychologii, zaznaczają ogólne filozoficzne i psychologiczne stanowisko autora. Mówi on tutaj o różnicy duszy i ciała, o znaczeniu wrażeń zmysłowych przy wytwarzaniu pojęć o świecie zewnętrznym, o różnicy stanów czuwania i snu, świadomości i bezświadomości, o głównych psychicznych podstawach powstawania, rozwoju i łączności wyobrażeń i wreszcie o różnicy, zachodzącej między psychicznym mechanizmem i wyższą psychiczną przyczynowością (psychische Causalität), regulującą rozwój i łączność wyobrażeń według pewnych norm czyli prawideł, kierujących mechanizmem psychicznym.

We wszystkich wywodach dotyczących powyższych kwestyi, autor, jako uczeń Herbarta i jeden z najznakomitszych przedstawicieli jego szkoły, zajmuje stanowisko owego filozoficznego realizmu, dla którego świat składa się z pewnego rodzaju psychicznych atomów, czyli monad (das Reale Herbarta), podlegających wskutek wzajemnego na siebie działania wewnętrznym procesom, nazywanym wyobrażaniem czyli myśleniem (das Vorstellen). Samodzielna zaś i oryginalna teoria Strümpfla, charakteryzująca cały jego pogląd psychologiczno-pedagogiczny, zaczyna się dopiero od rozbioru ostatniej z pomienionych kwestyi, to jest kwestyi o różnicy między psychicznym mechanizmem a wyższą psychiczną przyczynowością. Szczegółowemu wyjaśnieniu tej różnicy ze stanowiska stopniowego rozwoju duszy dziecięcej, z uwzględnieniem warunków pedagogicznych tego rozwoju, poświęcone są dalsze rozdziały dzieła, aż do 16-go (str. 116 do 234); stanowią one najbardziej zajmującą część pracy, godną bliższego zastanowienia.

Zagłębiając się w treść naszego życia wewnętrznego, możemy według Strümpfla jasno rozróżnić trzy główne warstwy (Schichten) objawów duchowych, posiadających swój odrębny charakter tak ze względu na udział świadomości w ich treści, jak i ze względu na prawa określające ich ruch i działanie. Do pierwszej najniższej warstwy należą wszelkie wyroby wrażeń zmysłowych, osiadłe na dnie naszego jestestwa. Wrażeniami zmysłowymi życie psychiczne się rozpoczyna; z nich wytwarzają się pierwsze nasze poglądy na rzeczy zewnętrzne i na nas samych; one podlegają zupełnie procesom przyrodzonym prawom mechanicznym, określającym ich związki i działanie na siebie. Z nich wyrabiamy wprawdzie następnie pojęcia abstrakcyjne, unoszące się nad tym pierwszym surowym materiałem psychicznym, ale on sam istnieje w nas i żyje swoim własnym życiem, znajdując swój dobitny wyraz w owym bezpośrednim, tylko przypadkowo, pod wpływem nowych wrażeń do świadomości dochodzącym zmysłowym poglądzie duszy naszej na świat, będącym punktem wyjścia dla wszelkich dalszych procesów psychicznych. Druga warstwa objawów psychicznych, składa się już z myśli i wyobrażeń bardziej ulotnych, oderwanych, pozostających jednak zawsze jeszcze w związku z ową warstwą dolną wrażeń zmysłowych. Tu należą wytwory naszego zastanowienia nad bezpośrednim, zmysłowym poglądem na rzeczy, wszelkie nasze potrzeby, zamiary, plany, obawy, pragnienia dotyczące owego zmysłowego poglądu i zmierzające do czynnego przekształcenia jego treści. Trzecia, na koniec, najwyższa warstwa objawów psychicznych obejmuje w sobie, według Strümpfla, wszystkie te myśli, uczucia i dążności, które, oderwawszy się już zupełnie od sfery zmysłowej, zajęte są wyłącznie swoją własną treścią. Tutaj ma miejsce najwyższe uduchowanie wewnętrznego życia, oddanie się świadomości swym polem myśli bez wszelkiego względu na niższe warstwy życia psychicznego. W tej najwyższej warstwie znajdują się i artysta i poeta w chwili twórczości, myśliciel zatapiający się w zasadnicze prawdy filozoficzne,

matematyk, rozbierający zawiłe zagadnienia swęj nauki, moralista, dochodzący wymagań moralnej działalności, pobożny w chwilach religijnej kontemplacji.

Otóż według Strümpfla, tylko pierwsze z tych warstw psychicznych podlega bezwzględnie prawom mechanicznym, podczas gdy obie wyższe warstwy, na podstawie i przy ciągłym współdziałaniu psychicznego mechanizmu wyzwalają się coraz bardziej z pod jego panowania i wytwarzają nowe samodzielne prawa ruchu psychicznego, nową wyższą przyczynowość życia wewnętrznego. Ten proces zaś wyzwala się świadomości z pod bezwzględnego panowania mechanizmu i wytwarzania nowych czynników, przewyższający jego prawa, Strümpell objaśnia w sposób następujący:

Póki nasze wyobrażenia nie posiadają żadnej innej treści, prócz téj, którą przejmują ze świata zewnętrznego, t. j. póki obiektywność stanowi ich wyłączny charakter, dopóty z natury rzeczy ich ruch i związki podlegają ogólnym prawom ruchu, właściwym całej przyrodzie. t. j. prawom mechanicznym. Przy takim stanie rzeczy, myśli, będąc wytworami obcych czynników, zależą téż w swém działaniu od tych obcych czynników, nie posiadają jeszcze żadnej samodzielnej siły, zdolnej przewyżżyć ruch mechaniczny i pokierować nim według swojej własnej treści. Z chwilą zaś, gdy myśl przestaje być obiektywnym wynikiem obcych czynników, gdy dorabia się własnej samodzielnej treści, natenczas już nie ulega biernie prawom mechanizmu, lecz sama przyjmuje czynny udział w swym rozwoju i treścią swoją wpływa na swój samodzielny ruch, krzyżując się nader często z tendencją do prostego mechanicznego połączenia się z innymi myślami. Takiej zaś siły czynnej nabiera myśl, wyobrażenie, według Strümpfla, wtedy, gdy się łączy ze świadomością swęj wewnętrznej wartości, gdy przestaje być dla nas prostym obojętnym faktem, a budzi osobiste zajęcie i wywołuje subiektywną ocenę swęj treści. Wtedy owa świadomość wewnętrznej wartości téj lub owęj myśli, rozbudza uszpioną energią duszy i nagli ją do rozwoju myśli według wymagań jęj wewnętrznej wartości z usunięciem związków czysto mechanicznych, nieuwzględniających téj treści wewnętrznej. W ten sposób wyradza się, według Strümpfla, ponad psychicznym mechanizmem sfera objawów duchowych, która podlega prawom odrębnym, określonym przez wartość wewnętrzną swych objawów i zawładnięta mechanizmem psychicznym w miarę rozwoju subiektywnego poczucia owęj wartości wewnętrznej. Tylko dzięki temu procesowi uświadomienia wartości naszych myśli, powstaje w naszej duszy prawdziwość logiczna, estetyczna i moralna, w ogóle prawdziwość rozumowa, różna i wyższa od prawdziwości mechanicznej zwykłych procesów psychicznych. Ta prawdziwość wyższa nie kontentuje się już treścią faktyczną, tém co jest, lecz wskazuje na to, co być powinno i przekształca faktyczność według tych pojęć wartościowych, idealnych, według tego, co logiczne, estetyczne lub moralne być powinno.

Dla uprzyśtępnienia powyższego procesu, Strümpell przeprowa-

dza analogią między owym rozwojem życia duchowego od faktycznej umysłowości do samodzielnego kierownictwa myślą i rozwojem przyrody od świata nieorganicznego aż do człowieka. I tutaj, w rozwoju powszechnym rozróżnić można owe trzy warstwy zasadnicze, które się w odmienną tylko formie objawiają w rozwoju życia duchowego. Świat nieorganiczny, a szczególnie twarda skorupa ziemi jest ogólną i niezbędną podstawą dla wszelkich dalszych procesów przyrody, podobnie jak warstwa zmysłowa w duszy staje się podścieliskiem wyższych objawów psychicznych. Na skorupie ziemi, poddanej wyłącznie prawom mechanicznym, wyradzają się lżejsze i samodzielniejsze, niby bardziej oderwane formy życia organicznego, rośliny, zwierzęta i człowiek. W nich objawiają się już zawiązki wyższej prawidłowości, wyzwalającej się z pod bezwzględnego panowania mechanizmu. Samodzielny ruch istot organicznych jest tego dowodem. Ale najwyższy objaw usamowolnienia przyrody napotykamy dopiero w działalności ucywilizowanego człowieka, który według sfery potrzeb, pomysłów i idei przeistacza skorupę ziemi i korzysta z praw mechanicznych dla urzeczywistnienia swoich samodzielnych celów. Odpowiada to właśnie ową trzecią najwyższą sferze życia psychicznego, przekształcającej warstwy niższe według swojej logicznej, estetycznej i moralnej prawidłowości.

Teorya ta o stopniowym wyzwoleniu się myśli z pod praw mechanizmu psychicznego i dorobienia się autonomii w skutek świadomego pojęcia swęj wewnętrznej wartości jest osią, około której obracają się wszystkie inne psychologiczne i pedagogiczne poglądy autora, wyłożone w niniejszem dziele. Nie będziemy się tutaj wdawali w rozbiór krytyczny tej teoryi; nie będziemy się pytali, jak się ta teorya pogodzić może z ogólnymi zasadami Herbartowskiej psychologii, która i do najwyższych objawów myśli stosuje prawa mechaniczne; nie będziemy wreszcie rozbierali kwestyi, w jaki sposób myśl sama przez się, jako izolowany objaw życia wewnętrznego, zdolną jest własną siłą wyłamać się z pod praw mechanicznych i stać się samodzielnym czynnikiem prawodawczym, jeżeli ta wyższa prawidłowość nie tkwi w samej organizacyi umysłowej człowieka na równi z prawami mechanicznymi, czego Strümpell nie dopuszcza, wychodząc z przesłanek Herbartowskiej psychologii: jednem słowem—nie będziemy się zastanawiali nad metafizycznymi podstawami tej teoryi, dotkniętymi zresztą tylko pobieżnie i przez samego autora, lecz podniesiemy stronę faktyczną tej teoryi i jej znaczenie pedagogiczne. A pod tym względem wywody prof. Strümpella zasługują na sumienne uwzględnienie i wszechstronne zastosowanie do praktyki wychowawczej.

Sam fakt różnicy między mechaniczną prawidłowością i prawidłowością idealną, wartościową w następstwie i rozwoju myśli, nie może podlegać wątpliwości dla psychologa, opierającego się na wewnętrznej obserwacyi i stawiającego jej wyniki ponad wszelkie z góry powzięte teorye. Psycholog nie powinien przystępować do swego

przedmiotu z gotową teorią, idealistyczną czy empiryczną, z przekonaniem bądź o wolności, bądź o mechanicznej konieczności objawów duchowych; lecz przede wszystkim powinien badać same te objawy i określać ich cechy charakterystyczne. A wtedy z pewnością nie ujdzie jego uwadze owa różnica między mechanicznym, od naszej świadomości niezależnym następstwem myśli, podlegającym prawom biernej assocyacji, a następstwem wyższym, odrębnym, mającym miejsce wtedy, gdy myśli nasze podlegają kierownictwu świadomej celowości, pojmującej doniosłość swjej treści i kontrolującej pochod myśli ze stanowiska tej treści. Jestto różnica między ściśle logicznym następstwem, nazywanym ze stanowiska logicznego przypadkowym, chociaż naturalnie podlega także pewnym prawom assocyacji, ale nie assocyacji logicznej, lecz psychiczno-mechanicznej. Jestto różnica między twórczością poetyczną, poddającą wszystkie szczegółowe momenty swego działania pewnej przewodniej idei, a połączeniem pierwiastków fantazyjnych, bez owjej myśli przewodniej, t. j. połączeniem, przedstawiającem się w oczach krytyka estetycznego, jako wytwór bezmyślnej dowolności, chociaż i tutaj działają prawa psychiczne biernej assocyacji. Jestto nakoniec różnica między działalnością człowieka, przejętego pewnymi zasadami moralnymi, a sprzeczną w sobie i chwiejną praktyką człowieka, ulegającego bezpośredniemu popędowi swjej natury, pozbawionych wartości moralnej. Tę to właśnie różnicę między dwoma zupełnie różnymi szeregami objawów psychicznych ujął Strümpell nie poraz pierwszy, bo ona dobrze znaną była i przed nim, ale z taką jasnością i psychologiczną dokładnością, że wyłożone przez niego cechy charakterystyczne każdego z tych szeregów powinny być uznane za stały nabytek psychologii. Pojęcie wartości wewnętrznej, nadawanej świadomie pewnym myślom, jest w samej rzeczy znamieniem rozróżniającem prawidłowość ideaalną, logiczną, estetyczną i moralną, w ogóle rozumową naszego ducha od prawidłowości mechanicznej, łączącej ze sobą obojętne wielkości psychiczne, mające tylko znaczenie obiektywnego faktu, bez wszelkiej świadomości, subiektywnej oceny ich treści. Gdyby nie obawa nieporozumień, tak łatwych przy objaśnianiu faktów psychologicznych, można by powiedzieć, że owa wyższa rozumowa prawidłowość, o której mówi Strümpell, jest wpływem osobnej władzy sądzenia naszego ducha, różniąca się od władzy prostego przejmowania i kombinowania wrażeń i myśli; bo świadomość wartości jakiejś treści jest zawsze wynikiem zastanowienia się nad tą treścią, znajdującego swój wyraz w sądzie o niej. Ale jest to tutaj kwestya uboczna, gdy mamy do czynienia z samym faktem, a nie z jego wywodem z pewnych zasad psychologicznych. Co zaś do faktu tego dodamy tu tylko jeszcze, że takowy na podstawie powyższych ogólnych znamion szczegółowo autor opisał i scharakteryzował, szczególniej w 11, 12 i 18 rozdziałach dzieła.

Jako przejście od powyższej teoryi psychologicznej do wnios-

ków pedagogicznych, wyłożonych w ostatnich ośmiu rozdziałach (str. 234 do 368), służy autorowi pogląd na stopniowy rozwój umysłu dziecinnego. Pogląd ten łączy się bezpośrednio z treścią tej teorii, i dlatego w krótkich słowach objaśnić go można. Zaznaczyć jednak należy, że autor bardzo słusznie poświęca temu przedmiotowi szersze wywody w kilku rozdziałach (13 do 17-tu), zawierających w sobie wiele nader pouczających uwag z zakresu psychologii i pedagogiki. Dotknijmy tu z natury rzeczy tylko przedmiotów najważniejszych.

Wiadomo, że oddawna upatrywano jedną z najważniejszych różnic między człowiekiem i zwierzętami w tej okoliczności, że zwierzęta pozbawione są postępu umysłowego, możliwości wykształcenia swych zdolności i podniesienia się na wyższe szczeble rozwoju, gdy tymczasem człowiek, kształcąc się, postępuje naprzód, ma historią i dobiega się coraz wyższej doskonałości. Różnicę tę Strümpell rozjaśnia bliżej i sprowadza do miary, odpowiadającej wynikom nowszej psychologii porównawczej ¹⁾. Różnica, mówi on, nie polega na tém, że zwierzęta nie postępują, że nie mogą być wykształcane, bo fakty dowodzą tej możliwości; lecz różnica polega na tém, że zwierzęta nigdy nie są zdolne same dalej się kształcić, gdy tymczasem człowiek, doprowadzony do pewnego stopnia rozwoju przez innych ludzi, już dalej sam własnymi zasobami umysłowymi postępuje i w różnych kierunkach się udoskonala. Zdolność kształcenia się (Bildsamkeit) człowieka jest zatem innej natury, może go doprowadzić do wyzwolenia się z pod obcych wpływów i do podniesienia samego siebie na wyższe szczeble umysłowego rozwoju, gdy tymczasem rozwój zwierzęcia zawsze zależnym jest od obcych czynników i własnymi zasobami nigdy dalej postąpić nie może. Na podstawie subtelного porównania wykształcalności dziecka i zwierzęcia, Strümpell wykazuje bliżej czynniki psychiczne, będące przyczyną tej wyższości człowieka. Objawiają się one już w najpierwotniejszych procesach psychicznych. Dziecko zachowuje się względem wrażeń zmysłowych z większym spokojem i dłużej się nad niemi zastanawia, w skutek czego niewątpliwie jego wyobrażenia zmysłowe nabierają większej jasności i dokładniej się między sobą rozróżniają. Dalej dziecko uzupełnia każde nowe wrażenie własnym dawniejszym zasobem myśli i przez to nie odrywa się od bezpośredniej siły chwilowego wrażenia i zaczyna wytwarzać pojęcia ogólne. W sferze działania, naśladownictwo dziecka nie jest mechaniczném, jak u zwierzęcia, lecz łączy się z pojęciem o znaczeniu naśladowanych ruchów, a to pobudza je do samodzielnych prób i natężeń, których u zwierząt nie napotykaamy. Z tą samodzielnością ruchów łączy się z czasem chęć użytkowania ich według swoich zamiarów i myśli, a zatem kierowania ruchami według wyższych czynników psychicznych, z czego wyradza się nastę-

¹⁾ W r. 1878 ogłosił Strümpell w tym przedmiocie osobną rozprawę p. t.: „Die Geisteskräfte des Menschen, verglichen mit denen der Thiere,“ wykazującą niedostateczne uwzględnienie psychologii w teorii Darwina.

pnie poczucie odpowiedzialności za dokonane czyny i ocenienie wartości tak samych czynników, jak i zamiarów i środków. Wszystkie zaś te czynniki wyższej wykształcalności dziecka w porównaniu ze zwierzęciem, polegają właśnie na wytworzeniu się w umyśle jego owęj nowęj rozumowęj prawidłowości (logicznęj, estetycznęj i moralnęj), która, zawiadniając coraz bardzięj prawidłowością psychicznego mechanizmu, staje się głównęm źródłem umysłowęgo rozwoju i wykształcenia dorastającęgo człowieka.

Liczne wnioski pedagogiczne, wyprowadzone przez autora z powyższych poglądów psychologicznych, można sprowadzić do następujących główniejszych punktów.

1. Zadanie wychowania i nauczania polega z psychologicznęgo punktu widzenia na tęp, aby z jednęj strony ułatwić dziecku zapanowanie nad psychicznęm mechanizmem przy pomocy poczucia wewnętrznęj wartości wytwarzających się w nięp myśli, a z drugięj strony, aby doprowadzić te zasoby umysłowe dziecka do takięj samodzielności, żeby się same, przy ciągłym współdziałaniu psychicznęgo mechanizmu, dalej rozwijać mogły w kierunku oznaczonym przez ową wartość wewnętrzną wyrobów psychicznych.

2. Głównęm środkiem rozwiązaniana powyższęgo zadania jest wdrożenie umyślu dziecięgo do łączenia wyobrażeń i myśli—nie według bezpośrednięj mechanicznęj asocjacji, lecz według pewnych norm wartościowych, idealnych, wypływających z odpowiednięgo pojęcia treści tych myśli.

3. Ów proces usamowolnieniana umyślu dziecięgo, wyzwoleniana go z pod bezwzględnięgo panowaniana mechanizmu, nie powinien opierać się na żadnym, z góry powziętęm schemacie, ani na żadnych apryorycznych zasadach wychowawczych, lecz uwzględnić winien daną indywidualność dziecka i działać na nią we wskazanęm kierunku, na podstawie sumiennęgo wnিকnięcia zarówno w ogólną istotę wskazanych procesów psychicznych, jak i w modyfikację, którym te procesa w szczególowęm wypadku podlegają.

4. Już w sferze czysto zmysłowęj, w sferze wrażeń i wyobrażeń zmyslowych, należy wyrabiać w dziecku ową idealną prawidłowość, niezbędną dla osiągnięcia celów wychowania. Należy tu najprzód poddawać pod taką prawidłowość wrażeniana przyjemności i nieprzyjemności, rozkoszy i bólu. Przyuczać dziecko wedle potrzeby do wytrzymalności bólu i do wyrzeczenia się przyjemności. Jestto pierwszy początek poddania procesów faktycznych normom rozumowym. Dalej należy skorzystać z przyrodzonej dążności zmysłowęj wyobraźniana do personifikacji i antropomorfizmu, aby wyrobom tego rodzaju nadać treść i wartość wewnętrzną, rozwinąć przy ich udziale zawiązki uczuć sympatycznych i zaszczerpić upodobanie estetyczne. Wreszcie ruchliwość mechaniczną dziecka należy wczesnie poddawać pod władzę jego woli i następnie pod kierownictwo pewnięj celowości.

5. Wspólnie z powyższemi czynnikami wyrabia się w dziecku

poczucie logicznej prawidłowości. Ona nie może być zaszczeploną w umysł dziecięcy przez abstrakcyjne wywody, lecz wyłącznie przez logikę faktów, działających na dziecko. Ta logika faktów powinna się już przejawiać we wszystkich działaniach, mających na oku wykształcenie sfery zmysłowej. Nadto należy przy pomocy faktów, t. j. za pośrednictwem metody pogładowej, rozbudzić działanie samodzielnej celowej uwagi, doprowadzającej do pojęcia podobieństwa i tożsamości, różnicy i sprzeczności między przedmiotami, jej związków i rozkładu na części, ich wielkości i wielości, stosunków przyczynowych i t. p. Na podstawie takich danych wyrabia się powoli uogólnianie wyobrażeń zmysłowych, powstają pojęcia, sądy i wnioski. Przytęm świadomość zależności wszystkich tych procesów od faktycznej rzeczywistości, od tego, co jest, czego zmienić nie można i samowolnie zmienić nie należy, staje się podstawą dla wyrobienia poczucia prawdy, tak niezbędnego dla rozwoju w umyśle dziecięcym, zarówno prawidłowości logicznej, jak i moralnej.

6. Zwykła metoda pogładowa wpada, według prof. Strümpfla, w jednostronność, kształcąc prawie wyłącznie tylko zmysł spostrzegawczy dziecka, bez zwrócenia należytej uwagi na rozwój władzy sądzenia, na wyrobienie logicznej prawidłowości, oceniającej spostrzegane przedmioty ze stanowiska ich wartości logicznej, estetycznej i moralnej. Wskutek takiej jednostronności, dziecko zbyt łatwo kontentuje się powierzchownym, zmysłowym wyobrażeniem o rzeczy, zamiast wnikać w jej treść wewnętrzną. Metodę pogładową należy tedy uzupełnić szerszym uwzględnieniem logicznej prawidłowości, wynoszącej się ponad surową, zewnętrzną faktyczność.

7. Wykształcenie sfery etycznej dziecka łączyć się winno z pierwszemi działaniami na wyrób jego zmysłowych wyobrażeń i jego logiczności. Zawiązki moralne przejawiają się już bezpośrednio w zmysłowej wytrwałości, we wzruszeniach sympatycznych, w poczuciu prawdy i t. p. Wszystkie te czynniki już wpływają na kształcenie woli, jako psychicznej podstawy działalności moralnej i etycznego charakteru. Do tego dodać należy, jako dalsze środki: nawyknienie do natężeń i wyrób siły fizycznej, wymaganie posłuszeństwa, zaszczeplenie poczucia sprawiedliwości, wdzięczności i szacunku, wstrzymanie tak częstej u dziecka chęci zemsty, rozwój pojęć własności i praktycznej mądrości, wreszcie przekształcenie antropomorfizmu na rozumną wiarę religijną i uwielbienie dla Ducha Najwyższego.

8. Do całej powyższej działalności wychowawczej przyłącza się z czasem w miarę rozwoju umysłu dziecięcego i nauczanie, jako jeden z najskuteczniejszych środków dla osiągnięcia celów wychowania. Autor poświęca osobne rozdziały nauce mówienia i pisania, nauce języka i innych przedmiotów, zajmując jednak przede wszystkim stanowisko psychologiczne, niż ściśle dydaktyczne. Pod względem praktycznym autor dochodzi w tej sprawie do następujących wniosków. Dwa są główne cele nauczania: 1) podanie uczniowi dokładnych wy-

obrażeń z zakresu przyrody i ducha i usystematyzowanie tych wyobrażeń według pewnych pojęć ogólnych, i 2) zastosowanie do tego materiału wiedzy—prawa przyczynowości, dla wyrobienia samodzielnego zastanowienia się ucznia nad przedmiotami. Ten ostatni cel jest dla autora najważniejszym, a pierwszy ma dla niego tylko o tyle racją bytu, o ile jest niezbędną podstawą dla osiągnięcia drugiego. Stosownie do tego, Strümpell gani zwykły sposób nauczania, mający bardziej na oku pierwszy, niż drugi z powyższych celów. Nauka języków i historii, oraz wiadomości z zakresu nauk przyrodzonych, powinny, według jego zdania, zwracać uwagę ucznia bardziej na treść psychologiczną, etyczną i logiczną tych przedmiotów, niż na sam zewnętrzny, faktyczny materiał. Tylko w takim razie nauczanie staje się pomocą do wyrobienia w uczniu owęj wyższej rozumowéj prawidłowości, która wiedzy ludzkiej nadaje dopiero wartość prawdziwą i wskazuje drogę do dalszego samodzielnego kształcenia się umysłu.

9. Łącząc w sobie racjonalnie powyższe dwa cele, nauczanie rozwinać winno w uczniu taki zasób treści umysłowój, jaki jest niezbędnym dla osiągnięcia dojrzałéj samodzielności umysłu. Zasób ten przy danych warunkach wykształcenia powinien obejmować następujące momenta: 1) pewną sumę dokładnych i ścisłych wiadomości z zakresu faktycznéj rzeczywistości; 2) pojęcie prawd matematycznych w zakresie potrzebnym dla zrozumienia ilościowych, przestrzeniowych i czasowych stosunków rzeczywistości; 3) pewien logiczny szereg ogólnych pojęć dla należytego ukłasyfikowania wyobrażeń szczegółowych i uprzytomnienia sobie ich wewnętrznej spójni; 4) znajomość zasadniczych praw przyrody; 5) znajomość głównych objawów psychicznych (klasyfikacją takowych podaje autor na str. 349) i praw, które niemi rządzą i nakoniec 6) szereg pojęć filozoficznych, zdolnych objąć całość i wewnętrzną, rozumową prawidłowość świata.

Oto w najgłówniejszych zarysach ogólny charakter, treść teoretyczna i wnioski praktyczne pedagogiki psychologicznój profesora Strümpela. Nie wątpimy, że zwrócenie bliższej uwagi na to pouczające dzieło zajmie wszystkich, którym nie są obce sprawy ducha ludzkiego i jego wykształcenia. Dla zamknięcia zaś naszego sprawozdania, dodamy tylko jeszcze, że nadzwyczajny spokój rozumowania, ścisłość argumentacji i duch bezstronności, wolny od wszelkich, z góry powziętych uprzedzeń, mając na oku wyłącznie prawdę, dobro i postęp nauki, wynosi to dzieło wysoko ponad zwykłe objawy literatury pedagogicznój. Czytelnik nie znajdzie tu wprawdzie ani rozległych wywodów historycznych, ani polemiki z inaczej myślącymi, ani wreszcie całego tego balastu surowego materiału, który tak często obciąża prace naukowe nowszych czasów. Sam na sam będąc z autorem, z jego własną myślą, czytelnik początkowo, nie bez pewnego natężenia, wżyć się musi w jego odrębny sposób zapatrywania się na świat i sprawy duchowe; ale przewyciężywszy te pierwsze trudności znajdzie w tém dziele, następnie tak liczne objawy sumiennéj pracy ducha, dokładności w obserwowaniu

stanów psychicznych, rozległości poglądów, że wdzięczny będzie autorowi za potrącenie własnych myśli nawet i wtedy, gdy się z nim w zupełności na jedno zgodzić nie może.

Henryk Struce.

„Listy do Michała P. Pogodina z ziem słowiańskich” (1835—1861 r.) z przedmową i uwagami Nila Popowa. Wydanie ces. Towarzystwa historii i starożytności rosyjskich przy uniwersytecie Moskiewskim. Moskwa, 1879—1880, str. XVIII, 744, w wielkiej 8-ce.

Zaprzeczyć nie można, że przebudzone w pierwszej połowie bieżącego stulecia w Słowiańszczyźnie życie umysłowe, a wraz ze stopniowym jego rozwojem potęgujące się poczucie indywidualności narodowej, przejawia się za dni naszych jako świadoma siebie i wyraźna siła żywotna każdego z osobna plemienia słowiańskiego. Jakkolwiek wzrost tych sił pojedynczych narodowości tamowany jest dziś wieloma jeszcze i silnymi przeszkodami, przeważnie natury politycznej, i jakkolwiek masa tych sił zużywa się w codziennych trudnych i ciężkich walkach o zdobywanie warunków narodowemu rozwojowi przyjaźniejszych, niemniej jednak objawy ruchu i życia umysłowego tych plemion są tak dalece wyraźne i ważne, że na tej podstawie zaznaczyć można w bieżącym stuleciu epokę odrodzenia umysłowego ludów słowiańskich. Wiadomo, że pierwsze zapowiedzi tego odrodzenia zjawiają się na Zachodzie i Południu, t. j. wśród tych narodowości słowiańskich, które, tłumione długoletnim uciskiem przez wrogie sobie żywioły, najbardziej zagładą zupełną były zagrożone. Szafarzyk, poprzedzony przez Dobrowskiego, oraz Palacki, Jungmann i inni u Czechów, Wuk Stefanowicz Karadzić u Serbów, tudzież inni pracownicy rozniecają naraz umysłowe na dwu krańcach ogniska.

Ważny przyczynek, rozjaśniający w szczegółach kilka dziesiątków ubiegłych lat tej epoki, stanowią listy w powyższym nagłówku przytoczone. Każda z osobistości, do których autorstwo tych listów należy, brała mniejszy lub większy udział w tym ruchu umysłowym Słowian, a niektóre z nich działalność swą trwałymi nawet pomnikami w nauce i literaturach słowiańskich zaznaczyły.

W ślad zatem, nie tylko w obrębie samej Słowiańszczyzny, ale i u innych państw europejskich, obudziła się chęć bliższego, dokładniejszego poznania języka, literatury i przeszłości ludów słowiańskich. Michał Pogodin, niegdyś profesor historii w uniwersytecie

Moskiewskim, jest pisarzem jednym z pierwszych, który starał się wiadomości o Słowiańszczyźnie wśród rosyjskiego społeczeństwa gorliwie rozpowszechniać, bądźto pomieszczając stałe artykuły odpowiednie w wydawanych przez siebie czasopismach („Moskowskij Wiestnik,“ 1827—1830 r., „Moskwitianin,“ 1841—1856 r.), bądź też starając się o popieranie tychże celów w ministeryum oświaty. Sam dla bliższego poznania ludów słowiańskich, książkowe o nich wiadomości uzupełniał podróżami po tych ziemiach. W pierwszej swój podróży, w 1835 r. odbytej do Pragi, zaznajomił się i zaprzyjaźnił z Szafarzykiem, zajętym podówczas wykończaniem pomnikowego swego dzieła „Starożytności słowiańskie.“ W tym niepospolitym uczonym znalazł Pogodin przewodnika przy badaniach swoich nad początkową epoką życia Słowian. Znajomość ta była też dla niego niemałą zachętą do silniejszego zainteresowania się życiem umysłowem i losami narodów słowiańskich. W Pradze poznał także Jungmanna, który w czasie tym rozpoczął był druk swojego wielkiego słownika języka czeskiego, Wacława Hankę, głównego bibliotekarza Muzeum czeskiego i odkrywcę króloworskiego rękopisu (dziś wielce zachwianej autentyczności), Czelałkowskiego, świeżo mianowanego profesorem języka czeskiego w uniwersytecie Praskim; tudzież Palackiego, który, po ogłoszeniu krytycznej pracy o kronikach czeskich, gromadził skrzętnie materiały do pomnikowej historii narodu czeskiego. Uczni ci w Czechach pracowali łącznie nad odrodzeniem umysłowem i narodowem kraju, długoletnią germanizacją dość bujnie już zachwaszczonego. „Zachować język ojczysty w ustach narodu, jest teraz jedynem naszym zadaniem,“ mówił Szafarzyk do Pogodina, podziwiającego prace, zabiegi i poświęcenia tych mężów około podźwignienia i wzmocnienia mocno zagrożonej narodowości własnego kraju. Z Pragi udał się Pogodin do Wiednia, gdzie zabrał znajomość z Kopitarem Słowińcem, uczonym filologiem, mającym i dla nas niemałą zasługę przez swój współudział przy odkryciu i przygotowaniu do druku najdawniejszego pomnika języka polskiego, Psalterza Floryańskiego, wydanego staraniem Dunina Borkowskiego (w Wiedniu, 1834 r.), a wtedy przygotowującym do druku swą pracę o słowiańskim piśmie głągoliickim („Glagolita Clozianus“). Kopitar tak wtenczas, jak i później bardzo pesymistycznym odznaczał się poglądem na sprawy i przyszłe losy plemion słowiańskich, ostudzając swą zimną rozważą, a nieraz i wolterowskim sarkazmem każdy przedwczesny zachwyty słowianofilów.

Druga znajomość Pogodina, zawiązana w Wiedniu, była z Wukiem Karadzićem, znanym już wówczas uczonemu światu autorem słownika serbsko-niemiecko-łacińskiego i gramatyki, zbieraczem pieśni serbskich i autorem studyów nad historią serbską. Pierwsze to zaznajomienie się Pogodina z praskimi i wiedeńskimi uczonymi, było powodem zawiązania między nimi przyjaźnych stosunków i stałej korespondencji, połączonej z wymianą wzajemną dzieł pomiędzy autorami, oraz przesyłką książek rosyjskich treści historycznej, filologicz-

néj i teologicznój do Pragi, Wiednia, Zagrzebia, Belgradu, Lwowa i innych miast. Wkrótce po powrocie do Moskwy, Pogodin umiał sympatyę dla sprawy narodowego odrodzenia Słowian obudzić i pomiędzy współziomkami swoimi. Od tego téż czasu przyjaciele Słowiańszczyzny wysyłać zaczęli i pieniężne zapomogi dla celów literackich i narodowych w ziemiach słowiańskich.

W powtórnej podróży swéj do ziem słowiańskich, przybył Pogodin 1839 r. do Warszawy, gdzie zabrał znajomość z Lindem i Wac. Al. Maciejowskim. Linde, po wydaniu pomnikowego Słownika języka polskiego w 6-ciu wielkich tomach, zajęty był wtedy nową pracą nad układaniem materyałów do słownika porównawczego języków słowiańskich. Pogodin, podczas pierwszych odwiedzin swoich zastał go właśnie nad tą pracą, do którój Linde miał już materyału zebranego na jakie 10 tomów; całości zaś tego olbrzymiego dzieła nie spodziewał się za życia dokonać. Słownik porównawczy, w którym najoczywistszój widniałoby wspólne pokrewieństwo wszystkich plemion słowiańskich, uważał Pogodin nietylko za dzieło pożądane dla celów naukowych, ale nadto za „sprawę politycznie ważną.“ Przedstawiał téż ministeryum oświaty konieczność dojścia do takiego słownika przez udzielenie Lindemu potrzebnych środków i pomocy przy układaniu téj pracy, którą „pierwszy słowiańsko-polski uczony z własnego podjął natchnienia.“ Drugi uczony Wacł. Aleks. Maciejowski, znany już wówczas autor 4-ro tomowój „Historji prawodawstw słowiańskich“ i „Pamiętników o Słowianach,“ przygotowywał w tym czasie drugie wydanie Historji prawodawstw w 6-ciu tomach. Innymi uczonymi, z którymi Pogodin zabrał znajomość w Warszawie, byli: Feliks Bentkowski, bibliograf i pierwszy historyk literatury polskiej, oraz Adryan Krzyżanowski, matematyk. Z Warszawy pośpieszył Pogodin do Wrocławia, gdzie poznał czecha Purkyniego, znakomitego fizyologa i profesora tamtejszego uniwersytetu.

Po powrocie swoim do Moskwy, Pogodin, kreśląc w obszerném sprawozdaniu ministrowi oświaty, hr. Uwarowowi, obraz położenia ludów słowiańskich w Austryi i Turcyi, przedstawił zarazem niektóre środki zbliżenia Rosyi z resztą Słowian „przynajmniej w obrębie nauki i literatury;“ wskazuje mianowicie na potrzebę podtrzymania towarzystw naukowych u Czechów, Słowaków i austryackich Serbów i Chorwatów; mówi z naciskiem o pomocy dla szkół i literackich wydawnictw, tudzież o potrzebie ułatwienia Słowianom otrzymywania dzieł rosyjskich. W témże sprawozdaniu, mówiąc o Polakach, o ich charakterze narodowym i t. d., przedstawia konieczność podniesienia studyów i rozszerzenia znajomości historji polskiej w Rosyi, tudzież potrzebę udzielania pomocy uczonym i literatom polskim, podejmującym prace, przechodzące nieraz siły pojedynczego prywatnego człowieka. Nadmienwszy, jak mało zrobiono wówczas w Rosyi dla poznania Słowiańszczyzny zachodniej i południowój, i wskazawszy środki zaradzenia temu, mówi zarazem o korzyściach, jakie nauka, w tym kierunku rozwi-

nięta, przynieść może Rosyi dla jęzjczyka, literatury i historii, a z drugiej strony o podobnych korzyściach dla każdego z narodów słowiańskich.

W następnych latach odbył jeszcze Pogodin dwie podróże do krajów słowiańskich, a w r. 1842 zwiedził Lwów, gdzie znalazł biegłego i nieodstęp nego przewodnika w Dyonizym Zubrzyckim; potem zaś udał się do Wiednia, gdzie poznał Miklosiáca, zajętego już wtedy gromadzeniem materyałów do swego słownika starosłowiańskiego. Następnie w r. 1846 odwiedził Pogodin jeszcze Słowaków w Węgrzech; w Presburgu poznał Ludewita Sztura, ówczesnego obrońcę narodowości słowackiej przeciw uciskowi madziarskiemu; a w Peszcie Kollara, prześladowanego za swój patryotyzm przez Madziarów. Z podróży téj, którą zakończył odwiedzinami Belgradu, pominawszy niewątpliwą korzyść poznania zbliżka Słowian galicyjskich i węgierskich i innych austriackich, przywiózł Pogodin wiele rzadkich weneckich wydań ksiąg słowiańskich, tudzież pomników historycznych, których skrzętnie zwykle poszukiwał i w razie możności dla zbiorów je swoich nabywał.

Od r. 1858 stosunki Pogodina z krajami słowiańskimi przybierają inny charakter, i korespondencya, zawiązana w skutek poprzednich podróży z uczonymi, powoli ustaje; wielu z nich bowiem w owych latach jeden za drugim umiera. Pogodin staje się w tym czasie czynnym publicystą, a działalność jego na tém polu przedstawiona jest w dziełku „Artykuły polityczne i kwestya polska 1856—1867 r.“ (Moskwa, 1876 r.), gdzie zawiera się 40 artykułów i listów; tudzież w 2-gim „Zbiór artykułów, listów i mów z powodu kwestyi słowiańskiej“ (Moskwa, 1878 r.), w liczbie 20.

Listy do Pogodina, ogłoszone przez Towarzystwo historyczne przy uniwersytecie Moskiewskim, odnoszą się do pierwszej epoki stosunków Pogodina ze słowiańskimi uczonymi, mianowicie pomiędzy latami 1835 a 1861. Wydane w 3-ch zeszytach, składających duży tom, zawierają różne szczegóły, dotyczące przeważnie naukowego w owęj epoce ruchu w ziemiach słowiańskich.

Zeszyt I-szy (str. XVIII, 136) obejmuje listy Bodiańskiego, wysłanego w r. 1836 przez ministryum oświaty za granicę, dla wydoskonalenia się i przygotowania do objęcia katedry języków i literatur słowiańskich w uniwersytecie Moskiewskim, ustanowionej w tymże roku i powierzonej Kaczenowskiemu (jednocześnie także katedry utworzone w Petersburgu i w Charkowie). Bodiański w listach tych (od listop. 1837 r.) donosi Pogodinowi o zaznajomieniu się w Pradze z Szafarzykiem, tudzież o pracach swych, prowadzonych przy jego pomocy. Dla głębokiej nauki Szafarzyka, jego pracy i niezwykłego zamiłowania przedmiotu, nie miał dostatecznych słów uznania, jako też słów wdzięczności za życzliwość i chętnie zawsze udzielaną mu pomoc naukową. „On dla mnie, pisze Bodiański o Szafarzyku, stanowi całą akademią, jemu najwięcej winienem, i wątpię, czy ktokolwiek mógłby mi tyle co

on być pomocnym, Bezwątpienia są tu i inni Czesi rozumni, uczeni i zasłużeni; lecz każdy z nich zajmuje się jedną jakąś gałęzią nauk; Szafarzyk przeciwnie: równie jest biegły, jakby u siebie w domu we wszystkich działach słowiańszczyzny. On jest całą biblioteką, żywą encyklopedyą wszelkich wiadomości o Słowianach“ i t. d. (str. 24).

Przy pomocy Szafarzyka przyswoił sobie Bodiański język czeski i słowacki; studyując razem z Szafarzykiem pomniki językowe, uczył się języka bułgarskiego, staroserbskiego i innych słowiańskich; pod jego też kierunkiem poznawał literaturę Słowian. Prócz tego Bodiański prowadził w dalszym ciągu przekład „Starożytności słowiańskich“ na język rosyjski. Nie rzadko spotykamy w jego listach wiadomości o pojawiających się nowych pracach uczonych czeskich, polskich i słowackich, tu i owdzie wzmianki o położeniu Słowian, o potrzebie pomocy dla pracowników na polu naukowego i narodowego odrodzenia się ludów słowiańskich. W liście ostatnim z r. 1841, podaje Bodiański wiadomość o ciekawej broszurze „Schreiben des Grafen Zay an die Professoren zu Leutschau,“ która w jasnym wystawiała świetle dążności Madziarów i położenie madziaryzowanych Słowaków, Rusinów, Serbów i Chorwatów. Broszura ta zawiera okólnik ówczesnego inspektora generalnego szkół hr. Zaya do profesorów w Lewoczu (miasto słowackie), gromiący ich surowo za wydanie w języku słowackim prac zbiorowych ich uczniów p. t.: „Zorza poranna“, i wzywający ich, ażeby i sami zostali Madziarami i starali się uczynić takimiż swych uczniów; w jego bowiem oczach ten tylko uważany jest za patryotę, kto jest Madziarem.

Broszura powyższa (drukowana w Lipsku), oprócz okólnika Zaya, zawiera odpowiedź jednego z profesorów w Lewoczu. Bodiański pisze z tego powodu: „Wiele pisano za i przeciw zamiarowi wyzucia naszych braci z narodowości, języka i tego wszystkiego, czém tylko człowiek na świecie może się chlubić i co nazywać swą istotną i rabunkowi niepodległą własnością, a w zamian tego narzucenia im madziaryzmu, t. j. dzikości i nieokrzesania Azyatów.“ Prześladowania dawne, które przycichły były przed trzema laty, w tym czasie (1841 r.) w skutek zbiegu wielu okoliczności, świeżo wznowione zostały. Dziennikarstwo madziarskie występuje znowu napastniczo przeciw słowiańskiej ludności. Madziarska magnaterya, przyznając się otwarcie do szczególniej odrębności, surowości i dzikości swojego narodu, woła publicznie: „Potrzeba nam za jakąbądź cenę zmadziaryzować Słowian, aby tym sposobem wzmocnić i uszlachetnić siebie samych“ [Patrz nr. 83 czasopisma madziarskiego „Jelenkor“ (Współczesność)] i t. d.

Bodiański, pisząc o tém do Pogodina, zachęca go do przełożenia wspomnianej broszury na język rosyjski i opublikowania tych madziarskich pokuszeń, by stało się wiadomém, „co czyni w XIX wieku dzicz azyatycka (azijatskije dikari) z naszą bracią.“ Żałować przychodzi, że z pod tegoż samego pióra, które z tak gorącym współczuciem odzywało się o uciśnionych Słowakach, w tychże listach wymyka-

ły się niekiedy niezbyt humanitarne i chorobliwie namiętne frazesy przeciwko innemu słowiańskiemu narodowi (str. 78, 99, 121).

Zeszyt 2-gi (str. 137—448), zawiera listy Szafarzyka, pisane do Pogodina od r. 1835—1858, w liczbie 144. Listy te pisane są wszystkie w języku niemieckim, pomimo obietnicy Szafarzyka, zapowiedzianej w jednym z listów jeszcze w 1837 r., pisania do Pogodina po czesku ¹⁾. W listach tych znajdujemy mnóstwo szczegółów, dotyczących działalności naukowej Szafarzyka, wiadomości o jego „Starożytnościach słowiańskich,” o pomnikach języka i literatury Słowian południowych (südslavischen Sprach- und Literatur-denkmäler); o czasopiśmie muzeum czeskiego, którego redakcją objął w r. 1838; o historii czeskiej Pałackiego; o słowniku czeskim Jungmanna; o Roepell'a Geschichte von Polen; o kilku dziełach lingwistycznych Schleichera; wiele wzmianek o społecznym ruchu naukowym w Czechach i w ogóle w Słowiańszczyźnie; o zamiarach rządu pruskiego utworzenia katedr słowiańskich w uniwersytetach berlińskim i wrocławskim i uczynionej mu propozycji do objęcia takiej katedry w jednym z tych uniwersytetów; pobieżne uwagi o wypadkach 1848 r. i zasztych reformach; obok tego wiadomości częste o jego włątkiem i wciąż słabnącém zdrowiu ²⁾, o sprawach życia domowego, dotyczących jego i jego rodziny; wiadomości o odbieranych książkach i wydawnictwach rosyjskich, tudzież zapomogach pieniężnych, jakie dla prowadzenia prac naukowych otrzymywał. Już sam pobyt Szafarzyka, a bardziej jeszcze działalność jego naukowa w Pradze i rozgałęziona korespondencya z uczonymi słowiańskimi (z Warszawą, Lwowem, Moskwą, Petersburgiem, Pesztem, Wiedniem), zwróciły na jego osobę uwagę miejscowej policyi, która mu też od czasu do czasu w jego mieszkaniu wizyty składała. Przy odbieraniu przeto książek i wszelkich posyłek z Rossyi, dla osłabienia podejrzeń, uważał za potrzebne zachowywać ostrożność i prosił o nią swych przyjaciół.

Szczegóły w listach tych dopełniają nam nie jeden rys charakterystyczny obrazu, pełnego szczerzej prostoty uczonego, niestrudzonego i rozmiłowanego w obranym zawodzie pracownika, który wśród ciężkich warunków i walki zaciętej z losem, a niekiedy i z nędzą, wśród dolegliwych cierpień ciała i duszy, nie zeszedł z placu trudów, lecz umiał pozostać wiernym, aż do zupełnego wyczerpania sił, swemu powołaniu

1) Diesen Brief schreibe ich Ihnen noch deutsch: doch ganz gewiss werde ich Ihnen bald böhmisch schreiben und dann immer böhmisch. Es freut mich ungemein, dass Sie sich das Böhmische immer mehr aneignen, was Ihnen ja auch gar nicht schwer fallen kann. (List z Pragi, 22 kwietnia 1837 roku, str. 192).

2) W liście np. z 25 października 1837 r., m. i. pisze: „So viele Schläge des Schicksals und ununterbrochene Arbeiten untergraben auch meine Gesundheit vollends: mein gichtisches Uebel zeigt sich wieder sehr stark. Dazu leide ich fortwährend an Augen (taraxis rheumatica), was mir grosse Besorgnisse macht” i t. d. (str. 204; podobnie str. 215, 380, 413, 414 i w. i.).

naukowemu i owocami nieustannéj pracy imię swoje trwale zespolił z nauką i literaturą słowiańską.

Przy końcu zeszytu, zawierającego listy Szafarzyka (od str. 434) dołączono kilka dodatków. Pierwszy z nich obejmuje projekt ustanowienia katedr języków słowiańskich na uniwersytetach Berlińskim i Wrocławskim, przedstawiony przez Szafarzyka ministrowi pruskiemu Eichhornowi w maju 1841 r. (*Gedanken über die Einrichtung des slawischen Sprachstudiums auf preussischen Universitäten*). Drugi zaś zawiera niektóre dowody historyczne, wykazujące, że obrządek greckochrześcijański u Rusinów galicyjskich istniał przed chrztem Włodzimierza (noch vor der Taufe Wladimir's) i początkiem swym równoczesny jest z takimże obrządkiem u Bulgarów i Słowaków węgierskich.

W projekcie wzmiankowanym Szafarzyk, na postawione przez siebie pytanie: co ma być przedmiotem wykładu na katedrach słowiańskich, daje umiejętnie umotywowane odpowiedzi, mieszcząc w pierwszym szeregu przedmiotów trzy główne języki: starosłowiański, rosyjski i polski ¹⁾, jako konieczną podstawę umiejętności słowiańskiej; w drugim zaś: język czeski i południowe języki słowiańskie (die illyrische). Dla osiągnięcia większego na razie pożytku z otworzyć się mających wykładów, przydaje kilka metodycznych wskazówek, niepośledniej pod względem praktycznym wartości. Doradza mianowicie utworzenie na początek kursu niższego, jako przygotowawczego do następnego wyższego czyli właściwie uniwersyteckiego, na którym do wykładu przynależy gramatykę porównawczą pięciu głównych języków słowiańskich, tudzież inne gałęzie umiejętności słowiańskich, robiąc przytém szczególny nacisk na potrzebę utworzenia katedry historii literatur słowiańskich.

W końcu uważa za pożyteczne i konieczne wydawanie w języku niemieckim naukowego czasopisma słowiańskiego, np. p. t.: „*Jahrbücher der slawischen Literatur*,” w zeszytach kwartalnych, którego redaktorami naturalnymi byłiby profesorowie słowiańscy w Berlinie i Wrocławiu. Za pierwszą próbę podobnego czasopisma, niezupełnie odpowiadającego potrzebom chwili, uważać można wydawane przez Miklosiáca zbiorowe pismo p. t. „*Bibliotheca slavica*” 1851 r., zakończone na drugim tylko tomie. Dopiero najzupełniej odpowiedniém programowi Szafarzyka czasopismém jest wydawane od r. 1876 w Berlinie „*Archiv für slavische Philologie*” przez Vatroslava Jagića, tamtej-

¹⁾ O ważności języka polskiego tak mówi: „Die polnische Mundart, gerühmt wegen ihres Wohllauts, ihrer Schmiegsamkeit, ihrer Geschicktheit zur Conversationsprache, so wie wegen des stets wachsenden Reichthums ihrer Literatur, bedarf in einem Staate, der mehr als 1½ Millionen Polen zu seinen Bürgern zählt, und in der grössten Ausdehnung seiner östlichen Gränzen unmittelbar an Slawen polnischen Stammes sich anlehnt, keiner besonderen Anpreisung. Ihre Wichtigkeit leuchtet von selbst ein.” (*Gedanken über die Einrichtung etc.*, str. 436—37).

zego profesora języków słowiańskich (od pół roku zaś powołanego do Petersburga), ze współdziałaniem prof. Nehringa z Wrocławia i prof. Leskiena z Lipska. Czasopismo to, zawierające w wyszłych czterech tomach (piątego tomu zeszytów dwa) zbiór prac oryginalnych rzetelnej naukowej wartości, obznajmiające prócz tego czytelnika z każdym ważniejszym dziełem z zakresu językoznawstwa i literatury słowiańskiej, odpowiada w zupełności potrzebom i stanowisku dzisiejszej nauki, odrazu też zdołało zająć naczelne miejsce w rzędzie wszystkich czasopism slawistycy poświęconych.

Zeszyt 3-ci przeglądanych przez nas korespondencyi (od str. 449 do 744) zawiera zbiór listów od uczonych slawistów z różnych miejscowości, w kilku językach słowiańskich. Rozpoczyna je list Kopitara i kilka listów Dobrowskiego, poczem następuje kilka listów Mikłosića (1849—1851 r.), donoszącego Pogodinowi o swoim słowniku starosłowiańskim (*Lexicon palaeoslovenico-graeco-latinum*), który go dziesięć lat pracy kosztował; następnie o dalszych pracach językoznawczych (*Formenlehre* i *Lautlehre der slav. Sprachen*), tudzież o wydawnictwie „*Bibliotheca slavica*,” o powołaniu go do zajęcia katedry profesora zwyczajnego w Wiedniu 1850 r., a w 1851 o otrzymaniu godności członka Akademii; jak również o innych szczegółach, mających związek z nauką języków i starożytności słowiańskich. Z kolei spotykamy obszerny w języku słowackim list Ludewita Sztura, profesora literatury w liceum presburskiem, przedśladowanego następnie przez Madziarów, założyciela gazety słowackiej „*Slovenské noviny*,” podtrzymującego wytrwale narodowość słowacką na Węgrzech („...vistupili sme vo vlastnom nárečji a dali sme sa do samostatnjeho rozvíjanja...”). W końcu listu prosi Pogodina o przysłanie pomocy dla wydawnictw ludowych.

W dalszym ciągu mamy list Wacława Sztulca po czesku, który wydał był wtedy przekład „*Konrada Wallenroda*” na język czeski; następnie listy Wacława Hanki, pisane nader nieosobliwą ruszczyzną. Poczem idą listy pisane z Warszawy w przedmiotach naukowych przez Samuela Bogumiła Lindego (po niemiecku), w których, między innemi, wypowiada myśli swe co do proponowanego mu przez ministerjum słownika porównawczego języków słowiańskich i przedstawia niemożliwość przystąpienia do tej pracy, dopóki Rosyanie nie zdobędą się na słownik języka własnego, oparty na przykładach wyjętych z pisarzów (*Ich soll die Arbeit bleiben lassen, bis die Russen ein Wörterbuch haben, wie das Polnische und Böhmische, auf Beispiele gestützt*); listy W. A. Maciejowskiego (po polsku i po niemiecku), w których donosi o przesłaniu Pogodinowi na żądanie egzemplarzy „*Historii prawodawstw słowiańskich*,” o zamierzonym nowym wydaniu tego dzieła, o książce p. t.: „*Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian*” (2 t., 1839 r.) i t. d.; po jednym liście Adr. Krzyżanowskiego, Kucharzkiego i Muczkowskiego.

Za temi umieszczone są listy ze Lwowa: Aleksandra Zawadzkie-

go i Bartłomieja Kompaniewicza, następnie zaś obszerna i po listach Szafarzyka najbardziej przyjacielska korespondencya Dyonizego Zubrzyckiego, historyka i starożytnika Galicyi, złożona z 28 listów pisanych w języku rosyjskim od r. 1839 do 1861. Niektóre z tych listów są obszernymi korespondencyami o stanie umysłowym, społecznym i ekonomicznym Galicyi i mieszczą w sobie wiele ciekawych szczegółów z owjej epoki; szkoda tylko, że często piórem stronném kreślonych. W listach Jana Wagilewicza, autora „Gramatyki małosyjskiej,” mamy uwagi o języku rusińskim i jego właściwościach miejscowych, o podaniach ludowych i starożytnościach Galicyi. Listy te pisane są w języku rusińskim (od r. 1836—1846).

W pozostałej korespondencyi godniejsze uwagi są listy z Wiednia Wuka Stefanowicza Karadžića (po rosyjsku), przygotowującego w 1837 r., drugie wydanie swego słownika serbskiego i zajętego wciąż zbieraniem pieśni, przysłów i t. p. tworów ludowych. W listach tych (22) spotykamy także rachunki na znaczne sumy za kupowane dla Pogodina i przesyłane mu stare książki słowiańskie i rękopisy z XV-go i XVI-go wieku. Dalej listy Ludewita Gaja, Chorwata, głównego działacza w celu zbliżenia Serbów i Chorwatów zapomocą wspólnego języka literackiego, nazwanego przez niego illirskim. Działalność jego w tym kierunku znalazła życzliwą pomoc i ze strony Pogodina; podczas bowiem pobytu swego w Moskwie 1840 r. Gaj otrzymał na cele wydawnicze serbskie przeszło 15000 rs. złożonych za staraniem Pogodina przez osoby prywatne.

Listy Zacharyasza Kniażewskiego z Bulgaryi, dają nam poznać jednego z troskliwie pielęgnujących przebudzoną narodowość Bułgarów, który w tych celach odwiedzał (1847 r.) Moskwę i Petersburg i w listach swych Pogodina nazywa prawdziwym kuratorem i ojcem biednej Bulgaryi. W końcu mieszczą się listy Saby Filaretowa, również energicznego działacza w sprawie odradzającej się narodowości bułgarskiej.

Przejrzane tu pokrótce listy mogą dostarczyć dowodów na to, jak każdy z narodów i plemion słowiańskich przebudzonych do życia samodzielnego i wydobywający się z pod wiekowego ucisku obcego i zastoju umysłowego, pragnął dalej ruch ten podtrzymywać i wzmacniać, i przyjmował chętnie wszelką ofiarowywaną mu przez wschodnich współplemieńców pomoc, ile razy okazywała się ona przyjazną i korzystną dla wzmocnienia sił narodu i indywidualnego rozwoju. W całym tym ruchu Słowiańszczyzny w skutek rozbudzonej świadomości narodowego życia, obok dążenia do zawiązywania wzajemnych stosunków plemiennych, obok zachęty do rozszerzania działalności na polu naukowym i literackim, widzimy u każdego z plemion słowiańskich wyraźne i silne przywiązanie do swjej narodowości, w ścisłym przymierzu z gorącym pragnieniem dalszego życia i rozwijania się na gruncie własnym, narodowym; nigdzie zaś nie dopatrujemy, by którekolwiek z plemion słowiańskich występowało z zamysłami lub gotowo-

ścią dobrowolnego odstępowania od swęj narodowości i poświęcenia wszelkich warunków swęgo odrębnęgo bytu plemiennęgo na ołtarzu problematycznęj, nieokreślonej idei panslawizmu, wymarzonej wówczas i pielęgnowanej do dziś przez szczępy tylko zastępy metafizyków politycznych.

Wydane listy uczonych Słowian do Pogodina są ilustracją, obfitą w ciekawe szczegóły, rozjaśniającą tę ważną dobę dziejów umysłowego i narodowego odrodzenia się ludów słowiańskich, zwłaszcza Czechów i południowych Słowian. Ogłoszenie téż ich stanowi nie małą zasługę moskiewskiego Towarzystwa historycznego. Pod względem zewnętrznym dokonane zostało starannie (z wyjątkiem listów polskich, przepępnionych błędami ortograficznymi). Przedmowa, oraz liczne wpisy pióra wydawcy prof. Nila Popowa, dotyczące osób i zdarzeń, wspomnianych w tekście samych listów, tak pod względem biograficznym, jak i bibliograficznym odznaczające się dokładnością i obiektywnością ¹⁾, wartość wydawnictwa znacznie podnoszą, wydawcy zaś jednąj zupełne ze strony czytelnika uznanie.

Ad. Ant. Kryński.

„Uwagi o staropolskim języku“ (8-ka, str. 24) i „Najnowsze prace o języku polskim“ (8-ka str. 16).

Takie nagłówki noszą dwie broszury p. Appela, będące odbitkami z czasopisma filologicznego wychodzącego od lat kilku w Warszawie w języku rosyjskim.

Rozprawa pierwsza zawięra spostrzeżenia autora nad językiem „Psalterza puławskiego“, pomnika języka polskiego z wieku XV-go (o którym patrz „Bibl. Warsz.“ zeszyt lipcowy, 1880 r.). Na początku zaznacza autor kilka przykładów użycia w tym pomniku form bardzo starego pochodzenia, a obok nich form nowszych, późniejszych (np. mołwić i mówić) na potwierdzenie znanęgo faktu, że język tego zabyt-

¹⁾ Jako przykład spokojnego traktowania kwestyi naukowych, posłużyć może, między innymi, objaśnienie prof. Popowa, dotyczące artykułu pewnego autora A. (drukowanego w „Prilohě ku Kwetl'm“ 1840 r., p. t.: „Wýtah z listu psaného p. Pogodinowi“), a przedstawiającego niedogodności praktyczne z użycia abecadła cyrylickiego, oraz korzyści z zaprowadzenia abecadła łacińskiego, jako ogólnie używanęgo w Europie. Jakże rażąco odbija od czysto przedmiotowych objaśnień prof. Popowa wzmianka w liście Bodiańskiego o tymże artykule. Bodiański miota się niespokojnie wobec samęj propozycyi zarzucenia cyrylicy w piśmiennictwie, do autora zaś A. adresuje dosyć grubiańskie przysłowie małorosyjskie (str. 108 i 109).

ku pochodzi nie z jednej, lecz z różnych epok czasu; co zarazem prowadzi do niemniej słusznego wniosku, że Psalterz puławski jest kopią starszego nierównie pierwowzoru. Prócz tego w Psalterzu naszym dopatruje p. Appel różnic dyalektycznych czyli miejscowych, mających posłużyć za dowód, że język tego pomnika pochodzi także nie z jednej, lecz z różnych miejscowości. W rzeczy samej, niektóre z przytoczonych przez autora osobliwości fonetycznych, mniemanie to popierają; inne zaś stanowią dowody niewystarczające, wątpliwe. Tak np. głoskę *r*, użytą w kilku miejscach w Psalterzu puławskim zamiast *rz*, uważa autor za cechę dyalektyczną; gdy tymczasem może ona wyrażać bądź zmiękczonego dźwięk *r'*, właściwy jeszcze epoce powstania pierwowzoru Psalterza polskiego (wiek XIII), bądź też, wobec wyjątkowo rzadkiego jój użycia, może być prostą tylko omyłką przepisywacza. To ostatnie przypuszczenie wydaje się nam bardzo blizkiem prawdy, zwłaszcza jeżeli zwrócimy uwagę na niejednostajność i brak konsekwencji, właściwy pisowni ówczesnych pomników piśmiennych. Przykłady tego rodzaju, jak użycie *r* zam. *rz*, *d* zam. *dz*, *t* zam. *ć*, spotykają się zrzadka w każdym prawie zabytku z wieku XV.

W końcu pracy swój podaje p. Appel szereg przykładów języka tego zabytku, dotyczących składni przypadków, w systematycznym zestawieniu miejsc z Psalterza puławskiego z odpowiedniami miejscami z Psalterza floryańskiego (pomnika z w. XIV). Są to próby materiału ciekawego i wielce pożądanego dla historycznego opracowania składni języka polskiego.

W broszurze drugiej pod nagłówkiem: „Najnowsze prace o języku polskim,” mamy krytyczne uwagi p. Appela o kilku pracach z zakresu języka polskiego; a mianowicie:

a) Ocenienie dwu prac dyalektologicznych: „Gwary lasowskiéj,” napisanéj przez Matusiaka (Kraków, 1880, str. 107) i „Gwary brzezińskiéj,” napisanéj przez Zawilińskiego (Kraków, 1880, str. 58) (patrz „Biblioteka Warsz.,” październik, 1880). Uznając obie te prace za bardzo ważne dla badań językowych, p. Appel czyni im dwa zarzuty: 1) że autorowie ich w grupowaniu faktów językowych i w przedstawionych badaniach trzymają się ściśle metody swego prof. Luc. Malinowskiego; i 2) że w wielu razach w podanym przez siebie materiale językowym zbyt szczerdzą objaśnień naukowych, w tych zwłaszcza zjawiskach językowych, które są wynikiem wpływu czynników psychicznych, takich jak analogia (czyli assimilacja morfologiczna), słowotwórstwo ludowe, różniczkowanie i t. d.; i sam daje kilka grup podobnych objaśnień. W objaśnieniach tych widoczne jest umiejętne ze strony autora pojmowanie zjawisk języka i przy tłómaczeniu tych zjawisk posilkowanie się metodą naukową.

b) Trzecią pracę p. n.: „Rozbiór gramatyki polskiéj historyczno-porównawczéj d-ra Małeckiego” przez Kryńskiego, (drukowaną w „Bibl. Warsz.” sierpień, wrzesień, październik, 1880), uważa p. Appel za krytykę zbyt łagodną i nieszczerą („nie sowsem iskrenno”).

Zdaniem p. Appela, gramatyka Małeckiego jest pod względem naukowym nicością; zdaniem zaś Kryńskiego: rezultaty pracy Małeckiego „nie zapełniają dotychczasowego braku ściśle naukowego opracowania języka polskiego.” Takie umiarkowanie w wyrażeniu sądu, uważa pan Appel za ustępstwo ze strony Kryńskiego, uczynione jakoby ze względu na stosunki polskiego dziennikarstwa, które według p. Appela „hołduje niewolniczo wszystkiemu, co rodzime, narodowe!” „Gdyby, mówi p. Appel, sąd o pracy Małeckiego, wypowiedziany bez ogródek, wykazał całą jej nicłość, recenzenci takięj niktby nie wydrukował.” Wątpimy, czy autor, zapytany o pozytywne dowody swego gołosłownego twierdzenia, byłby je w stanie przytoczyć. W tym bowiem razie wypowiedziane mniemanie o rzekomej zależności sądu autora „Rozbioru,” jako niezawierające nic wspólnego z prawdą, jest poprostu urojonem p. Appela widzimisię.

c) Oceniając krytycznie artykuł Hanusza p. t.: „Ślady niektórych odcieni dyalektycznych w kazaniach gnieźnieńskich z r. 1419” (str. 6, Kraków, 1880, patrz „Bibl. Warsz.,” październik 1880), p. Appel podaje swoje zapatrywania się na niektóre z przedstawionych zjawisk, prostuje sposób ich pojmowania i wnioski autora.

d) W końcu broszury p. Appela spotykamy rozbiór rozprawki czeskiej p. t.: „Čeština v Opavsku,” rozprawa historicko-gramaticka, napsal V. Prasek, v Olomouci, 1877, s. 31. W rozprawie swęj Prasek miał na celu zabicie mniemania: jakoby narzecze opawskie było mieszaniną języka polskiego i czeskiego, a utwierdzenie natomiast przekonania, że mowa opawska jest starożytném narzeczem czeskiém. Założenie samo w sobie słuszne, jak objaśnia p. Appel, ale dowody lingwistyczne rzadko gdzie wytrzymują naukową krytykę.

POLEMIKA ¹⁾.

I.

„Z powodu recenzyi pracy mojej p. tyt.: „Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacyi gminnej i wnioski reformy,” zamieszczonej w zeszycie grudniowym „Biblioteki Warszawskiej” z r. 1880 (str. 475—482) pozwałam sobie uczynić uwagi następujące:

1). Celem głównym mojej pracy było wykazać, że dzisiejsza organizacja gminna, według ustawy w Galicyi obowiązującej jest wadliwą i że wymaga reformy, oraz wskazanie głównych punktów tej reformy. Ponieważ każda praca literacka musi być sądzoną tylko według zamiaru autora, a sąd o niej tylko do tego odnosić się może, czy i ile autor z zadania swego się wywiązał; niesłusznym jest zasadniczy zarzut p. Konitza, że w sprawie o reformie ustawy gminnej nie rozpisałem się nad reformą stosunków ekonomicznych w Galicyi ²⁾. Zupełnie podzielałem zdanie o potrzebie podniesienia dobrobytu w Galicyi, ale środki reformy ekonomicznej nie były wcale przedmiotem mojej pracy. Gdybym był miał zamiar pisać o reformach ekonomicznych, o podniesieniu rolnictwa, przemysłu, handlu, kredytu, dróg i. t. d., natenczas musiałbym książeczce mój inny dać tytuł, a nikt bezstronnie na rzecz się zapatrujący nie będzie w pracy o organizacyi gminnej szukał szerokiego programu reform ekonomicznych.

Oprócz tego nie od rzeczy będzie wspomnieć, że stosunek strony ekonomicznej do strony prawnej niezupełnie jest jednostajnym w różnych instytucjach prawnych. W niektórych jest właśnie odmienna treść ekonomiczna przyczyną odmiennego uregulowania prawnego. Np. z istoty handlu, żeglugi i t. d., płynie odmiennie prawo handlowe i morskie; w innych, jak w urządzeniach władz administracyjnych, w prawie

¹⁾ Dla braku miejsca w zesz. poprzedzającym, nie mogliśmy wcześniej wydrukować uwag sz. Profesora.

²⁾ Redakcyja nie widziała w relacyi p. Konitza tak ogólnie postawionego zarzutu, bo p. Konitz twierdził tylko, że obok wielu innych powodów słabego życia gminy w Galicyi, są także warunki ekonomiczne Galicyi jedną z ważniejszych przyczyn niepowodzenia dzisiejszej organizacyi gminnej. *Red.*

karném i t. d., stosunki ekonomiczne tylko odleglejszy wywierają wpływ: do takich instytucji właśnie zaliczyć należy organizację gminną. Porównajmy np. Belgię i Turcyę. Jeżeli w kraju pierwszym oddawna panuje uregulowany samorząd, a w kraju drugim niepodobna pozbyć się rutyny biurokratycznej centralizacji, toć nikt zapewne przyczyn tej różnicy nie będzie szukać w różnicach ekonomicznego rozwoju obu krajów, w mniejszej może zamożności ludności francuzkiej; tylko na inném polu t. j. na polu polityczném i prawném. Z tych przyczyn sędzę, że każde badanie, tyżące się organizacji gminnej, któreby rozszerzało się nad reformami ekonomicznymi, byłoby nieodpowiedniém porzuceniem właściwego przedmiotu. Zresztą nie pominięliśmy wcale milczeniem podstaw ekonomicznych samorządu, wskazaliśmy bowiem na str. 83 dobitnie, że każdy samorząd wymaga nieodzownie uregulowanych stosunków ekonomicznych, których organizacja gminna sama przez się starczyć nie może, których reforma zatém leżała poza obrębem naszej pracy.

Szanowny recenzent w końcu zdaje się przywiązywać zanadto małe znaczenie do strony prawnej urządzeń gminnych. Z tym poglądem zupełnie zgodzić się nie możemy. Jeżeli domagamy się samorządu gminnego, jedną z najważniejszych przyczyn tych powszechnych dążeń jest nadzieja uzasadniona, że życie rozbudzone w tych napozór drobnych jednostkach miejscowych sprowadzi podniesienie dobrobytu, że samorząd stanie się także walną podporą ekonomicznego i w ogóle społecznego rozwoju. Jest organizacja prawna gminy wadliwą, natenczas niepomogą najlepsze ustawy, najlepší obmyślane zarządzenia ekonomiczne, bo te wszystkie środki tylko wtenczas skutek zamierzony sprowadzą, jeżeli wszędzie, t. j. w każdej gminie będą należycie wykonane. Bez dobrej organizacji gminnej nie doprowadzimy ani do dobrych dróg, ani do należytej polityki polowej ani do ochrony przeciw zarazom bydłęcym, i t. p., bo zarządzenia odnośne pozostaną pro prostu tylko na papierze, albo będą w wykonaniu zupełnie zwichnięte. Wprawdzie i najlepsza organizacja gminna nie będzie w stanie odrazu i sama przez się sprowadzić dobrobytu kraju, ale w skutek reformy organizacji gminnej, o której wyłącznie pisałem, usuniętą być może najwaleńszą przeszkoda rozwoju ekonomicznego, uterowaną drogą do pożądaných reform ekonomicznych. Zachodzi tutaj ten sam stosunek między prawem i gospodarstwem, jak we wszystkich innych instytucjach ludzkich. Prawo jest dla życia tęp, czém uregulowane koryto dla rzeki, a nie jest bynajmniej tylko cczą formą. Im lepiej prawo zjawiska życia ująć potrafi w swe prawidła, tęp swobodniój i pełniój to życie rozwinąć się może. Złe prawo jest zawsze zaporą rozwoju wszelkiego, a zatém także rozwoju ekonomicznego; przeciwnie dobre i odpowiednie prawa rozwój ten waleń popierają. Weźmy np. prawo bankowe. Gdyby statut banku emitującego bilety bankowe, płatne za okazaniem, dozwalał takiemu bankowi także udzielania długoterminowanych pożyczek hypotecznych, natenczas bank taki musiałby runąć, bo niemógłby swych funduszów

ściągnąć na zaspokojenie posiadaczy biletów bankowych, choćby nawet bank wzorowo był administrowanym. Zła ustawa przyprawiłaby go o upadek. To nam tłumaczy, dlaczego reformy ekonomiczne rozpoczynają się od reformy ustaw (np. statut bankowy Peela), bo tym tylko sposobem przeskody ich rozwoju mogą być usunięte. Pojmując rzeczy w tym związku sądziliśmy, że wskazując na potrzebę reformy organizacyjnej, jako na jedną z najgłębszych potrzeb w Galicyi, dotknęliśmy nader żywotnej kwestyi, mogącej utworować drogę dalszym pożądanym reformom. Potrzeby każdego społeczeństwa żywotnego odzywają się w każdej chwili na różnych punktach; program reform nie może poprzestać tylko na jednej instytucyi, mimo to w literaturze bez zarzutu wyświecać można jeden tylko punkt, który wchodzi w zakres reformy prawnej i społecznej danego kraju.

2) „Prof. Kasparek, mówi p. Konitz, nie jest za bezwarunkowym stosowaniem samorządu w Galicyi. Ciężki ten i mogący powiedzielić niesłuszny zarzut opiera p. recenzent na tém: a) że stawialiśmy za wzór urządzenia administracyjne francuzkie i b) że wprowadzamy do rady gminnej członków bez wyboru. Co do pierwszego punktu musimy zwrócić uwagę, że polega on na zupełnym nieporozumieniu. Nie gmina miejscowa francuzka, z naznaczonymi i zawisłym od rządu merem, służyła nam za wzór w urządzeniach francuzkich, tylko ten sposób przeprowadzenia samorządu, według którego działają zawodowi urzędnicy państwa w połączeniu z reprezentacją obywateli i to w jednym gronie. „Takiemisą”, powiedzieliśmy na str. 9 „francuzkie rady prefektury pod prefektem, belgijskie *conseils*, pruskie wydziały obwodowe pod przewodnictwem landrata, badeńskie rady okręgowe, a u nas rady szkolne okręgowe i krajowe.” W tym tylko względzie mogą urządzenia francuzkie posłużyć za wzór, że uniknęły fatalnego dualizmu odrębnych władz rządowych i t. zw. autonomicznych. Nie mieliśmy też bynajmniej na myśli prostego stopiowania urzędzeń francuzkich, powiedzieliśmy tylko, że Austria powinna była w urządzeniu wyższych organów samorządu (powiatów kraju) postąpić tak, jak Francya, Belgia i Baden, t. j. z uwzględnieniem właściwości krajowych zaprowadzić takie wyższe organy samorządu, któreby zapewniły łączne i zgodne działanie reprezentantów rządu z reprezentantami ludu. Że taką a nie inną była myśl nasza, mógł się szanowny recenzent łatwo przekonać z naszego projektu utworzenia komisyj gminnych, powiatowych i krajowej. Myśl urządzenia gminy miejscowej na wzór francuzki była nam zupełnie obcą, nigdzie też nie przemawialiśmy za ustanowieniem naczelników gmin z ramienia rządu, albo za radami municypalnemi na skinienie rządu usuwalnemi. A więc nie nadwątlenie, lecz wzmocnienie samorządu było naszą główną myślą. Zwalczaliśmy także z tego powodu zaprowadzony w Styryi rekurs od orzeczeń gminy do władz rządowych. „Samorząd,” powiedzieliśmy na str. 100, nie jest zupełnym, jeżeli polega tylko na udziale ludności w gminie miejscowej, a ponad gminą wszystko pozostawia władzom rządowym. Otóż w postanowieniu ustawy Styryj-

skiej widzę uszczuplenie samorządu, bo władze rządowe, rozstrzygając rekursy, mogą wielki wpływ i nacisk wyrzeć na gminy i coraz więcej mieszać się w ich sprawy.

Co do punktu drugiego twierdzi recenzent, że podobny projekt wstrząsnąłby podstawami samorządu, który wyłącznie na wyborze opierać się winien. Przeciw temu twierdzeniu stanowczo wystąpić musimy. Każdemu wiadomo, że w Anglii panuje rozległy samorząd, a mimo to organy samorządu, t. j. sędziowie pokoju, są przez króla mianowani. Reprezentacye ludowe, mianowicie izby wyższe, jak angielska izba Lordów i t. d., mieszczą w sobie w znacznej części członków niewybranych, tylko powołanych bądź z ustawy, bądź na mocy prawa spadkowego albo nominacyi monarchy, nawet w ciałach reprezentacyjnych jednoizbowych zasiadają powołani z ustawy, jak w sejmie Galicyjskim, rektorowie uniwersytetów i biskupi, a mimo to nikt nie odmówi tym ciałom charakteru prawdziwej reprezentacyi ludowej. Lecz przypuśćmy, że stanie się po woliszanownego recenzenta, i że reprezentacya gminy, obejmującej wieś i dzisiejszy obszar dworski, wyłącznie z wyboru wychodzi. Wówczas byłby właściciel dóbr ziemskich tylko wyborcą, i miałby jeden tylko głos wśród kilkuset wyborców właściańskich; zależałoby zupełnie od przypadku, czyby został do reprezentacyi gminnej wybranym, i owszem bardzo często byłby przy wyborze pominięty, a reprezentacya byłaby wyłącznie złożoną z chłopów. Taka władza gminna wyłącznie w ręku jednej tylko klasy ludności, mieściłaby w sobie wielkie niebezpieczeństwo dla majątku właścicieli większych, bo reprezentacya gminna łatwo mogłaby wszelkie ciężary, drogowe, szkolne, kościelne zwać samowolnie na właścicieli większych. Ta obawa wcale u nas niepłonna, jeżeli zważymy, że aspiracye o lasy i pastwiska niezupełnie wygasły wśród ludności wiejskiej i mogłyby być sztucznie podniecane, była też powodem, dla czego ordynacya obwodowa Pruska z 13 grudnia 1872 zatrzymała odrębnie obszary dworskie. A czyż przypuścić można, że u nas właściciele większych posiadłości zrzekliby się swego stanowiska dzisiejszego osobnych obszarów dworskich bez pewności, że im wpływ legalny na tok spraw gminnych w innej formie, zabezpieczającej ich mienie, będzie zapewnionym? Wpływ ten może im dać według mego zdania należenie do reprezentacyi gminnej, bez wyboru, łącznie z drugim żywiołem inteligencyi wiejskiej, t. j. z duchowieństwem. O majoryzowaniu tych reprezentacyi przez członków bez wyboru o narzuceniu z góry urzędników gminnych, wcale mowy niema, jeżeli zważymy że reprezentacya gminna według § 14 ust. gminnej składa się z 8 do 36 członków wybranych i że radni bez wyboru, których byłoby najwięcej 3 do 4, według § 17 ust. gm., nie będą wliczani do liczby radnych wybranych. Radni wybrani zawsze mieliby większość. Co do urzędników gminnych zaś t. j., co do zwierzchności gminnej, przedstawiliśmy dotychczasowy sposób powoływania, t. j. wybór nienaruszonym (§ 19 ust. gm.). Ale szanowny recenzent się obawia, że wprowadzając rabinów żydowskich do reprezentacyi gminnej, wprowadzilibyśmy ży-

wiół ciemnoty i fanatyzmu. Na to odpowiadamy, że żywiół żydowski główną ma siedzibę w miastach i miasteczkach, nie zaś po wsiach; że jeden głos w radzie nie nadałby temu żywiółowi żadnej większej przewagi; że tam gdzie te obawy mogłyby zachodzić, już obecna ustawa gminna obmyśliła w rozdziale VI właściwe środki zaradcze, tworząc osobne organy do zawiadywania specjalnemi sprawami ludności chrześcijańskiej i izraelskiej; że wreszcie nie można tak pesymistycznie na usposobienie żydów starowierców się zapatrywać. Przytoczę tylko jeden przykład. W radzie państwa zasiada obecnie jeden rabin starowierca, który przystąpił bez zastrzeżeń do koła polskiego i zawsze z nióm głośuje, podczas gdy niektórzy z jego współwyznawców liberalnych, należą do obozu przeciwnego. Wreszcie projekt mój nie jest jeszcze ustawą i możnaby np. gdyby z innej strony t. j., co do wykluczenia duchowieństwa rzymskokatolickiego we wschodniej Galicyi, nie zachodziły obawy, art. III § 16 mego projektu (str. 120) w ten sposób zmienić, że wtedy tylko dusz pasterze należą do radnych bez wyboru, jeżeli w odnośnych gminach mieszka przynajmniej np. 50 parafian ich wyznania. W obec tego wyjaśnienia, zarzut, jakobym nie był za bezwarunkowem stosowaniem samorządu w Galicyi nie ma podstawy.

Dotknąwszy głównych zarzutów p. Konitza, nie chcę się rozpisywać nad innemi jego uwagami, których podzielać nie mogę. Tylko dla przykładu wspominam, że pomysł powierzenia załatwienia rekursów od orzeczeń władz autonomicznych sądom za przykładem Anglii, uważam za zupełnie chybiony. Sam p. recenzent daje mi na str. 476 naukę, że urzędzeń jednych krajów nie można wprowadzać do drugich, a tutaj proponuje zmianę przeniesioną wprost z Anglii, nie uwzględniając, że administracya angielska w zasadzie od sądownictwa nie jest oddzieloną i że administracya tamże odbywa się w formach sądowych, na zupełnie odmiennych zatem polega podstawach. Zresztą sąd, według naszego zdania może tylko rozpoznawć prawa sporne, i nie pojmujemy wcale sądu, któryby np. miał decydować, który kierunek drogi jest odpowiedniejszym, albo w którym miejscu szkoła ma być postawioną. Taka wszechwładna kontrola sądów byłaby dla administracyi zabójczą, nigdzie téż z nią na kontynencie się nie spotykamy.

W Krakowie, 14 grudnia 1880.

Dr. Franciszek Kasparek.

O d p o w i e d ź.

1) Z zarzutu naszego, dotyczącego nieuwzględnienia przez prof. Kasparaka stosunków ekonomicznych, wyciągnął autor, o ile nam się zdaje wnioski niesłuszny. Nie stawialiśmy żądania, aby praca o gminie galicyjskiej, obejmowała studyum ekonomiczne w szerokim zakresie, traktujące o podniesieniu rolnictwa, przemysłu i t. d.; lecz chcieli-

śmy zwrócić uwagę, że same tylko zmiany prawne w ustawie nie nadadzą prawidłowego biegu życiu gminnemu w Galicyi. Z tego powodu dowodzenie prof. Kasparka o potrzebie podziału pracy, poparte przykładem o kredycie rolniczym, aczkolwiek słuszne, jest tu jednak najzupełniej zbytecznym.

Również podzielamy zdanie autora, że słaby rozwój samorządu nie jest zależnym od stanu ekonomicznego kraju; lecz prof. K. zgodzi się zapewne, że jednakowe zjawiska społeczne nie wszędzie warunkują się temi samymi przyczynami. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że przy braku środków materialnych niemożliwe są ani szkółki, ani dobre drogi i t. d., że zatem nawet współdziałanie całej ludności gminnej nie przyniosłoby rzetelnej korzyści, gdyby ogólna we Francyi panowała bieda.

Pr. K. myli się, sądząc, że małe przywiązuje znaczenie do strony prawnej. Podobnego zdania nie wygłosiłem; odnośnie do Galicyi tylko wyraziłem mniemanie, że rdzeń niepowodzenia samorządu spoczywa w stosunkach ekonomicznych. Autor utrzymuje, że „w skutek reformy organizacyi gminnej usunięta być może najważniejsza przeszkoda rozwoju ekonomicznego;” nam się jednak zdaje, że aby prawo nie było czczą formą, musi się liczyć z naturalnymi warunkami życia, winno opierać się na gruncie pewnym: gdzie warunki te są nieuregulowane, gdzie grunt nie jest przygotowany, tam prawo będzie tylko zestawieniem formułek teoretycznych, pozbawionych treści praktycznej.

Wnosząc instytucje społeczne, powtarzamy, winniśmy zbadać trwałość fundamentu. Inaczej najliberalniejsze urządzenia pozostaną tylko świadectwem pracy pojedynczych ludzi i nie przyniosą społeczeństwu żadnej trwałej korzyści.

2) Rozbierając poglądy autora, domagającego się, aby urządzenia francuzkie służyły za wzór dla Galicyi, staraliśmy się wykazać cechy charakterystyczne samorządu francuzkiego, pozbawiającego gminę koniecznych w tym względzie zalet. Cały ustrój miejscowy we Francyi jest ściśle centralistyczny. Przedstawia jednolitą maszynę, której dopiero prawo z r. 1871 o komisji departamentowej pierwszy, dotkliwy cios zadało. Wszystkie części składowe są tam z sobą związane, a pojedyncze instytucje ztamtąd zapożyczone, nie zabłysną, nawet temi nielicznymi zaletami, jakie znamionują system francuzki.

Zresztą czy rady prefektury są tą wzorową instytucją, na którą zapatrywać się warto? Jest to przecież przyboczna jakby kancelarya prefekta, tego do niedawna wszechwładnego pana w departamencie.

3) Z poglądem autora na sprawę wyboru członków reprezentacyi gminnej zgodzić się trudno, pomijając przykład Anglii, który już w naszej ocenie odparliśmy; pozwalamy sobie zwrócić uwagę autora, że nawet tam korona nie postępuje samowładnie, lecz że sędziowie pokoju mianowani są tam zgodnie z życzeniem ludności. Czy z drugiej strony, izba z członkami urzędowymi posiada charakter reprezentacyi, ulega to jeszcze pewnej wątpliwości. Za przykład w tym względzie

posłużyć może austriacka izba panów, która obecnie za wyraz przekonania ludności uchodzić nie może. Jest ona przecież oddaną partyi, obcej interesom większości narodów wchodzących w skład monarchii rakuskiej.

Co się tyczy specjalnie stosunków gminnych galicyjskich, to autor wyraża obawę, że pominięcie właścicieli większych posiadłości byłoby groźnym dla ich mienia. Przedewszystkiem, nawet przy urzeczywistnieniu projektu autora, pozostałoby oni przecież w mniejszości w radzie gminnej. Jeżeli zaś prof. K. ma na myśli wpływ moralny, to jako zależny od osobistości, może być ten ostatni wywierany nawet przy systemie wyborczym. Zresztą sądzimy, że przy ustanawianiu podatków musi być z góry przez prawo określona norma. Odnośnie do rabinów żydowskich, zdaje się, że Schreiber (gdyż o nim autor mówi) niczego nie dowodzi. Że głosuje z kołem polskim nie świadczy to bynajmniej o jego przekonaniach polskich, lecz o tem, że mylnie uważa Polaków za sprzymierzeńców instytucji wstecznego żywiołu żydowskiego. Nie ulega też wątpliwości, że zerwałby solidarność z kołem, gdyby rzecz szła np. o zniesienie chederów i t. p.

4) Sprawę rekursów podnieśliśmy w tym celu, aby uwydatnić ujemne cechy komisji gminnych, zalecanych przez autora. Dlatego podany przezemnie projekt nie rości sobie pretensyi do stanowczego rozstrzygnięcia kwestyi, bo to nie dałoby się wykonać przy okolicznościowej relacyi o dziełku traktującym o reformie gminy galicyjskiej.

Warszawa, d. 15 Stycznia 1881.

Henryk Konitz.

KORESPONDENCYA

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

I.

Szanowny Redaktorze!

Sprawozdanie p. J. A. Święcickiego w nr. lutowym Bibl. Warsz. o mojej rozprawie p. t.: „Język assyryjski w rodzinie języków semickich,” pracę tę całkiem opacznie przedstawia i żadnego o niej rzetelnego wyobrażenia nie daje. Dla interesujących się przedmiotem wystarczy mi w odpowiedzi odwołanie się do tejże pracy i prośba o porównanie jej ze sprawozdaniem. Dla ogółu zaś obojętnego na ten dość suchy przedmiot, na nicby się nie zdało szczegółowe polemizowanie z krytykiem, który co innego chyba, nie zaś prawdę, musiał mieć na celu.

Dnia 9 lutego 1881 roku.

Zostaję z szacunkiem

J. Radliński.

(Odpowiedź). Ponieważ p. Radliński nie przytoczył w powyższej odezwie żadnego faktu, mogącego rozszerzyć, lub objaśnić sporne kwestye naukowe, przeto, nie znajdując w piśmie Jego żadnego naukowego materiału do poważnej dyskusyi, uważamy przedmiot ten za wyczerpany i przez relacyą naszą w zeszycie II-gim z r. b. Bibl. Warsz. za załatwiony.

Dnia 15 lutego 1881 r.

J. A. Święcicki.

II.

W wydaném niedawno w Gnieźnie przez p. Sieniawskiego dziele: „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych,” autor, rozpatrując znaczenie dawnych Witeników, na str. 384 powiada: „Po tém, cośmy

przytoczyli o dzielnych „Withenici,” wypada nam odrzucić, jako bezpodstawny sąd, który o nich powtarza J. Bartoszewicz („Historya Pierwotna Polski,” t. I, str. 296) za Bogusławskim, „że byli to najpierwsi zdrajcy narodowości i plemienia.”

Nigdy nic podobnego nie mówiłem i sam Bartoszewicz, wyrzekłszy wzmiankowane wyrazy, nie przypisuje mi takowych. Tymczasem rzucone przez p. Sieniawskiego podejrzenie, że jakoby Bartoszewicz został uwiedziony mylnością mego poglądu na Wieteników, może posłużyć komukolwiek za powód do mniemania o lekkości traktowania przezemnie dziejów serbo-łużyckich. Dlatego liczę za obowiązek powtórzyć to, co pisałem w r. 1861 o Wietenikach, mianowicie: „ujęci w karby posłuszeństwa niemieckiego, postawieni wspólnie z cesarskimi ludźmi do obrony grodów margrafstwa Miszowskiego, Wietenicy na każdym kroku okazują niechęć ku cesarstwu, nie chcą się bić z Polakami, wchodzi z nimi w zmywy, a lubo Niemcy szubienicą karzą przeniwierców, nic to nie pomaga. Wietenicy burzą się przeciw swym naczelnym grafom, obwołują śmierć im i wydają nieprzyjaciółom powierzone ich obronie bramy i przedmieścia.” (Rys dziejów serbo-łużyckich,” str. 92).

Oprócz tego, zastanawiając się nad żywiołami, które posłużyły do odrodzenia się rozbitków słowiańskiej narodowości w Łużycach, dołożyłem więcej, niż kto inny przedtém, starania do wyjaśnienia znaczenia Wieteników i związku ich ze stanem Wiciaziów, których osady „Wicieżne kubła,” przetrwały do niedawnego czasu. Badania w tym względzie wskazały, że Wietenicy, jako ludzie wojenni, stróże przedmieść i bram w warownych grodach, byli częścią osobnego stanu Wiciaziów, ludzi wolnych, posiadaczy ziemi, z obowiązkiem bronienia jój. A do jakiego rezultatu przyszedłem, niech poświadczą słowa przed dwudziestu laty przezemnie wypowiedziane: „Pisarze niemieccy nie zwrócili uwagi na Wiciaziów; wiedzą oni o ludziach lennych, mieszkających w osadach, należących do panującego i nie obarczonych ciężarami poddańczemi; lecz pomieszawszy posiadane przez nich osady (Wicieżne kubła), z osadami poddańczemi, nazwali je Bauerlehn i odmówili Wiciaziom należnej godności; słowiańscy uczeni o znaczeniu Wiciaziów także nic nie powiedzieli prawie. Dopiero Smolar pierwszy na nich zwrócił uwagę. Lecz pp. Smolar i Hornik, udzielając mi swych uwag o Wiciaziach, niewiele do nich przywiązują znaczenia. Co do mnie, to sądzę inaczej, bo przekonywam się z dziejów, że gdy ziemianie serbscy, przeniwierzywszy się własnej narodowości, poszli szukać zaszczytów w kole rycerstwa niemieckiego, a lud poddańczy skołatany samowolnym postępowaniem swych panów, nie miał siły do podniesienia głosu o wrócenie mu praw, nie już plemiennych; lecz przynajmniej człowieczych, wtedy jedni tylko Wiciazie zostali na straży własnej narodowości. Z ichto łona wyszedł zastęp nauczycielów i księży, wytrwale bojujących w obronie serbskiej narodowości; z ichto łona pochodzą w większej części dzisiejsi uczeni i opiekunowie ludu. Wi-

ciazie zatém uchronili narodowość serbską od zagłady" („Rys dziejów serbo-łużyckich," str. 147).

Gdyby więc p. Sieniawski zechciał być przekonąć się, czy rzeczywiście sąd mój o Wietenikach zasługuje na nagane, znalazłby w méj książce o nich coś więcej, niż to, co powiedział w „Poglądzie na dzieje Słowian;" byłby się dowiedział o Wiciaziach i „Wicieźnych kubłach," których dziejopis zachodnio-północnej Słowiańszczyzny nie powinien opuszczać, a to dlatego, że instytucya ta w starożytności służyła do obrony ziemskiej w Łużycach, przetrwała wszystkie burze najazdu cudzoziemskiego, a w nowsze czasy posłużyła do utworzenia się stanu ludności, która zaśpiewała pieśń odrodzenia!

Wilhelm Bogusławski.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Luty 1880 r.— Członkowie Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem, na zeszlorocznych wyborczych swych zebraniach w miastach gubernialnych, poczynili wnioski do naczelných władz tegoż Towarzystwa, mianowicie: o podwyższenie dotychczasowej skali pożyczek w Listach zastawnych; o rozszerzenie udzielanych im ulg w opłacie należności Towarzystwu z powodu klęsk losowych; o złączenie egzekucyi należności Towarzystwu; o zniesienie opłaty raty z góry od pożyczek; o wytworzenie pożyczek na melioracye gruntowe, tudzież o urządzenie wzajemnego ubezpieczenia nieruchomości i ruchomości od ognia, a nadto plonów od gradobicia.

Naczelne władze Towarzystwa, mając zapewnioną sobie art. 72 Najwyżej zatwierdzonych w d. 12 lipca 1869 r. przepisów, możność czynienia przedstawień do ministra finansów o odmiany lub dopełnienia w razie potrzeby przepisów Towarzystwa obowiązujących, zajęły się rozpoznaniem wniosków wyżej wymienionych i w tym celu wyznały z grona swego delegacyą, która odpowiedni projekt przygotowała. Jakkolwiek, podług obowiązujących przepisów dostatecznymby było przedstawienie rządowi, przyjętego tylko na ogólném zebraniu komitetu, projektu zmian lub dopełnień w prawie; to wszakże od pewnego czasu naczelne władze Towarzystwa uznały za pożyteczne, wszelkie ważniejsze interesa Towarzystwa przedewszystkiém rozbiierać na połączonych swych ogólnych zebraniach, z udziałem prezesów wszystkich Dyrekcyów szczegółowych. Jakoż i do oceny prac delegacyi zebranie takie na dzień 3 lutego r. b. zwołano. Rezultatem obrad nad żądaném rozszerzeniem skali pożyczek, było zaprojektowanie zupełnego zniesienia dotychczasowego regulatora, t. j. podatku gruntowego, który, jak wiadomo, pomnożony przez 40, oznacza maximum pożyczki na dobra bez taksy; pomnożony zaś przez 56 maximum pożyczki za przeprowadzeniem prawidłowej taksy dóbr; w każdym jednak razie, podług przepisów z r. 1872 r., tylko do połowy rzeczywistej wartości dóbr. Najważniejszém tedy zadaniem było wynalezienie racjonalnego sposobu ścisłego udeterminowania téj połowy wartości

majątku, mającej być prawną normą wysokości, mogącej się udzielić na dobra pożyczki, która dotychczas zależała od cyfry podatku gruntowego. Gdy jednak właściciel może sam, przez złożenie nowej deklaracji podatkowej, podwyższyć cyfrę podatku bez wielkich zachodów, co mogłoby dla słabszych majątków stać się pokusą do dociągnięcia taksy do zbyt w takim razie wysokiego mnożnika, przeto instytucja kredytowa, udzielająca pożyczkę na znaczną liczbę lat, nie może się opierać na tak dowolnej podstawie, i to na podstawie, która od Towarzystwa kredytowego ziemskiego nie zależy; ale przez inny zupełnie czynnik zmienioną być może. Chodziło więc o to, czy trzeba usunąć owego ślepego kusiciela do żądania wyższych pożyczek, jakim jest mnożnik podatku gruntowego, lub czy należy raczej szukać rzeczywistej wartości dóbr i wysokości udzielania pożyczki, nie mogącej w myśl prawa nigdy przechodzić połowy wartości dóbr, za pomocą prawidłowego oszacowania wszystkich użytków bez żadnej pokusy i bez hamulca, jakimi są ślepy mnożnik i ruchoma cyfra podatku gruntowego. Tę poważną ekonomiczno-finansową kwestyą starało się rozstrzygnąć obradujące w pierwszej połowie bieżącego miesiąca Zebranie ogólne połączonych władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W tym celu podzielono w projekcie delegacji wszystkie grunta orne na 7 klas, szczegółowo, podług ich rodzaju opisanych; ceny zaś tych gruntów, jakkolwiek w ogólności wyższe są od dotychczasowych dla gruntów dobrych, to jednak obecne maximum ceny rs. 72 za grunt najlepszy utrzymano. Ceny te nie są jednakowe dla wszystkich powiatów, lecz są dwojakie, w miarę warunków ekonomicznych okolic, w jakich dobra są położone. Taryfa wyraźnie oznacza, które gubernie lub powiaty do każdego z dwóch oddziałów, co do cen gruntów należą. Łąki, pastwiska i lasy, także mają właściwą sobie oddzielną taryfę zaprojektowaną. Tak więc skala pożyczek rzeczywiście w projekcie jest rozszerzoną; lecz z tą samą kardynalną zasadą prawa, że pożyczka nie może przenosić połowy rzeczywistej wartości dóbr. Dla zabezpieczenia zaś Towarzystwa i właścicieli Listów zastawnych, ażeby zasada ta przekroczonej nie była, obostrzono projektowaną takse wszechstronnie przez wprowadzenie wszelkich możliwych środków, zmierzających do zapewnienia ścisłości w czynnościach delegatów taksowych, przy zaprowadzeniu nadto przysięgi dla tychże delegatów. Jakkolwiek równocześnie i inne wnioski Stowarzyszonych przez delegacją opracowane rozbierano, to jednak przedewszystkiém uznano za potrzebne i za rzecz najważniejszą dla Stowarzyszonych: przedstawić Rządowi wyżej opisany projekt rozszerzenia skali pożyczek, w których bezwątpienia znajdują też uwzględnienie życzenia kredytu na melioracye rolne. Co się tyczy jednak wzajemnych ubezpieczeń od ognia nieruchomości i ruchomości w dobrach stowarzyszonych, Zebranie zleciło właściwej delegacji zajęcie się jaknajpilniejsze tą nader ważną sprawą.

— Sprawozdanie z czynności Zakładu narodowego Imienia Ossó-

lińskich za rok 1880, ogłoszone drukiem we Lwowie 1880 r., nadeszłe dopiero w miesiącu bieżącym do Warszawy, zawiera, prócz sprawozdania zarządu, czytanego na posiedzeniu publiczném dnia 12 października 1880 r. (str. 20), ciekawą rozprawę historyczną dr. Aleks. Hirschberga: „O dyplomacyi polskiej za Zygmunta I“ (str. 21—46), tudzież Wykaz darów otrzymanych przez Zakład w ciągu roku 1879 (str. 47—131) i Spis osób wchodzących w skład zarządu téj bogatęj instytucyi bibliotecznęj. Z pierwszego dowiadujemy się, że zarząd biblioteki, starając się przedewszystkiém o ułatwienie pracującym na polu piśmiennictwa korzystania z naukowych zbiorów Zakładu, rozpoczął wydawnictwo Katalogu rękopisów biblioteki Ossolińskich, którego I-szy zeszyt, opracowany przez dyrektora Zakładu, dr. Wojciecha Kętrzyńskiego, wyszedł już z druku. W obec ożywiającego się coraz bardziej ruchu naukowego w Zakładzie, podjął oddział biblioteczny nanowo starania około Katalogu przedmiotowego druków. Pracę około tego najważniejszego środka pomocniczego dla wszystkich pracowników na polu piśmiennictwa, rozpoczętą w r. 1851, podtrzymywano do r. 1855; gdy wydawnictwo „Słownika“ Lindego przetrzymała ją w latach następujących. Dziś podjęto nanowo tę nader pożądaną robotę, według systematycznie przez kustosa (dr. Aleks. Hirschberga, docenta uniwersytetu Lwowskiego) ułożonych zasad, zatwierdzonych przez dyrekcją i kuratoryą Zakładu. Umiejętny podział katalogu przedmiotowego nie może być ani zbyt specjalny, ani zanadto ogólny. Porzucając tedy myśl niepraktyczną, objawioną w sprawozdaniu z r. 1854 (podział na 127 działów i poddziałów), przyjęto jako główną podstawę podział Katalogu realnego biblioteki Jagiellońskiej, który obejmuje następujące 16 działów: 1. Teologia. 2. Filozofia. 3. Klasycy rzymscy i greccy. 4. Lingwistyka. 5. Historia polska. 6. Historia powszechna. 7. Historia literatury. 8. Poezya. 9. Powieść. 10. Matematyka. 11. Nauki przyrodzone. 12. Geografia. 13. Pedagogika. 14. Nauki polityczne i prawnicze. 15. Czasopisma i dzieła zbiorowe. 16. Literatura ludowa i dla dzieci. W obrębie tych głównych działów wprowadza się odpowiednie poddziały, zastosowane do wymagań naukowych i specjalnych potrzeb Zakładu Im. Ossolińskich. Dla usunięcia następstw dawniejszych smutnych stosunków finansowych Zakładu, podwyższyła kuratorya znacznie kwotę, przeznaczoną na oprawę i zakupno książek, ponieważ dział książek z wieku XIX przedstawia znaczne niedostatki. Jakkolwiek bowiem licznie nadpływające dary powiększały zbiory Zakładu, nie zdołały one jednak zastąpić systematycznego zaopatrywania biblioteki we wszystkie publikacje, odnoszące się do dziejów i literatury polskiej, historii krajów postronnych i filologii słowiańskiej. Z pomiędzy darów, któremi bibliotekę zbogacono w r. 1879, zasługuje przed innemi na wdzięczną wzmiankę dar ś. p. Antoniego Schneidera, który przed śmiercią przekazał Zakładowi Im. Ossolińskich wszystkie swoje zbiory (1019 dzieł w 1342 tomach i 23 rękopisów); dalej nadesłano Zakładowi z Wilna

za pośrednictwem p. Pawłowicza kolekcją 80 dzieł i broszur rossyjskich, wydanych od r. 1863 w kwestyi polskiej na Litwie, między którymi znajduje się „Zbiór rozporządzeń hr. Michała Mikołajewicza Murawiewa w 1864—1865 roku dla północno-zachodnich gubernii.“ Inwentarz wykazuje (oprócz dubletów) dzieł drukowanych 75,665, atlasów i map 1,089; rękopisów 2,867; autografów 2,689; dyplomatów 872; rycin 23,487; obrazów 676. Inwentarz zbrojowni przeworskiej, należącej do Muzeum książąt Lubomirskich, doszedł do liczby 569, rzeczy muzealnych 1,768; monet polskich 1,697; monet rzymskich 2,603; innych monet starożytnych 413; obcych monet i medali nowożytnych 2,735; dubletów monet 3,000; muszli 1,260; muszli podwójnych 646; zbioru geognostycznego Zeischnera 493; owadów i konchiliów 7,710; ogólnego zbioru oryktognostycznego 980.

Rozprawa d-ra A. Hirschberga „O dyplomacyi polskiej za Zygmunta I nie wyczerpuje wprawdzie téj nader ważnej i doniosłej kwestyi; ale ze stanowiska dziejów powszechnych zwraca uwagę na wiele szczegółów, które wszechstronniej rozebrane, mogą przyczynić się do wyjaśnienia jednostronnych poglądów na naszą przeszłość. Wyrobiona przez literaturę powieściową, zbierającą najobfitsze żniwo ze stosunków wieku XVIII, w naszej szerszej publiczności opinia, że Rzplita polska nie miała nigdy ani rządu silnego, ani dobrze zaopatrzonego skarbu, ani odpowiedniej siły zbrojnej, ani polityki prowadzonej racjonalnie, ani wreszcie dyplomacyi, któraby umiała skutecznie pracować nad osiągnięciem naszych celów politycznych; opinia ta znalazła zapalczywe poparcie w niektórych nowszych dziełach historycznych. Lecz obok tych wyobrażeń rozwijają się także inne cokolwiek poglądy i pojęcia, które dr. Hirschberg stara się wyказаć w treściwym przeglądzie energicznej i nie bezskutecznej w wielu razach działalności naszych mężów stanu z wieku Zygmunta I. Nie możemy na tém miejscu zastanawiać się szczegółowiej nad tym traktatem dr. Hirschberga; ale pragnęlibyśmy dokładniejszego wykładu pierwiastków rodzącego się na dworze Jagiellonów współzawodnictwa monarchii francuzkiej z cesarstwem niemieckim, współzawodnictwa eksploatowanego przez inne potencje w widokach uniwersalnych, nie umiejących często szanować interesów politycznych polskich; bo ztąd pokazałoby się dowodniej jeszcze, jak to dr. Hirschberg zbyt treściwie wskazał, że dzieło sekularyzacyi Prus na korzyść margr. brandeburskich w znacznej mierze na tym gruncie wzrosło i dojrzało.

— W d. 10 lutego b. r. odbył wydział historyczno-filozoficzny Akademii Umiejętności w Krakowie posiedzenie, na którym prof. dr. Heyzmann wyraził imieniem wydziału radość z powodu powołania przez cesarza sekretarza generalnego dra Józefa Szujskiego do izby panów, podnosząc ten zaszczyt dla Akademii, iż jój prezes i sekretarz generalny w uznaniu zasług swoich w nauce znaleźli miejsce w tak poważnym gronie. Następnie poświęcił prof. H. kilka słów ś. p. Andrzejowi Rydzowskiemu, wielce zasłużonemu krajowi, miastu i nauce mężowi. Potém zło-

żył dr. Józef Szujski dwie, na ręce jego nadane prace, a mianowicie jedną p. Kanteckiego: „Kiedy przeniesiono wybory kwestorów z komicyów centuryatów do komicy trybutów,” a drugą p. Marcellego Turkawskiego: „Zbiory archiwalne w Samborze z wieku XVII,” które to prace powierzył wydział dwom członkom swym do zdania o nich sprawy. Przystępując do porządku dziennego odczytał p. Stanisław Zараński wstęp do swego dzieła: „Nowy organ dydaktyki według metody Bakona,” w którym na tle dziejowem wykazać zamierza przede-wszystkiem potrzebę wychowania religijnego i narodowego, następnie konieczność wskrzeszenia, odnoszącego się do téj materyi pojęcia polskiego, porównanego z niemieckim, nakoniec stosowność obejrzenia się za właściwymi środkami i drogami, wiodącemi najbezpieczniej do urzeczywistnienia celów, zdrową pedagogią i takąż dydaktyką wskazanych. Z założeniem tém łączy autor porównanie metod, następnie dowód, że nasza zeszlowieczna komisya edukacyjna najlepszej z nich t. j. metodzie Bakonowej, naczelny rząd w szkole powierzyła; wreszcie że mylném jest rozpowszechnione u nas zdanie, jakoby dzisiejsza pedagogika powszechna Komisją przewyższyła. W dalszym ciągu posiedzenia czytał prof. dr. Bobrzyński drugą część rozprawy swojej: „O organizacyi pierwotnej społeczeństwa polskiego,” a mianowicie: „O Kmieciach w pierwotnej Polsce” i rozbierał „Księgę fundacyjną klasztoru Henrykowskiego na Szlązku,” a w szczególności wzmianki jęj, odnoszące się do drobnych właścicieli gruntowych. Zdaniem autora należą oni wszyscy do rycerstwa; siedzą na gruntach, nadanych im przez panującego jako rycerstwu; w skutek rozrodzenia się i podziału gruntów, tworzą zaścianki rycerskie (nazywane patronimicznie podobnie, jak osady włościańskie) z drobną własnością gruntową, a wyróżniają się wybitnie od włościan (*rustici*), którzy według tego samego źródła uprawiają dobra księcia, lecz żadnego do tych dóbr rzeczowego prawa nie posiadają. Gdy więc drobna własność gruntowa nie jest pierwotną, lecz z nadania książęcego za zasługi rycerskie pochodzi; gdy właściciele jęj nie mają nic wspólnego z włościanami, lecz całym swém osobistém stanowiskiem równają się z majątniejszém rycerstwem: przeto niepodobna ich uważać za resztki dawnych, wymierających kmieci; lecz owszem za produkt świeżych stosunków politycznych, za pierwsze przykłady tak licznej później zaściankowej szlachty. W dyskusyi nad tym przedmiotem profesor dr. Smolka utrzymuje, że wykazanie jednostek z klasy wolnych właścicieli drobnego gruntu, na podstawie księgi Henrykowskiej, nie może jeszcze rozstrzygać o istnieniu takiej klasy w pierwotnym ustroju społecznym Polski, a to z powodu szczególnych właściwości obszaru, którym się ta księga zajmuje; stwierdza jednak, że klasa taka według wskazówek, z téj księgi zaczerpniętych, musiała być pospolitym typem społecznym w dobie z końca XII i XIII wieku. Zastrzega się przytém przeciw zasadniczemu odróżnianiu téj klasy od stanu rycerskiego, gdyż niepodobna jęj pojmować inaczej, tylko jako niższą warstwę ludności wolnej, na której bez wyjątku ciężył obowią-

zek służby rycerskiej. Dalszy ciąg rozprawy odłożono do posiedzenia najbliższego.

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu z d. 7 Lutego, dr. Szulca zdał sprawę z delegacyi na pogrzeb ś. p. ks. Franciszka Malinowskiego. Poczem prezes wydziału p. Koźmian zapytał d-ra Szulca, co się dzieje z rękopismami ś. p. ks. Malinowskiego i czy nie należałoby się zająć ich wydawnictwem, do którego, jak sądzi, mogłoby się przyczynić tak pozn. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, jak niemniej Akademia Umiejętności w Krakowie, oraz zakład Ossolińskich we Lwowie, a wreszcie prywatni mecenas, niepodobna bowiem pozwolić, aby dzieła tak głębokiej nauki w rękopismach spoczywały. Dr. Szulca odpowiedział, że rękopismami temi rozporządza rodzina zmarłego, która bez wątpienia zgodzi się na wydanie tych dzieł, tembardziej skoro Towarzystwo oświadcza się z gotowością przyłożenia się do wydawnictwa. Zdaniem dra Szulca przedewszystkiem należałoby wydać gramatykę starosłowiańską, gramatykę litewską i gramatykę rusińską. Jest zatem nadzieja, że rękopisma pozostałe po zmarłym ś. p. ks. Malinowskim nie będą czekały długo w ukryciu. Poczem jeden z członków Towarzystwa zdawał sprawę ze świeżo wyszłego w księgarni J. K. Zupańskiego dzieła p. Bronisława Zaleskiego p. t.: „Żywot ks. Adama Jerzego Czartoryskiego.” Sprawozdawca przedewszystkiem oddał hołd ś. p. Bronisławowi Zaleskiemu, jako naturze nawskroś szlachećnej, zacnej i prawej. Taka natura, zrodzona na przyjaciela; ale ze względu na miętkość charakteru, nie kwalifikuje się na historyka. Odbija się też to na dziele ś. p. Bronisława Zaleskiego. Pod względem bowiem historycznym ma wielkie usterki;—jako płód literacki za to jest znakomitým. Poczem przytacza sprawozdawca treść dzieła. We wstępnej części dzieła wskazuje na zbyt pobieżne ocenienie działalności Michała i Augusta ks. Czartoryskich, którzy po raz pierwszy w sprawach wewnętrznych Polski, odwołali się do interwencyi zagranicznej. Dalej podał treść dotyczącą życia Adama ks. Czartoryskiego. Tom I dzieła kończy się wstąpieniem na tron Cesarza Aleksandra I-go, przywołaniem do Petersburga przezeń z Neapolu ks. Adama Czartoryskiego i zamianowaniem go potem wkrótce ministrem spraw zagranicznych.

— Wydawnictwa „Źródeł dziejowych,” prowadzonego z chwalebny m staraniem przez prof. A. Pawińskiego, wyszedł tom VIII-y, zawierający szacowne studyum prof. Pawińskiego p. t.: „Skarbowość w Polsce i jój dzieje za Stefana Batorego.” Warszawa, 1881 r., str. IX i 470. Tytuł dzieła tylko co wymienionego, mógłby czytelnika w błąd wprowadzić, ponieważ nie mamy tu materyału źródłowego, lecz rozprawę o Skarbowości za Stefana Batorego, która ma służyć za wstęp informacyjny do ksiąg Wydziału skarbowego, mających powiększyć szereg Źródeł dziejowych. Zapowiedziany już tom IX, w 2-óch częściach, zawierać będzie „Księgi skarbowe z czasów Stefana Batorego od r. 1576 do 1586.” Prócz tego powołuje się p. Pawiński w pracy ni-

niejszej na t. XI i XII, które zapewne materiały skarbowy w dalszym ciągu przedstawiać będą. Po tém objaśnieniu nadmieniamy, iż jest to praca tak obfita w przeróżny materiał naukowy, że badacze dziejów polskich z jaknajwiększą powitają ją wdzięcznością, bo przekonają się, że na niwie przeszłości naszej rosły nie same tylko chwasty anarchii: że nie szamotały się wyłącznie ambicje rokoszowej pychy z prawami majestatu korony; że nie sama swawola szlachty, nie same fanatyczne zatargi sporów religijnych, stanowią treść naszego życia publicznego. Autor patrzy jasno na warunki i na istotę swojego zadania (str. 439), które sprawiedliwie rozwiązać można tylko ze stanowiska uniwersalno-historycznego, bo dla dzisiejszego ekonomisty ciasny pogląd ówczesnych statystów na sprawy skarbowe z ich niedokładną organizacją, można sprawiedliwie ocenić tylko przez porównanie urzędów skarbowych w Polsce, z urządzeniami skarbowymi w państwach ówczesnych zachodnich, w tym samym okresie. „Badanie na tém stanowisku podjęte wykazałoby dopiero, co było u nas zjawiskiem wyjątkowym, co zaś ogólnem i powszechnem w całej Europie zachodniej”; pokazałoby, czyśmy się w owęj epoce gorzej rządili od Niemiec, Francji, Anglii i innych. Nim wydrukowany całkowity materiał nastreczy badaczom przeszłości naszej sposobność oceny naukowej wartości niniejszego studyum, pragnęlibyśmy tymczasowo zwrócić pilną uwagę czytelnika na jego treść bogatą i pouczającą. Autor zaznaczywszy stan badań na polu skarbowości i uwydatniwszy bogactwo materiału źródłowego z epoki Batorego, w porównaniu z ubóstwem pod tym względem z epoki dwóch ostatnich Jagiellonów, rozpatruje najprzód wszystkie źródła, z których płynęły zasiłki do skarbu. W Rzeczypospolitej polskiej były dwa skarby, mianowicie: starszy książęcy, czyli później nadwornym zwany, i młodszy skarb Rzeczypospolitej, czyli pospolity. Nadworny był skarbem stałym i zasiliał się dochodami czerpanymi corocznie z dóbr królewskich, z żup solnych, z ceł koronnych; drugi zaś, czyli pospolity, napełniał się tylko od czasu do czasu, w miarę uchwalanych co lat kilka poborów, z nieśmiałą dążnością stworzenia stałego skarbu publicznego. Wskazanie po szczególe każdego źródła dochodu skarbu nadwornego ¹⁾ i pospolitego ²⁾, z zachodzącymi

¹⁾ I. Dobra ziemskie królewskie: 1) dobra zastawne (dożywocia); 2) dożywocia gołe; 3) dzierżawy; 4) dobra do wiernych rąk oddane. II. Żupy solne: 1) żupy krakowskie; 2) żupy ruskie; 3) warzelnie soli; 4) komory solne. III. Cła i myta: 1) cło Wielko i Mało-polskie; 2) cło ruskie; 3) cło podlaskie, wołyńskie i kijowskie; 4) cło wodne wrocławskie. IV. Podwodne: 1) podwody; 2) stacyjne; 3) koronacyjne. V. 1) Olbora (olkuska); 2) dochód menniczny; 3) funtcol.

²⁾ I. Dochody skarbu rawskiego: 1) Kwarta; 2) Annaty. II. Dochody skarbu koronnego (podatki sejmowe): 1) pobór łanowy wiejski; 2) szos; 3) łanowe miejskie; 4) podatek od rzemiosła, przemysłu i handlu; 5) czwarty grosz celny; 6) od towarów przewozowych; 7) podatek od pieniędzy wypoży-

w niektórych razach zmianami, stanowi ważny przyczynek do dziejów skarbowości za Stefana Batorego. Dalej, przechodzi autor rozchody, czyli wydatki, tak królewskie, czyli skarbu nadwornego ¹⁾, jako i Rzeczypospolitej: tak rawskiego ²⁾, jako i koronnego ³⁾; z czem łączą się długi, będące wynikiem nadwężenia równowagi między dochodem, a rozchodem. W rozdziale 6-tym przedstawia autor obraz urządzeń skarbowych i postępowania skarbowego, wskazując: 1) zasady wybierania dochodów w ogóle, a skarbu nadwornego w szczególe; 2) przechowanie pieniędzy; 3) inwentarze, rachunki, rewizye; 4) budżet (sposoby wymiarkowania dochodów z rachunków poprzedniego roku). W rozdziale 7-ym wykazuje p. Pawiński związek, jaki zachodzi między sprawami skarbowymi, a całym życiem politycznym. Wojna staje się przyczyną powstania skarbu koronnego. 1) Wyprawa gdańska; 2) wojna z carem Iwanem; 3) wyprawa pod Wielkie Łuki; 4) wyprawa pskowska. W rozdziale 8-ym czytamy: 1) uwagi krytyczne o stosunkach skarbowych, w pismach ówczesnej epoki znachodzące się; 2) krytykę ówczesnych stosunków skarbowych ze stanowiska nowoczesnej umiejętności skarbowej. W dołączonych do niniejszego dzieła dwóch dodatkach traktuje p. Pawiński: I. O mennicy i monecie: 1) dzieje mennicy za Stefana Batorego; 2) ordynacya menniczna z r. 1578; 3) waga i wartość monety. II. O skarbowości litewskiej. Brak źródeł. Wspólne wydatki Rzeczypospolitej mimo różności skarbów. Porównanie dochodów z dochodami w Koronie.—Treści tak obfitej niepodobna w tém miejscu rozbierać, chcielibyśmy tylko na jedną okoliczność zwrócić uwagę czytelnika. Pan Pawiński podnosi (str. 383, 384) z widocznym zapętem projekt reformy skarbowości Rzeczypospolitej, przez Frycza (Modrzewskiego) zalecany, a przy zgodzie z trafnymi kombinacyami Jana Łaskiego, co do utworzenia skarbu stałego, polegający na uwolnieniu zupełnym „uciemiezonego chłopca od obowiązku przykładania się swym groszem do sprawy publicznej.” „Tą myślą wzniosła i wielką, pisze p. Pawiński, wzbili się Modrzewski wysoko ponad poziom ówczesnych przywódców szlacheckiej rzeszy.” Nam się zdaje, że przy naukowym rozbiorze kwestyi racjonalnego urządzenia skarbowości

czanych; 8) podatek nogatowy, czyli wodny, od zboża i towarów leśnych, wywożonych przez kupców, a nie przez szlachtę; 9) czopowe; 10) pogłówne żydowskie. III. Pobory z ziem pruskich. IV. Dochody nadzwyczajne: 1) donatywa duchownych; 2) z tytułu zwierzchności nad księztwami lennemi; 3) kontrybucye i łupy wojenne.

¹⁾ 1) Rozchody zwyczajne: utrzymanie dworu królewskiego; 2) rozchody nadzwyczajne: dyety, czyli strawno posłom sejmowym po 80, 48 i 32 złote na czas 6-tygodniowy. Upominki dla posłów zagranicznych, dla hordy tatarskiej; 3) rozchody na utrzymanie dworu królowej.

²⁾ 1) Wydatki na wojsko służebne; 2) rozchody na zarząd skarbowy.

³⁾ 1) Wydatki wojenne; 2) wydatki na zarząd skarbowy. Wydatki na utrzymanie poborców sejmowych ($4\frac{1}{2}\%$ ogólnego wydatku).

któregokolwiek kraju, nie można mieszać szlachealnych uczuć, płynących z pobudek filantropijnych, z pojęciami ekonomicznymi, na zasadzie sprawiedliwości opartymi. Nadmiernego ucisku włościan przez ówczesny stan panujący ani chwalić, ani usprawiedliwiać nauka historii nie pozwala; lecz równocześnie ostrzega nas dobrze zrozumiany interes ogółu o tém, że ciężary publiczne powinny być rozłożone w sprawiedliwym stosunku na wszystkie warstwy społeczeństwa, bo tylko na drodze dźwignania powszechnych obowiązków przez wszystkich, dobijamy się zasłużonego równouprawnienia. Tak jak uwolnienie się szlachty od ponoszenia ciężarów opodatkowania, było szkodliwem dla ogólnych interesów państwa i społeczeństwa, jak było krzywdą względem ludności rolniczej, włościańskiej, kmiećej; tak też uwolnienie zupełne tej warstwy narodu od obowiązku przykładania się do ponoszenia odpowiedniej części ciężarów publicznych, musi każdy ekonomista uważać za szkodliwą fikcją i za doktrynę nadwierzającą ogólną zdolność ponoszenia ciężarów podatkowych przez cały naród. Nie myślimy robić Fryczowi zarzutu za tę jego doktrynę, którą najnowsi opiekunowie włościan tak gwałtownie i jednostronnie wykonują: owszem, umiemy cenić szlachealność uczuć poważnego męża, oburzającego się na nadmierny ucisk roboczego ludu; ale sposobu zalecanego przez niego w widokach polepszenia urzędnictwa skarbowości, pochwalić nie możemy, bo takie niesprawiedliwe i nie ekonomiczne postępowanie wiecznie by ów już i tak szorstki przedział między jedną a drugą klasą narodu. Skarb najlepiej wtenczas prosperować będzie, gdy wszystkie warstwy społeczeństwa w odpowiednim sprawiedliwym stosunku zasilać go będą. Nie lekceważymy pobudek projektu Frycza, tak jak nie możemy pochwalić projektów tych reformatorów szlacheckich, którzy oszczędzając zupełnie szlachtę, pragną zwalić cały ciężar podatków na duchowieństwo, miasta i ludność roboczą, bo i ta druga ostateczność nie zasługuje na uznanie w oczach nauki skarbowej, ponieważ grzeszy samolubną kastywą jednostronnością. Przy tej sposobności, pomijając już pracę p. Pawińskiego, nie przedstawiającą tak radykalnej konkluzji—nadmieniamy, że publicyści, oburzający się na stosunki pańszczyzniane w Europie wieku XIX-go, po zwycięztwie idei rewolucyj francuzkiej, nie powinni zapominać o tém, że ani w wiekach średnich, ani w wieku XVI-ym nie było jeszcze nigdzie dokładnie zorganizowanych gospodarstw folwarcznych. Chwaląc zaś te społeczeństwa, które wykarczowały jak największe przestrzenie leśne; które zajęły pod pług nieprzejrzone pustki; które zdobyły dla produkcji jak największe przestrzenie zaniebdanych dziewiczych gruntów: trzeba nam sobie stawić pytanie, czyby przy ówczesnej organizacji państwowej i przy nielicznej populacji, tudzież przy ograniczonych nadzwyczaj potrzebach, można było dokonać tych dzieł bez roboty pańszczyznianej, za pomocą swobodnego najemnika? Miliony musiały pracować przez dziesiątki wieków na to, abyśmy się dzisiaj wyżywić mogli. Te miliony zasłużyły się dobrze ludzkości i dlatego powinna się była ludzkość spieszyć z przyznaniem im bez za-

wiści praw, w tak wysokim stopniu zasłużonych; chodzi dzisiaj tylko o to, aby zaciekle doktrynery nie wprowadzała tej sprawy na drogę rekryminacji, do której nowsze pokolenia nie następują powodu.

— Dr. Franciszek Kasperek, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydał II-gi tom dzieła p. t.: „Prawo polityczne ogólne z uwzględnieniem austriackiego, razem ze wstępną nauką ogólną o państwie. Kraków, 1881 r., str. VIII, 1016. (T. I-szy, którego recenzją ogłosiła „Bibl. Warsz.“ z roku 1878; t. III, str. 147—153 wyszedł r. 1857). W obec nielicznego zastępu poważnych pracowników na polu nauk politycznych w literaturze polskiej, witamy z wdzięcznością tę sumienną i mozolną pracę w piśmiennictwie naszym. Szczegółowy rozbiór mógłby tylko sprawiedliwie ocenić zalety i wady tego dzieła, które obok staranności o jaknajwszechstronniejsze obrobienie przedmiotu, stało się trochę przyrozwlekłym, niepotrzebnie czasem mniej ważnym materiałem bibliograficznym i elementarnymi wywodami obciążonym. Czytelnik patrzy prawie na mozolne trudy sumiennego badacza, gdy pragnąłby tylko poznać rezultaty tych badań, dokładnie, ale jaknajtreściwiej wymotywowane. W rozdziale V-tym mówi dr. Kasperek w § 32-im „O ustroju dawniej Polski“ (str. 258—291) nie uwzględniając jednak ani jednem słówkiem zasad i teorii tworzenia się organicznego państw, chociaż o tej kwestyi rozprawiał bardzo obszernie w 11 paragrafach (str. 2—89). P. Kasperek nie korzysta tu wcale z wyłożonego przez siebie systemu; ale idzie z całą ufnością za poglądami M. Bobrzyńskiego. Ponieważ stanowisko prof. Bobrzyńskiego przedstawia wiele punktów spornych, przeto było zadaniem dzieła, poświęconego nauce prawa politycznego, zbadać krytycznie wartość naukową ścierających się z sobą teorii. P. Kasperek nie zwraca jednak na te kwestye swojej uwagi; lecz z wyjątkiem przeciwnego poglądu na znaczenie polityczne aktu unii Lubelskiej (str. 274 i 275), znajdującąj uznanie i u Hüppego (Verfassung der Republik Polen. Berlin, 1867 r.) streszcza idee p. Bobrzyńskiego, dopóki dzieła jego starczy. Zadekretowawszy na str. 284, że przy niekorzystnym położeniu geograficznem Rzplitej, „liczne żywioły anarchii musiały spowodować upadek państwa i społeczeństwa,“ ocenia treściwie ale sprawiedliwie wartość ustawy 1791 r., wskazując kilku słowy dalsze losy każdej z 3-ch rozerwanych części. Na jakiej zasadzie utrzymuje sz. profesor (str. 290), że „Królestwo od r. 1832 zachowało według statutu organicznego pewną odrębność administracyjną do roku 1864,“ nie możemy odgadnąć, bo dzieło nie przytacza żadnego na to dowodu, a powszechnie wiadomo, że dla względów politycznych pozostał tak zwany Statut organiczny martwą literą. W każdym razie będzie dzieło prof. Kasparka bardzo pożądaną książką dla uczących się młodzieży akademickiej.

— „Biblioteki Najcelniejszych utworów literatury europejskiej,“ wydawaną nakładem S. Lewenthala, wyszły z druku 2 tomy, miano-

wicie: tom 84 zawiera: *a*) z literatury polskiej: „Dzieje literatury powszechnéj,” t. I, ark. 12—16; *b*) z literatury francuzkiej: „Komedye ludzką,” przez Honoryusza Balzaka, tom II: „Eugenia Grandet,” „Gabinet starożytności,” przekład Maryi Trzczińskiej; *c*) z literatury niemieckiej: „Wybór pism,” Pawła Heysego: „Sabinki,” „Samotnia,” „Odrodzenie Annina,” „Wdówka z Pizy,” „Węgierska Hrabina,” „Męzczennik wyobraźni,” „Dziecię wieszczek.” Tom 85 zawiera: *a*) z literatury francuzkiej: „Komedye ludzką,” p. Hon. Balzaka, t. III, ark. 1—7; *b*) z literatury niemieckiej: „Pieśń o Nibelungach,” w przekładzie A. J. Szabrańskiego, ark. 1; *c*) z literatury hiszpańskiej: „Komedye wybrane” Lopez de Vega, w przekładzie A. Świącickiego, ark. 1, 2.

— „Encyklopedyi wychowawczej” t. I-go wyszedł zeszyt 7, zawierający następujące artykuły: „Astronomia” (dok.), p. J. Kowalczyka; „Ateneum” p. J. K. P.; „Atlasy” p. Ad. Dygasińskiego; „Atlasy zoologiczne,” p. A. Ślosarskiego; „Augustyn Ś-ty,” p. E. St.; „Australia,” p. E. St.; „Austria,” p. S. Z. (początek).

— W uniwersytecie Jagiellońskim habilitował się dr. Leon Kulczyński na docenta pedagogii. Rozprawę habilitacyjną p. t.: „Wykształcenie nauczyciela gimnazyalnego,” jako téż odbyty d. 11 lutego r. b. wykład próbny: „O wpływie pedagogiki Herbarta na zarys organizacyjny (?), wydany w r. 1849 dla austryackich gimnazyów,” przyjęło kolegium profesorskie z jednomyślném uznaniem.

— W Kaliskiem nauczyciele elementarni tamtejsi wystąpili do miejscowej dyrekcji naukowej z prośbą, licznemi podpisami zaopatrzoną, o wyjednanie zezwolenia władzy wyższej na założenie Kasy wsparcia dla wdów i sierot po nauczycielach. Spodziewać się wypada, iż rzeczona dyrekcya oceni jak należy ten krok, przez troskliwość i poczucie rodzinnych obowiązków wywołany i prośbę nauczycieli usilnie poprze.

— Ks. Józef Pelczar, dr. teol., napisał obszerne dzieło, rzucające niemało światła na ważniejsze idee naszego wieku p. t.: „Pius IX i wiek jego.” Kraków, 1881 r.

— Br. Rejchman obdarzył literaturę naszą, w zakresie geografii, książką bardzo zajmującą p. t.: „Z dalekiego Wschodu. Wrażenia, obrazki, opisy z dobrowolnej podróży po Syberji. Warszawa, 1881 r., str. 287. Kraina ta groźnego nazwiska i ztój sławy, znana u nas raczej z wieści i wrażeń, niż z badań, zwraca obecnie baczniejszą na siebie uwagę świata. Sprawily to nie tyle jeszcze rodzime jój zasoby i budzący się przemysł, ile położenie zbliżające ją do krańcowego Wschodu, zasklepionego do niedawna w sobie, zrywającego się dzisiaj do cywilizacji odpychanéj niegdyś Europy i do udziału w jój sprawach. Nie pierwszy wprawdzie to głos w piśmiennictwie naszym z tych stron odległych, z opowiadań wszakże dawniejszych, jedne grzeszyły powierzchownością, inne przesadą. P. Rejchman unie obserwować; obrazki, rzucane pobieżnie w oderwanych ustępach, nie roszczą pretensyi do wyczerpującego studyum, zbyt krótko i w szczupłej częst-

ce widzianej krainy, pojąją jednak wiele rysów charakterystycznych, skreślonych trafnie i barwnie a powściągliwie. Całość składa ustępów głównych trzy: 1. Przez ćwierć kuli ziemskiej; charakterystyka drogi do Irkucka. 2. Za Świętém morzem; obrazki z Mongolii rosyjskiej. 3. Złoto w Syberji wschodniej. Każdy z tych działów obejmuje liczne ustępy bliżej z sobą powiązane, osobnemi opatrzone nagłówkami. Szkoda, że nie dołączono do książki spisu ułatwiającego i przegląd treści ogólny i odszukanie szczegółów. Książkę przeczyta z zajęciem nawet ten, co dłużej niżeli nasz dobrowolny podróżnik tam mieszkał, ten zaś, komu los oszczędził widoku tej krainy złota i niedoli, straszliwej zimy i lata strojnego kwiatami Południa, wyrzutek społeczeństwa i ludzi wielkiej zachości, nie utworzy sobie przynajmniej błędnego pojęcia, jakie częstokroć się wynosi z czytania głośnych nawet z talentu podróżników.

A. W.

— Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa geologicznego w Londynie odczytano zajmujące sprawozdanie p. Leigh Smith o letniej podróży do kraju Franciszka Józefa. Pan Leigh Smith udał się w swym jachcie parowym „Eira” z Piccadilli wprost w okolice podbiegunowe, aby z wypróbowanymi towarzyszami zwiedzić kraj Franciszka. Kraj ten położony na zachód od Szpitzbergu, na wschód od Nowej Ziemi, odkryty przez Weyprechta i Payera, nie był dotąd stopą ludzką dotknięty, chociaż rozmaite pod tym względem podejmowano usiłowania (Holendrzy: Bruyne i Beyneu, w roku 1878 i 1879). Pan Leigh Smith szczęśliwszym był od nich, gdyż wypłynąwszy w dniu 20 czerwca r. z. w Lerwich i przebiwszy się w pierwszej połowie sierpnia przez krę, niosącą wielkie masy lodów, znalazł się w tym miesiącu pod wyspą Mayen, należącą do grupy kraju Franciszka Józefa. W przeciągu dwóch miesięcy osiągnął zatem cel swój bez wielkich trudności. Ztamtąd krążył Leigh Smith wzdłuż południowego i zachodniego wybrzeża, i zbadał około 180 kilometrów nieopisanych dotąd punktów wybrzeża. Śladów ludzkich nie znaleziono w tych pustych okolicach, za to było pełno ptastwa na skałach, lisów i niedźwiedzi na wznosach, a koni i lwów morskich na wodach. Podróżni odkryli w kraju Franciszka Józefa wyraźne ślady wapiennego kamienia, jaki się znajduje w Nowej Ziemi, nie mogli jednak z powodu zbliżającej się zimy czynić dalszych poszukiwań. Na przyszłe lato zamierza p. Leigh Smith powtórzyć wycieczkę. Z pozostawionego tam okrętu „Tegethoff.” nie napotkał on ani śladu.

— PP. Gustaw i Jan Zielińscy wydali w roku 1880 w Toruniu dziełko genealogiczne p. t.: „Wiadomość historyczna o rodzie Świnków oraz rodowód pochodzącej od nich rodziny Zielińskich, herbu Świnka;” część I, od najdawniejszych czasów do r. 1600, str. 240, z VII tablicami genealogicznymi. Tak co do pięknej, powiedziałbym prawie wspaniałej zewnętrznej formy wydania, jako i co do osnowy dziełka, uważam je za wybitne documentum pietatis pp. Zielińskich względem swoich przodków. Dla badań ogólniejszego interesu naukowego

nie spotkaliśmy tu ani pod względem prawnym ani historycznym żadnego ważniejszego faktu.

— Z powodu zbliżającego się uroczystego narodowego obchodu, który Hiszpania święcić ma na cześć swego wielkiego poety Calderon de la Barca, akademія madrycka ogłasza konkurs na napisanie poematu na cześć Calderona. Między językami, w których poemat ten może być napisany, mieści się i język polski. Nagrodą zwycięzcy na konkursie, ma być złoty medal wartości 1,000 fr, dyplom honorowy na członka Akademii i 500 egzemplarzy uwiecznionego poematu odbitych na pergaminie. Poemat ma liczyć najmnieǳ 200 wierszy, a termin jego nadesłania do Madrytu upływa z dniem 31 marca r. b.

— Wyszły z druku zeszyty XIV i XV (2-gi i 3-ci t. II-go) „Słownika geograficznego polskiego,” obejmujące w porządku alfabetycznym wyrazy od „Dobrowola” do „Dybowo.” Z ważniejszych artykułów zeszyty te obejmują: „Dobrzyń” (z Ziemią dobrzyńską), „Dolina” (powiat), „Domontów,” „Dorpat,” „Drohobycz,” (powiat), „Drohowyż,” „Dubno,” „Dunajec.”

— „Księgi stad,” wydawnictwa arcy pożytecznego i dla naszej hodowli zwierząt domowych wielkie mającego znaczenie a wychodzącego pod kierunkiem pp. Sypniewskiego i Wilkońskiego, ukazała się w tych dniach pierwsza część Księgi III (Bydło rogate).

— Th. Zieliński wydał w Lipsku w języku niemieckim dzieło, przychylnie ocenione przez krytykę niemiecką, o ostatnich latach drugiej wojny punickiej p. t.: „Die letzten Jahre des zweiten punischen Krieges;” Ein Beitrag zur Geschichte und Quellenkunde. Leipz. 1880, str. 176. Dzieło rozpada się na dwie części: 1) sytuacja faktów historycznych: krytyka dotychczasowej tradycyi o główniejszych wypadkach aż do bitwy pod Zamą; 2) rozbiór krytyczny źródeł. Rezultatem tego gruntownego studyum jest konkluzya autora, że obraz przedstawiony nam przez Liwiusza i Polibiusza, jest wiarogodniejszym od obrazu Dio Cassyusza i Appiana. Liwiusz i Polibiusz nie korzystali z jednego źródła, tylko Liwiusz czerpał z Polibiusza, korzystając prócz tego i ze źródeł pobocznych (Coeliusz Antypater, Valeryusz Antyasz).

— Prof. uniwersytetu w Tybindze J. Pflugk-Hartung, wydał w Tybindze r. 1880 dzieło p. t.: „Acta pontificum romanorum inedita,” t. I, w 2ch częściach, str. VIII, 388. Jestto zbiór rozmaitych dokumentów, wydawanych z kancelaryi papieżkiej od r. 748 do r. 1198, nieogłoszonych dotąd wcale drukiem, albo téż niedokładnie i błędnie wydanych. Praca bardzo sumienna i z całą ścisłością metody naukowej i przezorności krytycznej dokonana: z potrzebnym aparatem krytycznym, dostatecznemi indeksami i t. p.

— Ulysses Chevalier rozpoczął dzieło nadwzyczaj pożądanе dla badaczów historyi wieków średnich p. t.: „Repertoire des sources historiques du moyen-âge. Bio-bibliografie. I Fasc. A—C; II Fasc. D—I; III Fasc. I—O. Paris, 1877—1880, str. 1702. Dzieło pomienione, wypracowane z polecenia Towarzystwa bibliograficznego w Paryżu, można uważać za ważne uzupełnienie znanego dziejopisarzom dzieła

Potthasta (*Bibliotheca historica medii aevi*), ułatwiający uczonej zorientowaniu się w ogromnym materiale źródłowym, nagromadzonym dotychczas na polu historii wieków średnich. Czytelnik znajdzie tu: 1) dokładną informacją o dziełach traktujących o tej lub owej osobistości historycznej, 2) dokładną wiadomość bibliograficzną o dziełach źródłowych. O ile zatem część pierwsza zawiera treść biograficzną, o tyle druga jest osnowy literackiej.

— Ważnym nader zjawiskiem na polu literatury historycznej, jest dzieło uczonego francuzkiego Raoul Rosières, znanego korzystnie na polu naukowym z gruntownych badań nad historią religii Francji (*Recherches critiques sur l'histoire religieuse de la France*) p. t.: „*Histoire de la société française au moyen âge*” (987—1483), 2 vol., a to z tego powodu, że uczonej autor nie zadawalnia się literacką formą opowiadania; ale traktuje przedmiot swój z całą systematycznością naukowej indukcji, podnoszącej sztukę dziejopisarską do godności systematycznej nauki, nie goniącej za wdzięcznymi obrazami, ale badającą ze stanowiska pozytywistycznego prawidła, według których rozwijało się organicznie życie historyczne narodu francuzkiego. Całe dzieło podzielił autor na cztery główne części, mianowicie: 1) Historia władzy królewskiej; 2) Szlachta; 3) Duchowieństwo; 4) Lud.

— Równie ważną nie tylko dla dziejów francuzkich, ale i dla historii tworzenia się reprezentacji narodowej w państwach średniowiecznych, jest dzieło p. Henryka Hervieu p. t.: „*Recherches sur les premiers états-généraux et les assemblées représentatives en France, pendant la première moitié du XIV siècle*,” Paris, 1880, 1 vol. Autor znalazł dowody kilku wcześniejszych, jak dotąd utrzymywano, zgromadzeń stanów generalnych, przez co mógł ukazać w nowym świetle ważny ustęp dziejów francuzkich od r. 1302—1350. Znajdujące się na końcu dzieła tablice przedstawiają w dokładnym obrazie stosunek, w jakim każdy z trzech stanów brał udział w obradach narodowych.

— Rząd francuzki zamierzył utworzyć w Kairze szkołę archeologii wschodniej, na podobieństwo istniejących już tego rodzaju szkół w Rzymie i Atenach. Profesor egiptologii w kolegium francuzkiem p. Maspero, otrzymał polecenie urządzić tam zakład i w tymto celu udać się ma niebawem do Egiptu. Egiptologia jest, jak wiadomo, nauką czysto francuzką. Stworzył ją Champollion-Figeac; inny znów Francuz p. Mariette, utworzył słynne muzeum Boulaq.

— Dziennik „*Le peuple français*” donosi, że ex-cesarzowa Eugenia, skoro tylko urządzi się w nową swoją siedzibę w Farnborough-Hill, ogłosi własną ręką pisany tom p. t.: „*Historia życia i śmierci księcia Napoleona (syna jęj)*,” oraz niewydane dokumenta.” Po tej książce nastąpi drugie dzieło p. t.: „*Les notes de Napoleon III*,” zbiór małych notatek, które cesarz przez cały ciąg swego panowania zapisywał, a które podczas ucieczki z Tuileryów w dniu 4 września 1870 r. szczęśliwie uratowane zostały.

— H. Zwiedineck-Südenhorst wydał w Grazu dzieło o relacjach

posłów weneckich z epoki wojny trzydziestoletniej, rzucające nowe światło na tę burzliwą epokę, mianowicie na sprawę zaburzeń czeskich p. t.: „Venetianische Gesandtschaftsberichte über die böhmische Rebellion (1618—1620) mit besonderer Rücksicht auf die Stellung der deutschen Laender zu derselben,” Graz, 1880.

— G. v. Bülow wydał ciekawe nader dla historii pedagogiki dziełko p. t.: „Beitraege zur Geschichte des pommerschen Schulwesens im 16 Jahrh.,” Stettin, 1880, VII, str. 83. Znajdujemy tu znaczną ilość ówczesnych przepisów szkolnych, planów nauki, sprawozdań z rewizji szkół miejskich (Wollina, Treptowa, Golnowa, Wolgastu, Szczecina i i.), które dają jasny obraz ówczesnej praktyki szkolnej.

— Niezbyt dawne to czasy, jak na sejmie lublańskim hr. Antoni Auersperg (Anastasius Grün), szydził ze Słoweńców, dopominających się, aby dzieciom ich wolno było pobierać nauki szkolne w języku ojczystym. Przyniósł on do sali sejmowej siedm elementarzy słoweńskich, dla większego pośmiewiska zawiązanych w chustce od nosa, i z drwinami pokazywał, jako cały zasób literatury naukowej Słoweńców. Rzeczywiście, literatura słoweńska nie kwitła wówczas: nieszczęsne stosunki pozwalały jój zaledwie wegetować. Ale w niewielu latach jakże się postać rzeczy zmieniła. Obecnie wychodzą w Lublanie dwa czasopisma polityczne: „Slovenski Narod,” gazeta codzienna, mająca 1000 prenumeratorów i „Slovenec,” wydawany trzy razy na tydzień przez duchowieństwo, tudzież tygodnik rolniczy, przemysłowy i polityczny p. t.: „Novice.” W innych miastach wychodzą trzy tygodniki polityczne „Slovenski Gospodar” w Marburgu, „Soča” w Gorycy i „Edinost” w Tryeście, utrzymujące się wszystkie o własnych siłach. W Lublanie wychodzi także czasopismo kościelne „Danica,” które zwłaszcza płeć żeńska czytuje. Czasopisma beletrystyczne wychodzą dwa „Ljublanski Zvon” w Lublanie i „Kres” w Celowcu; pedagogiczne także dwa: „Učiteljski tovarš” w Lublanie i „Popotnik” w Cilli. Nadto wychodzi w Lublanie pismo prawnicze „Slovenski Pravnik” i pismo dla młodzieży „Vertec.” Oprócz tego stowarzyszenie Św. Mohora w Celowcu, wydaje corocznie siedm dziełek treści nauczającej i rozsyła je członkom swoim, których liczy 25,000, a „Matica Slovenska”, licząca 10,000 członków, wydaje dla nich podobnie doborowe dzieła. Niepodobna wreszcie pominąć „Słoweńskiej Knjižnicy, której redaktorem jest p. J. Jurcič. Zważywszy, że Słoweńców jest zaledwie półtora miliona, że konsumentami tych wszystkich płodów ich literatury są po większej części włościanie i że język ich nie jest używany ani w szkołach, ani w urzędach, ani zgoła w życiu publiczném, lecz tylko i jedynie w kole rodzinném, pojąc niepodobna bezczelności Niemców i dziś jeszcze twierdzących, że język i naród słoweński niema prawa istnienia.

— Dnia 10 lutego zmarł w Petersburgu Teodor Dostojewski, znany i zasłużony pisarz rosyjski. Wdowie przyznano, z zezwolenia

Najjaśniejszego Pana, dożywotniej pensyi rs. 2,000, a dzieci jego (syn i córka) przyjęte będą do zakładów naukowych na koszt rządu.

— W Budziszynie istnieje „Towarzystwo pomocy dla uczących się Serbów“ (Łużyczan), które nadesłało nam drukowany program swojej działalności i ustawę. Z umieszczonego na wstępie zarysu historycznego dowiadujemy się, że serbowie łużycy liczą swoją ludność na 160,000, a era odrodzenia się tego plemienia rozpoczyna się z rokiem 1842, w którym pojawiło się wydawnictwo p. t.: „Nowiny tygodniowe.” Zarys ten z wdzięcznością wspomina o Kraszewskim, który na pamiątkę swego jubileuszu nadesłał do „Macierzy serbskiej” fundusz na utworzenie stypendyum dla jednego ucznia gimnazjalnego, rodem serba,—tudzież o p. Parczewskim, adwokacie z Kalisza, którego zowie „wiernym przyjacielem serbów.” „Towarzystwo pomocy” przy „Macierzy serbskiej” zostało zatwierdzone dnia 16 lipca 1880 roku i rozwija się nader szybko, przy czynnym i serdecznym udziale wszystkich łużyczan i innych ludów słowiańskich.

— W „Lodzer Zeitung“ znajdujemy następujące ciekawe historyczne statystyczne cyfry, o przemysłowém mieście Łodzi—tym polskim Manchester. W końcu przeszłego stulecia, gdy Łódź przechodziła pod panowanie pruskie, liczba ludności wynosiła zaledwie 190 ludzi, tak, że nawet rząd pruski zamierzał zamienić ją na wieś. Będąc własnością biskupów Kujawskich, Łódź przeszła w r. 1806 na własność skarbu, i dopiero od téj pory zaczyna się jej rozwój. W r. 1806 liczono już w niej 790 mieszkańców. Swoją dzisiejszą stan zawdzięcza Łódź gorliwości znanych mężów stanu: Staszica, Mostowskiego, Lubeckiego, a głównie ówczesnego namiestnika księcia Zajączka. Według postanowienia namiestnika z dnia 18-go września 1820 roku Łódź zaliczono do rzędu miast fabrycznych. W celach rozwinięcia u nas przemysłu, przywołano majstrów zagranicznych, którym udzielono różne przywileje. W r. 1821 dokonano po raz pierwszy pomiaru gruntów miejskich, które wynosiły 834 morgi, a w roku 1840 po raz drugi. Ludność miasta w tym czasie wynosiła do 20,000 ludzi, a w roku 1870 już doszła do 36,000. Obecnie, podług danych urzędowych, w Łodzi liczy się 60,000 mieszkańców, a podług obliczeń prywatnych ludność jej wynosi 120,000 ludzi. Pod względem przemysłowym, Łódź przedstawia głównie dwa rodzaje przemysłu: wełniany i bawełniany. Rok 1820 należy uważać jako początek tego przemysłu. Co się tyczy przemysłu wełnianego, to ogólna wartość wyrobów wynosiła w r. 1838 19,500 rs. przy 22-ch robotnikach. W roku 1846 wynosiła 28,700 rs. z 33-ma robotnikami. W r. 1851—131,800 rs. z 304 robotnikami; w r. 1870—851,516 rs. z 601 robotnikami; w r. 1873—2,472,847 rs. i 1,357 robotników; w r. 1877—7,083,742 rs. i 3453 robotników. W r. 1879 wartość wyrobów wełnianych doszła do 12,022,963 rs. a liczba robotników wynosiła 5,377. Co się tyczy wyrobów bawełnianych, to ogólna liczba wartości ich wynosiła w roku 1838—794,491 rs. i 1,670 robotników; w roku 1846—1,087,416 rs., a liczba robotni-

ków doszła do 2,227; w r. 1870 wartość wyrobów bawełnianych wynosiła 5,764,534 rs., a liczba robotników 4,740; w r. 1873—8,717,649 rs. i 7,300 robotników; w r. 1877—15,916,417 rs. i 9,912 robotników. W r. 1879 ogólna cyfra wartości wyrobów bawełnianych doszła do 17,728,320 rs., a liczba robotników do 14,000. Od roku 1870 w Łodzi pojawiać się zaczęły i inne fabryki, z pomiędzy których pierwsze miejsce zajmują fabryki wyrobów jedwabnych; produkcja ich wynosi 50,000 rs. rocznie.

— W Wielkich Ramzach, w okolicy Sztumu, własności pana Zygmunta Donimirskiego, znaleziono grobowisko słowiańskie i zdołano z niego bez szkody wydobyć cztery urny dziwnych kształtów. Są one u góry czworograniaste, u dołu okrągłe, dno ich zupełnie płaskie. W środku tych czterech urn był szyszak żelazny; który jeden z robotników sobie przywłaszczył, aby go sprzedać. Jest nadzieja, że p. Donimirski szyszak odzyszcze, aby go razem z urnami złożyć w Muzeum Toruńskiem. Znaleziono też kawał dzidy żelaznej.

— Przy budowie drogi wykopano, jak donoszą pisma poznańskie, we wsi Górze, pod Żninem, w W. Ks. Poznańskiem, dwa naramienniki, pochodzenia rzymskiego, z litego srebra, które nabyto zaraz do zbiorów Tow. historycznego w Bydgoszczy, zapewne, nim Tow. Prz. Nauk w Poznaniu o tém odkryciu się dowiedziało.

— Na posiedzeniu sekcji biologicznej Towarzystwa lekarskiego, w dniu 21 Lutego, dr. Dudrewicz okazał czaszki trepanowane, wydobyte ze starożytnego cmentarzyska w Inflantach, na granicy ziemi Łotyszów, w miejscowości Marienstein. Znalezienie w tym kraju czaszek trepanowanych, t. j. takich, w których znajduje się okrągłe wycięcie, prawdopodobnie dokonane na żyjącej osobie, jest pierwszym dopiero wypadkiem. Jedna z czaszek, jak się zdaje, jest męczyzny, a druga niewątpliwie kobiety. Pochodzą one z X lub XII wieku, jak o tém wnioskować można z brązowych naszyjników i innych ozdób na témże cmentarzysku znalezionych. Trepanowanie odbywało się prawdopodobnie w celu otrzymania amuletów, chroniących tych co je nosili, od wypadków i nieszczęść. W ogólności, według uczonego Brocca, trepanowano czaszki w odległych wiekach, a mianowicie w epoce kamienia gładzonego; tu zaś widzimy, że nawet i w późniejszych czasach zwyczaj ten istniał.

— W St. Bernhardin, w pobliżu Wels, tuż obok cesarskiego gościńca, wiodącego do Salzburga, który przed początkiem naszej ery prowadził z Ovilaba do Juvavium, odkryto Cmentarz rzymski ze spalonemi po większej części szczątkami zwłok. Znaleziono również dość liczne monety przeważnie z brązu, należą one do epoki cesarzów, jak Antonius Pius (138—161 po nar. Chr.), Wespazyan, Domicyan, Severus, Aleksander i Galienus. Przypuścić przeto można, że groby te pochodzą z II i III wieku po nar. Chr. Przed dwoma laty odkryto w tej samój okolicy kilka grobów. Odkrycie to dostarcza interesującego poglądu na sposób grzebania i kult Rzymian dla zmarłych. Podstawę

pojedynczych grobów, idących blisko siebie szeregiem, tworzyła zawsze z wapnem zmieszana warstwa żwiru, której powierzchnię pokrywała czarna ziemia, na której były ślady popiołu. Na silnym fundamencie znajdowały się spalone szczątki ciał w urnach szklanych, zawartych w kwadratowych skrzyniach kamiennych, częścią w urnach glinianych. Obok znajdowały się w urnach glinianych precyoza, zabawki, szczątki narzędzi.

— Wyszło z druku: „Sprawozdanie z poszukiwań archeologicznych w r. 1878 przez ks. A. Brykczyńskiego, prof. seminaryum w Płocku.” Sprawozdanie to, przedstawione na posiedzeniu komisji archeologicznej Akademii umiejętności w Krakowie d. 11 lipca 1879 r., zawiera opis poszukiwań, dokonanych przez ks. Brykczyńskiego na gruntach Ośnicy, wsi położonej niedaleko Płocka, na prawym brzegu Wisły, tudzież około Raciąża, oraz niektórych miejscowości powiatów Lipnowskiego i Rypińskiego. Dalej sprawozdanie mieści wiadomości archeologiczne nadesłane z różnych stron kraju, materiały do mapy archeologicznej gubernii Płockiej, wreszcie tablicę, zawierającą plan sytuacyjny Ośnicy i rysunki wykopalisk tamże znalezionych.

— Król portugalski Dom Luiz przetłómaczył na język portugalski tragedję Shakespear'a: „Richard III,” przeznaczając cały dochód z rozsprzedaży na rzecz Towarzystwa dobroczynności w Lizbonie.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 20 stycznia 1881 r. zmarł w Wiedniu w wieku lat 52 **Andrzej Rydzowski**, poseł na sejm lwowski i do Rady państwa wiedeńskiej. Urodził się 7 listopada 1829 r. w Ciężkowicach nad Białą; wiek dziecinny przeżył w Gorlicach, do gimnazyum uczęszczał w Nowym Sączu i w Tarnowie, na uniwersytet zaś we Lwowie i w Krakowie. Czas jakiś był nauczycielem prywatnym w rodzinie Żeleńskich w Grodkowicach. Przez 7 lat był urzędnikiem prokuratorji skarbowej. Następnie jako docent uniwersytetu Jagiellońskiego wykładał (1867—1871) prawo narodów i filozofją prawa. Spokrewniony przez żonę z mecenasem Rzesińskim, opracował i wydał po jego zgonie dwa dzieła zmarłego: *Prawo narodów* i *Filozofją prawa*. W 1865 r. wybrany przez włościan pow. Gorlickiego i Grybowskiego do sejmu, był otąd stałym jego członkiem. Działalność jego parlamentarna tak jest bogata, że należałoby przejść chyba całą historję prac ustawodawczych w sejmie, a walk konstytucyjnych w radzie państwa, aby wykazać udział w nich Rydzowskiego. W radzie państwa wiedeńskiej zasiadał od roku 1870 wybrany z sejmu, w 1874 i 1879 r. wybierany z Krakowa z bezpośrednich wyborów. Ze spraw, które były wyłącznym dziełem Rydzowskiego, na pierwszym miejscu stoi ustawa przeciw lichwie, ustawa hypoteki włościańskiej, zachody około oswobodzenia fundacyi Skarbkowskiej i ocalenia fundacyi ś. p. Russanowskiej. Rydzowski od lat wielu

zasiadał w radzie miasta Krakowa i odznaczał się na tém polu wielką gorliwością. W sprawie odbudowania Sukiennic nader żywy brał udział. Przeprowadzone w sejmie lwowskim głównie przez Rydzowskiego prawo przeciwko lichwie zdziało tyle dobrego w Galicyi, że cała Austria zażądała rozciągnięcia téj ustawy na wszystkie kraje monarchii. Tak jak ś. p. Krzczunowicz był przez cały parlament wiedeński uznanym specjalistą w kwestyach kadastru, tak Rydzowski uznana powagą w kwestyach lichwy dotyczących. Rydzowski bardzo wiele pisał, ale artykuły jego, wywołane potrzebą chwili, są nadzwyczaj rozproszone po różnych czasopismach. Dom, który po żonie odziedziczył, zapisał miastu Krakowu na mieszkanie burmistrza, który dotychczas nie miał pomieszczenia. Imię A. Rydzowskiego, nieodłączne od prawa przeciwko lichwie i spraw ekonomicznych, zajmie świetne miejsce w dziejach parlamentarnych Austrii i w potomne wieki przynosić będzie zaszczyt narodowi polskiemu.

— † Dnia 22 stycznia 1881 r. umarł we Lwowie na tyfus, w wieku lat 63 **Kornel Krzczunowicz**, poseł na sejm lwowski i do rady państwa wiedeńskiej. Ś. p. Krzczunowicz urodził się 1818 r. Syn bogatego właściciela dóbr, nie oddał się gospodarstwu; ale po ukończeniu wydziału prawnego we Lwowie, po kilkoletniej pracy biurowej w prokuratoryi państwa i dłuższej naukowej podróży, zajął się Krzczunowicz z całym zapałem studjami nad wynalezieniem odpowiednich środków do podniesienia stanu ekonomicznego warstw rolniczych. Obrany posłem, sprawował od lat kilkunastu ten urząd z wielkim pożytkiem dla kraju rodzinnego i dla państwa, bo w całym parlamencie wiedeńskim nie było specjalisty, któryby mu dorównał w znajomości spraw finansowych, rolnictwa i regulacyi podatku gruntowego. Z główniejszych prac Krzczunowicza zwrócić na siebie uwagę: 1) Betrachtungen ueber die Behandlung der Streitigkeiten zwischen den gewesenen Herrschaften und den ehemaligen Unterthanen in Galizien. (Lwów, 1841; drugie wydanie: Wiedeń, 1861). 2) Uwagi o czynnościach katastralnych. 1858. 3) Denkschrift über die Brantweinerzeugungs-Steuer, 1859. 4) Die Grund, und Servitutenstreitigkeiten in Galizien, 1862. 5) O podatku gruntowym i domowym w Galicyi, 1862. 6) Rzecz o katastrze w Galicyi, 1880. Prócz tego bardzo wiele mów, sprawozdań komisyjnych, memoriałów ze sfery podatku gruntowego. Nie tylko członkowie parlamentu, pisma polskie, ale i niemieckie oddały zasłużony hołd enotom i zasługom obywatelskim ś. p. Krzczunowicza. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 31 stycznia r. b. umarł w Komornikach, pod Poznaniem ks. **Frańciszek Ksawery Malinowski**. Ś. p. Frańciszek urodził się d. 23 listopada 1808 r. w miasteczku Prus Zachodnich Gołubiu, gdzie ojciec jego sprawował urząd burmistrza. Po ukończeniu miejscowej szkoły elementarnej pracował w tamtejszej aptece, gdyż rodzice pragnęli mu w tym zawodzie byt zapewnić. Lecz bystry umysł młodzieńca rwał się do wyższej nauki. Oddany do szkoły podwydziałowej

ks. Reformatów w Żurominie w gub. Płockiej, przeszedł niebawem do gimnazjum w Płocku, które chlubnie ukończywszy, udał się do Warszawskiego gimnazjum. W r. 1829 utracił ojca, a z nim zdaje się i potrzebne materyalne środki do kończenia wyższej edukacji szkolnej. Wśród krytycznych okoliczności wstąpił do seminarium duchownego w Pelplinie, w dyecezyi Chełmińskiej. Okoliczności zewnętrzne przerwały ś. p. Franciszkowi studia teologiczne, poczem przyjął nawet r. 1831 obowiązki nauczyciela prywatnego w Rawskim. Dopiero w r. 1835 wrócił znowu do Prus i wstąpił powtórnie do seminarium duchownego. Przygody doznane i czynny udział w sprawach publicznych, wpłynęły bardzo poważnie na dalszy kierunek doskonalenia się bystrego umysłu i jaknajszlachetniejszego obywatelskiego charakteru ś. p. Franciszka, który w tej epoce, pobudzony przykładem Geseniusza, zajął się nader gorliwie studjami na polu języka łacińskiego, greckiego i hebrajskiego, jako najważniejszych kluczy samodzielnych badań teologicznych. Wyświęcony na kapłana, otrzymał po krótkim wikaryacie donośne probostwo w Wałdowie w pow. Tucholskim, a niebawem powołano go do pełnienia obowiązków dziekana. Germanizacyjne atoli dążności biskupa Sedlaga, stały się dla gorliwego czciciela mowy i obyczaju swojskiego, jakim zawsze był ś. p. Franciszek, powodem, że starał się o przeniesienie do dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej. Mianowany przez arcyb. Przyłuskiego penitencjarzem przy katedrze poznańskiej w r. 1849, zetknął się w Poznaniu z owym silnym ruchem umysłowym, jaki wówczas, pod wpływem Raczyńskiego, T. Działyńskiego, Łukaszewicza, Libelta, Cegielskiego, A. Cieszkowskiego i w. i., społeczność polską żywo przenikał. Ś. p. Franciszek zabrał się z całym zapałem do gruntownych studyów lingwistycznych i to przenosząc całą usilność swoją od dawniej ulubionych przedmiotów greckich i semickich na pole badań języków słowiańskich, które postanowił opierać na obszernym fundamencie gramatyki porównawczej języków indo-europejskich, położonym już przez Fr. Boppa. Gromadził tedy gramatyki, słowniki, biblie we wszystkich językach słowiańskich i począł się wszystkich uczyć z jaknajwiększą gorliwością. W r. 1851 otrzymał probostwo w Komornikach, pod Poznaniem. Korzystając tu z większego spokoju i chociaż z niezaobfitych, ale dla skromnych potrzeb uczonego kapłana-obywatela dostatecznych dochodów, poświęcił się obok gorliwego spełniania swoich kapłańskich obowiązków, jaknajrozleglejszej nauce języków indo-europejskich i popieraniu tych wszystkich interesów, które uważał za niezbędny warunek zachowania i doskonalenia indywidualności narodowej w obec przeciwnych prądów chwili, w obec przeróżnych doktryn i w obec nieprzyjaznych zamachów przemożnej brutalnej siły, której niebezpieczną robotę bystro oceniał. Trzeba było widzieć obywatelski zapał kapłana pod jego skromną plebańską strzechą, aby nabrać szacunku dla tego gorliwego kapłaństwa w kościele i w świątyni nauki. Ś. p. Franciszek troszczył się o powodzenie Towarzystwa pomocy naukowej, nie zapo-

minał o wzroście Towarzystw rolniczych i popierał czynnie rodzące się Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie; dbał o dobro powierzonych sobie parafii, a przytém wszystkiem najchętniej wracał do swojej ulubionej lingwistyki. Starał się jaknajwszechstronniej poznać wszystkie języki słowiańskie, tudzież ich narzecza, mianowicie: język starosłowiański, staropolski i najdawniejsze ich zabytki wraz z wzorowymi pisarzami XVI wieku; dalej język sanskrycki, zendzki, litewski, gotycki Ulfilasa, ormiański i albański i wszystkie romańskie. Tak uzbrojony, chwycił za pióro w celu objaśnienia niektórych działów gramatyki polskiej, i dał się pierwszy raz poznać w „Bibl. Warsz.,” jako głęboki znawca istoty organizmu języka polskiego w r. 1854 w rozbiorze krytycznym rozprawy Cegielskiego: „O słowie polskiem (2-gie wyd. 1853 r.); nieco później w odezwie „do wydawców „Słownika Lindego” i do wydawców „Słownika M. Orgelbranda w Wilnie („Bibl. Warsz.,” 1856 r., t. II, str. 175), tudzież w oceniu „Mówni” Fel. Żochowskiego wraz z podaniem rysu nowego systemu konjugacji słowiańskiej („Bibl. Warsz.,” 1857 r., t. I, str. 225). „Mównia” Fel. Żochowskiego nie przedstawiała materiału do naukowej dyskusji dla ś. p. Frańciszka, chodziło też głównie przy tych trzech rozprawach o podniesienie dyskusyi przez H. Cegielskiego w r. 1842 rozpoczętej, a potem przez Rymarkiewicza i Semeneńkę wznowionej: chodziło o krytykę systemu konjugacji Dobrowskiego. Wkrótce potem ogłosił M. w „Rocznikach Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego“ r. 1859 i 1863 rozprawy o *a* pochyloném, tudzież krytykę „Wniosków deputacyi Tow. Przyj. Nauk o ortografii polskiej,” a w jednym z pism lwowskich krytykę Gramatyki Polskiej Ant. Małeckiego. W tym czasie przetłómaczył Gramatykę sanskrycką Fr. Boppa, którą zamierzyła wydać b. Rada wychowania przy b. Komisji Rząd. Ośw. Publicznego. Z upadkiem tej instytucyi powrócił rękopis do autora, który po wielu przeciwnościach zdołał nareszcie z pomocą dr. Rzepeckiego, dopiero w ostatnich dniach życia swego ujrzeć ostatni wydrukowany zeszyt. Najważniejszém dziełem Malinowskiego jest jego: „Krytyczna gramatyka języka polskiego,” ogłoszona w 4-ch zeszytach w latach 1869 i 1870, uzupełniona zeszytem dodatkowym sprostowań i uzupełnień, wydanym w kilka lat później. Sprawiedliwe ocenienie naukowej wartości tej pracy wymagałoby obszernego studyum. Słabą stroną prac ś. p. Frańciszka stanowi w ogóle ta okoliczność, że ś. p. Frańciszek był sobie sam nauczycielem w rzeczach lingwistyki; dla tego trudno mu było zdobyć się na tę metodologiczną systematyczność, która w tego rodzaju pracach wielkie ma znaczenie; lecz i adwersarze jego, wykształceni w szkole filologicznej, nie wielce się co do tego od niego różnili. Młodsza dopiero generacja szczęśliwszą jest pod tym względem. Od r. 1863 poczęła go choroba ócz uporczywie trapić, tak, że tylko za pomocą lupy mógł czytać większy druk, a pióro synowicy spisywało dyktaty prawie ociemniałego starca. Mimo to został z tej epoki spory zapas dzieł do druku przygotowanych, jako to: *Mała praktyczna gramatyka polska*, przerobiona

Krytyczna gramatyka polska; Gramatyka języka litewskiego, opracowana według Schleichera; *Gramatyka języka rusińskiego*, według Osadźcy; *Gramatyka języka ormiańskiego*; *Słownik języka litewskiego*, którego (nie mówiąc o niemieckim słowniku Nesselmana) ledwo lichy zawiązek mamy w łacińsko-polskiej książeczce Szyrvida (z wieku XVII-go); *Zródłostowy języków słowiańskich*, według Miklosicza i t. d. W r. 1877, podczas kazania, tknięty paralizem, stracił prawie zupełnie pamięć, a 31 stycznia r. b. zabrała śmierć prawie nagle tego szlachetnego człowieka, wzorowego kapłana, gorliwego obywatela i dzielnego szermierza na polu nauki. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 1 lutego 1881 r. umarł w Wiedniu **Ludwik Zaremba Skrzyński**, poseł do rady państwa. Ur. 1816 r. we Lwowie, z rodziców Wincentego i Konstancyi z hr. Fredrów Skrzyńskich. Nauki odbywał we Lwowie a potem w Berlinie, poświęcając się specjalnie studjom ekonomii politycznej. Oprócz parlamentarnej i dziennikarskiej działalności, poświęcał się z zamiłowaniem gospodarstwu rolnemu, które wzorowo prowadził w swych dobrach Nozdrew w pow. Dynowskim. Obywatel bardzo majątny, ś. p. Ludwik brał zawsze żywy i czynny udział w życiu politycznym: był zawsze pierwszym pomiędzy tymi co parli społeczeństwo i rząd do reform i postępu na polu ekonomicznym. W sejmie pracował bardzo gorliwie z wielkim pożytkiem w komisjach budżetowych, do których od r. 1861 był ciągle wybierany, a od r. 1867 był w radzie państwa jednym z wybitniejszych członków koła polskiego. Z ogromną wiedzą i przenikliwą bystrością łączył pociągającą, pełną zapału wymowę. Arystokrata w stosunkach towarzyskich, był najgorliwszym obrońcą zasad demokratycznych w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu: szlachetny opiekun włościan i oświaty ludu, na której podniesienie ofiar nie szczędził. Prócz wielu artykułów ekonomicznej treści, rozproszonych po różnych pismach codziennych i peryodycznych, pozostały drukowane jego mowy, miane w sejmie galicyjskim w r. 1874, tudzież gruntowne dwutomowe dzieło p. t.: „O stosunkach włościańsko-gospodarskich i o potrzebie kredytu rolniczego w Galicyi,” 1859. Potomność polska z wdzięcznością wspominać będzie szlachetne, obywatelskie cnoty ś. p. Ludwika! Placide quiescat!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca *Józef Berger.*

SPIS RZECZY

ZA WARTYCH W TOMIE PIERWSZYM,
z r. 1881.

stron.

Filozofia.

Aleksander Tyszyński. Przez F. K.	161
Apoteoza człowieka i wznowienie dualizmu wschodniego w filozofii społecznej. Przez Seweryna Smolikowskiego.	329

Historya.

Odrodzenie i reformacya. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.	10, 216
Nowe dokumenty do dziejów apostołów słowiańskich. Przez Bronisława Grabowskiego.	411
Zdobycie Babilonu przez Cyrusa, według owoczesnej kroniki babilońskiej. (Notatka historyczna). Przez I. Radlińskiego.	417

Geografia.

O najważniejszych odkryciach geograficznych w r. 1880. Przez Wacława Nałkowskiego.	391
--	-----

Sprawy społeczne.

Wycieczka do Białowieży. Przez Zygmunta Glogera.	424
--	-----

Nauki przyrodzone.

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. 80

Literatura i sztuki piękne.

Skargi Orfeusza. Poezya. Przez Felicjana	1
Siostra miłosierdzia. Powieść Emila Castelara, tłómaczona z hiszpańskiego przez A. Gorajską. (Ciąg dalszy).	45, 241, 375
Obraz współczesnej literatury francuzkiej. I. Romans naturalistyczny. Przez Juliusza Mien.	29
Przegląd teatralny za rok 1879 i pierwsze półrocze 1880. Przez R. W.	63, 263, 363
Nowo odnaleziony pomnik piśmiennictwa polskiego. Przez Zdzisława Dębskiego.	357
Malarze polscy na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych i w Salonie Ungra. Przez Karola Matuszewskiego.	199

Kronika krajowa i zagraniczna.

Kronika poznańska.—Potrzeba podręczników polskich praw i przepisów po urzędach gminnych.—Czasopismo: „Ruch społeczno-ekonomiczny.”—Kouferencya w sprawie nauki języka niemieckiego.—Samowolne przekształcanie nazwisk miejscowości polskich na niemieckie.—Towarzystwo czytelní ludowych.—Towarzystwo Przyjaciół Nauk.—Spółki zarobkowe.—Towarzystwo pożyczkowe przemysłowców miasta Poznania.—Kółka włościańskie.—Kodeks Wielkopolski.—Dr. Perlbach.—Pamiętnik M. Budzyńskiego.—M. Kantecki: „Testament Bolesława Krzywoustego.”—Dwutygodnik dla kobiet.—Księga złota szlachty polskiej.—M. Jackowski („O majoratach chłopskich”).—Ks. z Pawłowa („Brak obrachunku największą przyczyną upadku majątków ziemskich”).—Dr. Meyer („Historia W. Ks. Poznańskiego”).—O literaturze poznańskiej od r. 1800—1850.—Kwestya uregulowania stosunków robotników przez państwo.—Lichwa.—Ulga dla rolnictwa z powodu klęsk.—Towarzystwo „Westa.”—Regulacya Warty.—Magistrat i teatr polski.—Winnagora.—Szkoła wieczorna Tow. przemysłowego.—Dr. Szafarkiewicza kurs handlowy.—Ks. Prabucki (†).—Kazimierz hr. Potulicki (†). Przez Ludwika Żychlińskiego

98

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dwie uroczystości w Akademii Francuzkiej: Przyjęcie pp. Labicho i Du

Camp.—„Podróż do Galii,“ na pięćdziesiąt lat przed erą chrześcijańską, p. Bonnemère. „Le Livre,“ historya książki, przez profesora Egger.—„Osioł“ poemat Wiktora Hugo.—Przekład poezyi Leopardego przez dr. Aulard.—Dawid z Angers.—Wspomnienie Fryderyka Chopina.—Młode artystki: panna Wienieczysława Brzezicka, panny Jadwiga i Wanda Bulewskie.—„Skrzypki ojca Schmeltz,“ powieść Pawła Cellière.—„Instruments et Musiciens,“ Leona Pillaut.—Obraz Siemiradzkiego na wystawie w Melbourne: „Prawa Zwycięzcy.“—Komedye francuzkie pp. Nagórskiego i Wołowskiego.—Obchód Mickiewicza w Paryżu.—Przekłady arcydzieł polskich poetów, przez p. Wacława Gasztoтта. 271

Polemika.

Prof. dr. Kasperek z H. Konitzem w kwestyi organizacyi gminy galicyjskiej. 457

Korespondencye.

Sprawozdanie z poszukiwań i odkryć archeologicznych. Przez Zygmunta Glogera. 111
 I. Radliński przeciw krytyce J. A. Świącickiego. 464
 W. Bogusławski przeciw dr. Sieniawskiemu. 464

Sprawozdania i rozbiory krytyczne.

Krytyczny obraz nowszych usiłowań na polu badań historycznych. Die Philosophie der Geschichte. Darstellung u. Kritik der Versuche zu einem Aufbau derselben von R. Rocholl. Göttingen 1878. Przez S. Smolikowskiego. 115
 Teofila, kapłana i zakonnika: „O sztukach rozmaitych, ksiąg troje.“ Przełożył z łacińskiego dr. Teofil Żebrawski, członek Akademii Umiejętności. Kraków, 1880. Przez F. K. Martynowskiego. 134
 Biografia Karola-Jakóba Fox'a, przez O. Traveyan'a. (The early history of Charles James Fox by Otto Traveyan. London, 1880). Tom I. Przez J. P. 137
 Język assyryjski w rodzinie języków semickich, studjum historyczno-lingwistyczne J. Radlińskiego. Warszawa, 1880 r. Przez J. A. Świącickiego. 296
 „Endymion.“ By the author of „Lothair.“ London, 1880. Tom III. Przez J. P. 309
 Pedagogika psychologiczna. Ludwik Strümpell: „Psychologische Pädagogik.“ Lipsk, 1880. Przez Henryka Struvego. 433

- Listy do Michała P. Pogodina z ziem słowiańskich (1835—1861 r.), z przedmową Nila Popowa. Wydanie cesarskiego Towarzystwa historyi i starożytności rosyjskich przy uniwersytecie Moskiewskim. Moskwa, 1879—1880. Przez Ad. Ant. Kryńskiego. 445
- „Uwagi o staropolskim języku” i „Najnowsze prace o języku polskim” (str. 16). Karola Appela. Warszawa, 1880. 454

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK., ART. I SPOŁECZNE.

- Styczeń.*—Rękopisma po dawniej bibliotece pinczowskięj ordynatów Myszkowskich, odnoszące się do genealogii niektórych rodzin: Lubienieckich, Gabońskich, Wereńków, Strońskich, Wernickich (czterech ostatnich idących od Wierzyńka), Suheckich, Tęczyńskich, Oleśnickich, Branickich, Sienińskich i innych (str. 144).—Statuta Koła artystyczno-literackiego w Krakowie (145).—Pomnik Żmichowskięj. Posiedzenie Akad. Umiej. w Krakowie (146, 147) i Przyjaciół Nauk w Poznaniu, z grudnia (148).—Rękopis Królodworski, robota nowszych czasów (149).—Wydawnictwo E. Orzeszkowęj (150).—Studia historyczne i literackie Jul. Bartoszewicza, t. II-gi (151).—K. Estrejcher: Bibliografia polska XIX wieku, t. VI, zeszyt 1 i 2-gi.—Albin Cohn (†).—Szkoła 3-klasowa rzemiosł (152, 153).—Gumpłowicz (Rechts-Staat und Socialismus).—Leopold Ranke (Historia powzechna, t. I, II).—Baranowskięgo: Gramatyka polska dla Anglików (157).—Prospekt Biblioteki Warszawskięj 144—160
- Luty.*—Zbiór praw i przepisów Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem. Warszawa, 1880; t. I, II (315, 316).—Nowy herb Galicyi (316).—Album dla Zagrzebia (318, 319).—Czytelnia akademicka we Lwowie (319).—Posiedzenie Akad. Umiej. (320, 321) i Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu (317, 321).—Dydyński (O prawie rolném).—Sieniawski (Dzieje Słowian zachodnio-północnych. Gniezno, 1881).—Stanisław Smolka: Mieszko Stary i jego wiek. 1881 (325).—K. Kantecki (Sumy neapolitańskie. 1881).—Pomnik K. Hoffmanowęj. 315—327
- Marzec.*—Zebranie ogólne władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem (467, 468).—Sprawozdanie Zakładu narodowego Ossolińskich we Lwowie (469).—Dr. Hirschberg: O dyplomacyi polskięj za Zygmunta I (470).—Posiedzenie Ak. Um. w Krakowie (M. Bobrzyński: O organizacyi pierwotnej społeczeństwa polskiego) i Przyjaciół Nauk w Poznaniu (Br. Zaleski: Żywot księcia Adama Jerzego Czartoryskiego) (472).—Ad. Pawińskiego: Skarbowość w Polsce i jęj dzieje za Stefana Bato-rego. Warszawa, 1881 (472—476).—Kasperek: Prawo polityczne z wstępną nauką ogólną o państwie, t. II gi (476).—Wydawnictwa S. Lewentala.—Encyklopedia Wychowawcza, zeszyt 7.—Leon Kulczyński, prof. pedagogii w uniwersytecie Jagiellońskim i jego prace pedagogiczne.—Kasy wsparcia dla

wdów i sierot po nauczycielach.—Pius IX i jego wiek, przez Pelczara.—Br. Rejchmann: Opis Syberyi (477, 478).—Podróż do kraju Frańciszka Józefa, przez Leigh Smitha (478).—Wiadomość o rodzinie Świnków, przez G. i J. Zielińskich.—Jubileusz Calderona.—Chovalier (Repertoryum źródeł historycznych wieków średnich).—R. Rosières (Historja społeczeństwa francuzkiego w wiekach średnich).—H. Hervieu (Pierwsze stany generalne francuzkie).—Szkola archeologii w Egipcie.—Ex-cesarzowa Eugenia zajęta literaturą (480).—Relacye posłów weneckich (1618—1620).—G. v. Bülow (Przyczynek do historyi pedagogii wieku XVI).—Literatura Słoweńców.—Piotr Dostojewski (†).—Towarzystwo pomocy naukowej dla Serbo-Łużyczan.—Szczegóły historyczno-statystyczne miasta Łodzi (482).—Odkrycia archeologiczne.—Król portugalski, tłómacz Szekspira. 467—484

Nekrologia.

Stanisław Dobrzański.—Stanisław Grzywiński (str. 158).—Teodor Tripliu (327).—Stanisław Chomętowski (328).—Andrzej Rydzowski (484).—Kornel Krzczunowicz (485).—Ks. Frańciszek Ksawery Malinowski (485).—Ludwik Skrzyński (488).
